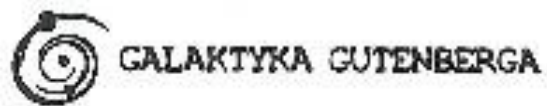


Człowiek z dwóch czasów



BOB SHAW



Człowiek z dwóch czasów

BOB SHAW

Człowiek z dwóch czasów

Tłumaczenie: Zofia Uhrynowska-Hanasz

I

Śmiertelnie znudzonemu Bretonowi dzwonek telefonu wydał się niemal piękny. Wstał, przeszedł przez jadalnię i skierował się do holu.

- Kto to może być, kochanie? - spytała Kate, zła, że im ktoś przeszkadza.

Breton przejrzał w myśli zatrute strzały ironicznych ripost, jakie mu się cisnęły na usta, i - ze względu na gości - wybrał najmniej groźną.

- Wybacz, ale nie poznaję po dzwonku - odparł spokojnie, odnotowując nagłe zaciśnięcie mlecznoróżowych warg Kate. Wykorzysta to oczywiście przeciwko niemu, najprawdopodobniej około trzeciej nad ranem, kiedy będzie usiłował spać.

- Poczciwy John, zawsze ostry jak brzytwa - rzucił szybko Gordon Palfrey tonem „ja się taktownie nie wtrącam”, a Miriam Palfrey skwitowała to swoim słodkim azteckim uśmiechem widocznym w przypominających łebki od szpilek oczach. Palfreyowie stanowili ostatni nabytek jego żony i ich obecność wywoływała zwykle u Bretona uczucie bolesnego niepokoju w żołądku. Uśmiechając się drętwą zamknął za sobą drzwi jadalni i podniósł słuchawkę.

- Słucham. John Breton przy telefonie.

- Cóż to, nazywamy się teraz John? Dawniej było Jack.
- Męski głos, który się odezwał w słuchawce, zdradzał nutę kontrolowanego napięcia, jak gdyby jego właściciel starał się pohamować jakieś silne uczucie - strachu czy też może tryumfu.

- Kto mówi? - Breton bezskutecznie usiłował zidentyfikować rozmówcę, zdając sobie z zakłopotaniem sprawę,

że linia telefoniczna stanowi wrota, przez które praktycznie każdy, niezależnie od tego, gdzie się znajduje, może wtargnąć do jego domu. Otwierając w ten sposób dostęp obcym myślom stawiał się w pozycji niekorzystnej, chyba że rozmówca by się przedstawił; wszystko to w sumie wydawało się jednak nie fair. - Ale kto mówi?

- Jak to, więc naprawdę nie wiesz? A to ciekawe! Pod wpływem tych słów Bretonem wstrząsnął dziwny nieokreślony dreszcz paniki.

- Proszę albo powiedzieć, o co panu chodzi - uciął krótko - albo odłożyć słuchawkę.

- Ale nie masz powodu się złościć, John, chętnie zrobię i jedno, i drugie. Zadzwoiłem po prostu, żeby się upewnić, czy jesteście z Kate w domu, bo mam zamiar przyjść. A teraz odkładam słuchawkę.

- Chwileczkę - warknął Breton, zdając sobie sprawę, że nieznamy za bardzo działa mu na nerwy. - W dalszym ciągu nie powiedział pan, o co właściwie chodzi.

- O moją żonę oczywiście - odparł uprzejmie głos. - Żyjesz z moją żoną już prawie dziewięć lat, więc przyszedłem, żeby ją zabrać.

W słuchawce rozległ się trzask, a następnie bezczelne buczenie. Breton kilka razy stuknął w widetki i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że działa według zaszczepionego mu przez stare filmy wyświechtanego stereotypu i że jak już dzwoniący przerwie połączenie, żadne stukanie w widetki go nie przywróci. Klnąc pod nosem odłożył słuchawkę i przez kilka sekund stał w miejscu niezdecydowany.

Ktoś mu robi głupie kawały, ale kto?

Znał właściwie tylko jednego zawołanego kawalarza; był nim Carl Tougher, geolog z biura inżynierskiego Breto-

na. Ale kiedy widział Toughera ostatni raz, a miało to miejsce po południu w biurze, geolog siedział ponuro i pocił się nad problemem, jaki powstał w trakcie pomiarów, które przeprowadzało ich przedsiębiorstwo wyznaczając teren pod zakłady cementowe w okolicy Silverstream. Breton nigdy chyba nie widział go bardziej zatroskanego i mniej skłonnego do żartów, zwłaszcza obfitujących w takie niezręczne momenty. Sama rozmowa nie miała znaczenia oczywiście - i nic dziwnego biorąc pod uwagę mentalność telefonicznych kawalarzy - ale były w niej jakieś niepokojące podteksty. Na przykład dziwne rozbawienie, z jakim facet zauważył, że Breton nie nazywa się już Jack. Zaczął używać oficjalnej wersji swojego imienia ze względów prestiżowych w okresie, kiedy rozkręcał swoje interesy, ale to już było wiele lat temu, a zresztą... - na samą myśl o tym ogarniała go wściekłość - co to kogo obchodzi, w końcu jego sprawa. Jednocześnie gdzieś w najtajniejszych zakamarkach duszy nigdy nie pogodził się z tą zmianą i odniósł wrażenie, że nieznany rozmówca przejrzał go na wylot i dotknął czulej struny.

Breton zatrzymał się w drzwiach jadalni, uświadamiając sobie, że reaguje dokładnie tak, jak by tamten sobie życzył: zamiast machnąć na całą sprawę ręką, obraca ją w myślach na wszystkie strony. Rozejrzał się dokoła obrzucając wzrokiem płomiennie pomarańczową boazerię w holu, z nagłym żalem, że nie przenieśli się w ubiegłym roku do większego, nowszego, mieszkania, tak jak sobie tego życzyła Kate. Wyrósł ze swojego starego domu i powinien go być porzucić bez żalu już dawno. „Żyjesz z moją żoną już prawie dziewięć lat”. Breton zmarszczył czoło na wspomnienie tych słów. Facet nie twierdził, że był przed nim

mężem Kate ani niczego w tym rodzaju, ponieważ Breton i Kate byli małżeństwem od jedenastu lat, ale ta liczba dziewięć wydawała się mieć jakieś szczególne znaczenie, jak gdyby zawierała wielowarstwowe złoża niepokoju, a jakaś część jego podświadomości sycąc się tą jej wymową czekała z lękiem na następne posunięcie.

- Do cholery - zaklął Breton głośno i stuknął się z niesmakiem w czoło. - Jestem taki sam wariat jak i on.

Otworzył drzwi i wszedł do jadalni. W czasie jego nieobecności Kate przygasiła światła i przybliżyła mały podręczny stolik do Miriam Palfrey. Na stoliku leżał blok gładkiego białego papieru i pióro, a tłuste, krótkie palce Miriam wykonywały nad nimi nieokreślone płynne ruchy. Breton jęknął cicho - a więc mimo wszystko seans się odbędzie. Palfreyowie właśnie wrócili z trzymiesięcznej podróży po Europie i przez cały wieczór tyle było na ten temat gadania, że Breton miał nadzieję, iż obejdzie się bez seansu, i ta nadzieja pozwoliła mu uprzejmie wysłuchiwać ich krajoznawczych wrażeń.

- Kto to dzwonił, kochanie?

- Nie wiem. - Nie miał ochoty rozmawiać na temat telefonu.

- Zły numer?

- Tak.

Wzrok Kate pobiegł ku jego twarzy.

- To dlaczego byłeś tak długo? A poza tym słyszałam, jak krzyczałeś.

- No więc dobrze - odparł Breton zniecierpliwiony - numer dobry, tylko osoba zła.

Gordon Palfrey parsknął ubawiony i płomyk zainteresowania w oczach Kate przygasał zamieniając się w chłodny

blask rozczarowania, jak gdyby Breton zgasił dwa miniaturowe telewizorki. Jeszcze jeden numer na conocne post mortem odbywające się regularnie o świcie, kiedy wszyscy normalni ludzie są pogrążeni w głębokim śnie i nawet firanki w ich pokojach oddychają miarowo w podmuchach wiatru. Dlaczego, pomyślał z poczuciem winy, robię przykrość Kate w obecności jej przyjaciół? No dobrze, a ona może sobie bez przerwy pozwalać, konsekwentnie lekceważąc moje sprawy zawodowe i jednocześnie robiąc mi publicznie scenę o głupi telefon? Breton usiadł ciężko, machinalnie sięgnął po szklaneczkę whisky i rozejrzawszy się dokoła obdarzył Palfreyów jednym ze swoich dobrotliwych uśmiechów.

Gordon Palfrey miętosił w palcach kwadratowy kawałek czarnego aksamitu w srebrne gwiazdki, którym jego żona zawsze przysłaniała twarz w czasie seansów, ale widać było, że wolałby w dalszym ciągu gadać o wrażeniach z podróży po Europie. Zabrnął w długą opowieść, nie spieszony teatralnymi minami, którymi Breton za każdym razem kwitował wielokrotnie powtarzaną przez niego opinię: „Francuzi mają kapitalne poczucie koloru”. Jego ulubionym tematem był wspinały wystrój europejskich dworków, czym górowały nad dziełami najlepszych artystów amerykańskich. Zapadając z powrotem w bursztynową samotnię znużenia Breton kręcił się niespokojnie w fotelu, zastanawiając się, jak zdoła przetrwać ten wieczór, który powinien być przecież spędzić w biurze, pomagając Carlowi Tougherowi w rozwiązywaniu problemu wytyczania terenu pod cementownię. Gładko i niepostrzeżenie, z wprawą urodzonego nudziarza Palfrey zmienił bieg przechodząc w opowieść o starym ślepym wieśniaku, którego spotkali w Szkocji, i jego ręcznie tkanych kocach w kratę, kiedy nagle

Miriam zaczęła zdradzać pierwsze objawy poprzedzającego każdy jej trans niepokoję. - O czym ty mówisz, Gordon? - Miriam opadła na oparcie fotela, a jej prawa ręka, zawieszona nad zaczęła szyćbować jak latawiec na wietrze.

- Opowiadałem Kate i Johnowi o starym Hamishu.

- Aha, tak, byliśmy zachwyceni Hamishem.

Głos Miriam, cichy i monotony, wydał się Bretonowi nieskończenie banalnym naśladownictwem czegoś, co pamiętał z filmu Beli Lugosiego. Widząc na twarzy Kate wyraz ekstatycznego zachwyty, postanowił przypuścić frontalny atak w obronie zdrowego rozsądku.

- Więc byliście zachwyceni starym Hamishem - powiedział nienaturalnie głośno i radośnie. - Co za cudowny obrazek: już widzę starego Hamisha, jak zupełnie klapnięty siedzi w kącie swojej zagrody, niby pusta, wyschnięta skorupa, osiągnął bowiem cel życia - zachwycił Palfreyów.

Ale Kate dała mu gestem znak, żeby był cicho, a Cordon Palfrey rozwinął czarny aksamit i przykrył nim uniesioną do góry twarz żony. Zaraz potem pulchną dłonią ujęła pióro i zaczęła nim suwać po papierze pokrywając go linijkami równiutkiego pisma. Cordon ukląkł przy stoliku, przytrzymując go, żeby się nie kiwał, podczas gdy Kate odbierała kolejne zapisane kartki z nabożeństwem, które wydało się Bretonowi bardziej niepokojące niż cokolwiek Innego w tym całym obrzędzie. Jeżeli nawet jego żona interesuje się tak zwanym pismem automatycznym, dlaczego, na miłość boską, nie przejawia przy tym odrobiny zdrowego rozsądku? Sam by jej chętnie pomógł w zgłębianiu tego zjawiska, gdyby tylko nie podciągała go pod ogólną kategorię Przesłań z Tamtego Świata.

- Czy można wam jeszcze dolać piteczka? - Breton

wstał i podszedł do barku koktajlowego z lustrem z tyłu. Piteczko, pomyślał. Rany boskie, co oni ze mną wyprawiają? Nalał sobie porządną porcję whisky, rozcieńczył ją trochę wodą sodową i oparł się o barek obserwując scenę rozgrywającą się w drugim końcu pokoju. Ciało Miriam jak gdyby zwiotczało w fotelu, ale jej ręka pisała tak szybko, jak tylko to było możliwe wyłączając stenografowanie - z prędkością trzydziestu albo i więcej słów na minutę. To, co wychodziło spod jej pióra, było zazwyczaj kwiecistą prozą starej daty na tematy nie powiązane, upstrzoną takimi słowami, jak „Piękno” i „Miłość”, zawsze pisanymi dużą literą. Palfreyowie utrzymywali, że teksty są dyktowane przez duchy zmarłych pisarzy, których próbowali identyfikować według stylu. Breton miał na to swój własny pogląd, a bezkrytyczny stosunek Kate do tego, co jemu wydawało się zabawą towarzyską żywcem przeniesioną z salonu epoki wiktoriańskiej, przerażał go bardziej, niż się do tego przyznawał.

Sącząc powoli drinka, patrzył, jak Kate zbiera zapisane kartki, numeruje je w rogach i układa w porządnym stosik. W ciągu jedenastu lat małżeństwa nie zaszły w niej właściwie żadne fizyczne zmiany: w dalszym ciągu wysoka i szczupła, nosiła barwne jedwabne suknie, przypominające naturalne upierzenie wspaniałego egzotycznego ptaka; tylko w oczach się postarzała. Typowa dla przedmieść nerwica, pomyślał, tak, to niewątpliwie to. Rozproszenie rodziny, które odbiło się na jednostce. Wystarczy zdać sobie z tego sprawę, żeby o tym zapomnieć. Kobieta nigdy nie jest w pełni żoną, dopóki nie straci całej rodziny. Mieszanina sierocińca z biurem matrymonialnym. Stanowczo za dużo piję...

Cichy okrzyk podniecenia Kate znów zwrócił jego

uwagę na grupę przy stoliku. Dłoń Miriam Palfrey zaczęła obrysowywać coś, co z tej odległości wyglądało na skomplikowany kolisty wzór, jakby rysunek świeżo rozkwitłego goździka. Podszedł bliżej i stwierdził, że to, co pisze, przypomina formą rozwijającą się powoli ciasno zwiniętą spiralę, że pojękuje przy tym z cicha i drży coraz gwałtowniej, w miarę jak wzór rośnie. Krawędź czarnej tkaniny zarzuconej na jej uniesioną do góry twarz to przylegała do niej, to wydymała się, jak narząd oddychania jakiegoś morskiego stworzenia.

- Co to jest? - zapytał Breton z ociąganiem, nie chcąc okazywać zbyt wielkiego zainteresowania, a jednocześnie świadom, że jest to coś nowego w porównaniu z innymi seansami. Miriam wyprostowała się niepewnie, kiedy się odezwał, a Gordon objął ją ramieniem.

- Nie wiem - odparła Kate obracając kartkę w swoich długich palcach. - To jest... to jest wiersz.

- No to może byśmy posłuchali - zaproponował Breton z umiarkowaną jowialnością, zaniepokojony trochę, że go to wciąga, ale zafascynowany niezwykłą wprost manualną sprawnością Miriam.

Kate odchrząknęła i zaczęła czytać:

Czekałem na ciebie przez tysiąc nocy,
Płakać mógłbym za tobą z gorzkiej tęsknoty,
Gdy zielonej wskazówki blask wolno się snuje.
Ale ty smaku łez mych nawet nie poczujesz.

Ta zwrotka napętniła Bretona jakimś dziwnym niepokojem, którego przyczyn nie potrafiłby określić. Wrócił do

barku i podczas kiedy inni analizowali wiersz, stał posępnie wpatrzony w odbita w lustrze baterię butelek i szklaneczek. Sącząc mrowiący zimnem napój przyglądał się, swoim oczom odbitym w kryształowym mikrokosmosie, po czym - zupełnie nagle - pojął, co mogło oznaczać sformułowanie „Prawie dziewięć lat”. Jeśli się nie myli, tu jest właśnie pies pogrzebany, stąd ten cały telefon; psychologiczna bomba głębinowa, idealnie wycelowana, z zapalnikiem obliczonym na duże głębokości.

Bo przecież to właśnie dziewięć lat temu, dokładnie co do miesiąca, policja znalazła Kate spacerującą w ciemnościach po Pięćdziesiątej Alei ze szczątkami ludzkiej tkanki mózgowej rozprysniętej na twarzy...

Breton wzdrygnął się na dźwięk telefonu, który zadzwonił w holu. Postawił z ostrym brzękiem szklaneczkę i poszedł przyjąć telefon.

- Słucham, tu Breton - warknął. - Kto mówi?

- Jak się masz, John. Co się stało? - Tym razem natychmiast poznał głos Carla Toughera.

- Carll - Breton opadł na krzesło i wyciągnął rękę po papierosy. - Dzwoniłeś może wcześniej? Z pół godziny temu?

- Nie... byłem zbyt zajęty.

- Na pewno?

- Ale o co ci właściwie chodzi, John? Mówiłem przecież, że byłem zajęty, są cholerne kłopoty z tym Silverstream.

- Nie wychodzą pomiary?

- Właśnie. Zrobiłem dziś rano na wyznaczonym terenie serię ośmiu przypadkowych odczytów, a po lunchu sprawdziłem je innym grawimetrem. Z tego, co wiem, cały ten

miar, jaki wykonaliśmy w ubiegłym miesiącu, jest kompletnie do kitu. Te nowe wartości są mniej więcej o dwadzieścia miligali niższe, niż być powinny.

- O dwadzieścia! To by oznaczało podłoże o niższej gęstości, niż przypuszczaliśmy. To by mogło znaczyć, że...

- Sól po prostu - przerwał mu Carl. - Czy mógłbyś wmówić klientowi kopalnie soli zamiast fabryki cementu?

Breton włożył papierosa do ust i zapalając go zastanawiał się, dlaczego świat wybrał sobie właśnie ten wieczór, żeby stanąć na głowie.

- Postuchaj, Carl, można by dwojako interpretować te niezgodności. Albo, tak jak mówisz, wapień, który stanowi tam podłoże, w ciągu nocy zamienił się w sól, a to - zgodzisz się chyba ze mną - możemy wykluczyć od razu albo oba nasze grawimetry są nie skomparowane. Tak?

- No chyba tak - odparł Tougher znużony.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wypożyczyć Jutro dwa nowe instrumenty i powtórzyć pomiary.

- Przypuszczałem, że tak powiesz. A czy ty sobie zdajesz sprawę, John, ile ja dzisiaj obleciałem mil kwadratowych? Czuję się tak, jakbym obszedł na piechotę cały stan Montana.

- Ja z tobą pójdę - powiedział Breton. - Przyda mi się trochę ruchu. Trzymaj się, do jutra, Carl.

- Tak, do jutra. Ale, John, zapomniałeś o trzeciej możliwości.

- To znaczy?

- Że od wczoraj zmalała siła ciężkości.

- Odpocznij trochę, Carl, nawet twoje żarty są już zmęczone.

Breton odłożył słuchawkę z uśmiechem - młody geolog nigdy się nie denerwował ani nie popadał w depresję. Gdyby taki telefoniczny żartowniś upodobał sobie Toughera, trafiłaby kosa na kamień - tyle że w tym wypadku jedynym podejrzanym, jaki Bretonowi przychodził na myśl, był właśnie Tougher. Jego dowcipy nie przekraczały na ogół poziomu wojskowych, ale jakieś dwa lata temu na przykład Carl wywalił z piętnaście dolarów na kanister benzyny, której codziennie po cichu dolewał do baku samochodu biurowego dozorca. Znacznie później wyjaśnił bardzo rzeczowo, że interesowała go reakcja dozorca, kiedy odkryje, że jego samochód zamiast zużywać - produkuje benzynę.

Czy był to kawał w rodzaju „Żyjesz już prawie dziewięć lat z moją żoną”? Breton nie wiedział, co o tym sądzić; przeszedł przez wyłożony musztardowym dywanem hol, machinalnie przy każdym kroku dotykając knykциями ściany, żeby się nie naelektryzować w suchym powietrzu.

Kate nie podniosła wzroku, kiedy wszedł do pokoju, i ogarnęły go lekkie wyrzuty sumienia na wspomnienie własnego ironicznego zachowania.

- To był Carl - wyjaśnił nie pytany. - Pracuje po godzinach.

Skinęła głową obojętnie i jego poczucie winy natychmiast zamieniło się w urazę - nawet w obecności przyjaciół nie starała się stworzyć choćby pozorów, że interesuje się jego pracą. To jest właśnie cała Kate, pomyślał z wściekłością, nigdy nie ustąpi. Żyje sobie z tej pracy całkiem niezłe, ale jednocześnie uważa, że ma prawo ją lekceważyć razem ze wszystkimi związanymi z nią ludźmi.

Breton patrzył ponuro na żonę i na Palfreyów, którzy

właśnie odczytywali to, co wyprodukowała Miriam, i nagle zdał sobie sprawę, że zaczyna się lekko zataczać. Uniósł szklaneczkę, dopił drinka jednym haustem i nalał sobie następnego. A ja to wszystko znoszę - znów odżyła dawna złość nawiedzająca go w regularnych odstępach - ale ile można wytrzymać? Moja żona bez przerwy narzeka, że za dużo przesiaduję w biurze, a jak sobie zrobię wolny wieczór, właśnie tak to wygląda. Jacyś spirytyści od siedmiu boleści, a z jej strony protekcyjna porcja tej cholernej obojętności, i pomyśleć, że ja płakałem - tak, dosłownie płakałem z radości - że jest cała i zdrowa tej nocy, kiedy ją znaleźli z rozprysniętym mózgiem Spiedela we włosach. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że przecież Spiedel chciał mi wyświadczyć przysługę. Ale teraz już wiem. Gdybym tylko mógł...

Breton odciął się od tej myśli, z przerażeniem uświadamiając sobie, że zaraz zacznie się podróż.

Ale było już za późno.

Przyćmione pomarańczowe lampy i wykończony białą zaprawą murarską kominek nie zmniejszając się wcale zaczęły oddalać się na planetarne, gwiazdne, galaktyczne i odległości. Chciał coś powiedzieć, ale przezroczyta warstwa języka przesuwająca się tylko po powierzchni rzeczywistości odbierając rzeczownikom ich znaczenie i całkowicie uniemożliwiając użycie orzeczenia. Perspektywy pokoju zostały podporządkowane dziwnej geometrii, przerzucając go boleśnie z jednego bieguna na drugi. Zwróciła się ku niemu jakaś twarz z grupy siedzących - blady, bez charakteru, pozbawiony formy kształt - mężczyzna, kobieta, przyjaciel czy może wróg? Ociężała, bezwolnie przekra-

czamy granicę...

Breton tak silnie trzasnął maską Buicka, że wielki samochód drgnął jak spłoszone zwierzę, przysiadając na swoim lśniącym zadzie. W jego ciemnym wnętrzu czekała Kate, nieruchoma niby Madonna, a ponieważ nie okazywała złości, Bretona ogarnęła dosłownie furia.

- Wysiadł akumulator. To przesądza sprawę, nie możemy jechać.

- Nie bądź głupi, Jack - Kate wysiadła z samochodu. - Przecież Maguire'owie na nas liczą, możemy zadzwonić po taksówkę. - Jej suknia koktajlowa była zupełnie nieodpowiednia na zimne wiatry późnego października i Kate otulała się nią z jakąś rozpaczliwą godnością.

- Nie bądź taka cholernie praktyczna, Kate. Już i tak jesteśmy godzinę spóźnieni, a ja nie mam zamiaru iść na przyjęcie z takimi rękami. Wracamy do domu.

- Jesteś dziecinny.

- Dziękuję ci bardzo. - Breton zamknął samochód, niedbale wycierając umazane smarem ręce o błękitną karoserię.

- Ja idę do Maguire'ów - oświadczyła Kate. - A ty możesz sobie wracać do domu i dąsać się, jeśli masz ochotę.

- Nie bądź głupia, przecież nie pójdziesz taki kawał drogi sama.

- Owszem, mogę iść sama i mogę sama wrócić, robiłam to latami, zanim ciebie poznałam.

- Wiem, kochanie, że zachowywałaś się dość swobodnie, ale po prostu byłem zbyt taktowny, żeby o tym wspominać.

- Dziękuję ci bardzo. Przynajmniej oszczędzisz sobie

przykrości pokazywania się w moim towarzystwie dziś wieczorem.

Słyszając w jej głosie nutę bezradności Breton odczuł złośliwą radość.

- Ciekawe, jak zamierzasz się tam dostać? Masz jakieś pieniądze?

Zawahata się, po czym wyciągnęła rękę.

- Daj mi na taksówkę, Jack.

- Wykluczone, jestem dziecinny, już zapomniałaś? - Przez chwilę rozkoszował się jej bezradnością, odgrywając się za własne okrucieństwo, a potem wszystko mu się jakoś zaczęło rozłazić w rękach. Sytuacja jest niedobra - pomyślał - nawet dla mnie. Powiedzmy, że przyjdę na przyjęcie z twarzą i rękami wysmarowanymi na czarno: to drobiazg, każdy normalny człowiek pomyśli, że odwałam numer w stylu Ala Jolsona; znacznie gorsze jest to, iż wystarczy, żeby mnie poprosiła jeszcze raz, a złamię się i pójdę z nią do Maguire'ów.

Zamiast go jednak prosić, Kate rzuciła tylko krótkie, ostre słowo, raniąc go boleśnie, i oddaliła się ulicą wzdłuż rzęsiście oświetlonych wystaw sklepowych. Otulona w srebrzysty szal, w zwiewnej sukni, z długimi nogami, które dzięki sandałom na szpilkach wydawały się jeszcze smuklejsze - wyglądała jak klasyczna filmowa dziwka gangstera. Przez chwilę odczuwał jej fizyczną obecność znacznie silniej niż zwykle, jak gdyby gdzieś poza żrenicami nastawiono mu na ostrość dawno nie używany przyrząd optyczny. W powodzi światła bijącego od wystaw jej sylwetka zarysowała się w jego świadomości ostro jak klejnot i Breton dokonał zupełnie nowego odkrycia - dostrzegł pod jej kolanami

dwie cieniutkie niebieskie żyłki. Ogarnął go przyptyw czułości. Przecież nie możesz jej puścić z takim wyglądem samej, i to jeszcze w nocy, ostrzegał go natarczywie jakiś głos wewnętrzny. Ale przecież nie będzie za nią petzał, płaszczył się. Zawahał się przez chwilę, po czym odwrócił się w przeciwną stronę, zobojętniały pod wpływem obrzydzenia do samego siebie, klnąc pod nosem.

Mniej więcej w dwie godziny później przed jego domem zatrzymał się wóz policyjny.

Breton, który stał właśnie w oknie, z ciężkim sercem pobiegł do drzwi. Za dwoma wywiadowcami o surowych twarzach majaczyło dwóch policjantów mundurowych.

Jeden z wywiadowców odstonił znaczek służbowy.

- Pan John Breton?

Breton skinął głową, nie mogąc dobyć głosu. Przepraszam cię, Kate, pomyślał, przepraszam cię bardzo, wróć tylko, a zaraz pójdziemy na to przyjęcie. Ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że zachodzi w nim zupełnie niewiarygodny proces, że gdzieś w najtajniejszych zakamarkach duszy doznaje uczucia ulgi. Jeśli Kate nie żyje, to nie żyje. Jeśli nie żyje, to koniec. To jestem wolny...

- Porucznik Convery. Z Wydziału Zabójstw. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Proszę bardzo - odparł Breton głucho. - Może panowie wejść. - Wprowadził ich do jadalni i z trudem opanował chęć poprawienia poduszek na kanapie odruchem zakłopotanej gospodyni.

- Pan nie wydaje się zdziwiony naszą wizytą - powiedział wolno Convery. Miał pełną, opaloną twarz i maleńki nos, który ledwie było widać między szeroko rozstawionymi,

błękitnymi oczyma.

- Czym mogę panu służyć, poruczniku?
- Czy ma pan broń?
- A... tak - w Bretona jakby grom strzelił.
- A może pan ją pokazać?
- Proszę bardzo - powiedział Breton głośno - ale o co właściwie chodzi?

Oczy Convery'ego były bystre, czujne.

- Jeden z posterunkowych pójdzie z panem.

Breton wzruszył ramionami i udał się do sutereny, gdzie mieścił się jego warsztat. Kiedy schodzili z drewnianych schodów na betonową podłogę, wyczuł napięcie policjanta, zatrzymał się więc i wskazał wysoką szafę, w której trzymał różne graty: większe narzędzia, wędki, sprzęt łuczniczy i broń. Policjant przecisnął się szybko obok niego, otworzył szafę i wyciągnął sztucer. Szamotał się przez chwilę, zanim odczepił rzemień broni od kołowrotka na ryby, w który się zaplątał.

Kiedy wrócili do jadalni, Convery wziął sztucer i przejechał palcem po grubej warstwie kurzu pokrywającej kolbę.

- Nie używa go pan zbyt często?
- Nie. Ostatni raz dwa lata temu. Jeszcze przed ślubem.
- Mhm. To szybka broń, prawda?
- Tak. - Breton czuł narastające w nim oszołomienie niemal jak fizyczny ucisk. Co się stało?
- Nieprzyjemna broń - powiedział Convery od niechcienia. - Rozrywa zwierzęta. Zastanawiam się, dlaczego ludzie jej używają.

- Jest po prostu dobra, to wszystko - odparł Breton. - A ja lubię rzeczy dobre. Ale, zapomniałem, jest nieczynna.

- A co się stało?

- Kiedyś upuściłem zamek i skrzywiła się iglica.

- Mhm. - Convery wyjął zamek, zbadał go, powąchał komorę, przy świetle lampy stojącej zajrzał w lufę i zwrócił sztucer posterunkowemu. - Czy to pańska jedyna broń?

- Tak. Poruczniku, wydaje mi się, że to już trwa trochę za długo. Dlaczego panowie tu przyszli? - Breton zawahał się. - Czy coś się stało mojej żonie?

- Już myślałem, że pan o to nie zapyta. - Niebieskie oczy Convery'ego badały twarz Bretona. - Pana żonie nic się nie stało. Była na tyle lekkomyślna, że szła sama w nocy przez park, i została napadnięta, ale nic jej się nie stało.

- Nie rozumiem. W jaki sposób... w jaki sposób mogło jej się nic nie stać, skoro została napadnięta.

- Miała szczęście. Jakiś mężczyzna, dziwnym trafem łudzaco do pana podobny, wyszedł zza drzewa i rozwalił bandycie łeb strzałem ze sztucera.

- Co? Chyba nie chcecie powiedzieć... Gdzie jest teraz ten mężczyzna?

Corwery uśmiechnął się.

- Jak dotąd nie wiemy. Zniknął...

Poczucie bolesnego bezmiaru, przesuwanie się płaszczyzn i paralaks, niewyobrażalne przemieszczenia, w których krzywizny czasoprzestrzeni oscylują pomiędzy negatywnym a pozytywnym, zaś nieskończoność zije pośrodku - magiczna, zwodnicza, potężna...

- Patrzcie no, jak ten facet pije - były to słowa Gordona Palfreya. - On dziś rzeczywiście będzie chyba orbitował.

Wszyscy spojrzeli na Bretona, który - rozpaczliwie usiłując się przestawić - z bladym uśmiechem usiadł w głębokim fotelu. Dostrzegł baczne spojrzenie Kate i zaczął się zastanawiać, czy przypadkowy obserwator mógł się zorientować, że był przez jakiś czas nieobecny. Pewien psychoanalityk nazwiskiem Fuscuardi po bezowocnym badaniu zapewnił go, że te przerwy są niezauważalne, ale Bretonowi trudno było w to uwierzyć, ponieważ podróże zabierały mu często po kilka godzin czasu subiektywnego. Fuscuardi wyjaśnił mu to w ten sposób, że Breton odznacza się rzadką, aczkolwiek nie unikalną, zdolnością do błyskawicznego powrotu zajmującego ułamki sekundy czasu obiektywnego. Radził mu nawet zwrócić się z tą sprawą do uniwersyteckiego zespołu psychologów, ale wtedy cały problem przestał już Bretona interesować.

Breton zapadł się głębiej w duży, stary fotel, napawając się wygodą jego normalnej namacalności. Ten epizod i Kate coraz częściej ostatnio powracał, co ogromnie przygnębiało Bretona mimo ostrzeżeń Fuscuardiego, że kluczowe momenty życia - zwłaszcza te, które wiążą się ze stresami typu emocjonalnego - powracają najczęściej. Dzisiejsza podróż w czasie była szczególnie długa, a intensywność przeżycia tym większa, że zaczęła się prawie bez ostrzeżenia. Nie miał żadnych zaburzeń wzroku, które, jak mu powiedział Fuscuardi, poprzedzają zazwyczaj ataki migreny u innych ludzi.

Ciągle jeszcze pod nieprzyjemnym wrażeniem spo-

tkania z przeszłością, Breton szukał gorączkowo oparcia w teraźniejszości, ale Kate i Palfreyowie dalej byli pochłonięci badaniem niezwyklej próbki pisma automatycznego. Przez chwilę wstuchiwał się w przewidziane rytuałem próby zidentyfikowania autora, po czym dał się ponieść ciepłym alkoholowym oparom. Niemało się zdarzyło w ciągu tego jednego wieczora, który rozpoczął się w atmosferze czystej nudy. Powinienem być zostać w biurze z Carlem, pomyślał. Pomiary dla Towarzystwa Cementowego Blundella należało zakończyć przed upływem tygodnia, a szły strasznie powoli jeszcze przed wystąpieniem dziwnych dwudziestomiligalowych niezgodności w wartościach pomiarów grawimetrycznych. Może po prostu nie zostały wprowadzone odpowiednie poprawki. Carl to bardzo dobry fachowiec, ale przecież jest tyle czynników, które należy uwzględnić w pomiarach grawimetrycznych - pozycje słońca i księżyca, pływy, sprężyste odkształcenia skorupy ziemskiej itd. Każdy może się pomylić, nawet Carl. Tak jak każdy może anonimowo zadzwonić, czy też odebrać anonimowy telefon. Byłem idiotą podkładając pod to jakieś starannie zaplanowane podteksty, po prostu stało się to w momencie osłabienia równowagi psychicznej, nic więcej. Ten telefon to była taka psychologiczna skórka od banana, na której się pośliznąłem. Dobre określenie... i whisky jest dobra. Nawet Palfreyowie są w porządku, jeśli się na nich spojrzy z właściwej strony, zwłaszcza Miriam. Piękna figura. Szkoda wielka, że dopuściła do tego, by na całym jej życiu zaciążył fakt, że się urodziła z twarzą Indianki czy też starożytnej egipskiej kapłanki rodem z hollywoodzkich filmów produkcji M.G.M. Gdyby wyglądała jak Elizabeth Taylor, mogłaby tu przy-

chodzić co wieczór... Albo nawet Robert Taylor...

Czując, że spowija go słodki jak ulepek obłok życzliwości, Breton nastroił się znów na odbiór toczącej się w drugim końcu pokoju rozmowy. Kate właśnie mówiła coś na temat Oscara Wilde'a.

- Tylko nie o Oscarze Wildzie - zaprotestował łagodnie.
- Już dosyć o Oscarze Wildzie.

Kate zignorowała go, a Miriam skwitowała to swoim przypominającym rzeźbę uśmiechem, ale Gordon Palfrey był rozmowny.

- Przecież my nie mówimy, że to Oscar Wilde przekazał te słowa, John. Tylko, że ktoś to zrobił, a styl miejscami jest identyczny ze stylem wczesnej prozy Wilde'a.

- Właśnie, jego wczesnej prozy - przerwał Breton - o to chodzi. Zaraz zobaczymy: Wilde umarł około roku 1900, tak? A teraz mamy 1981, czyli że po osiemdziesięciu jeden latach spędzonych po tej drugiej stronie czy też za zasłoną, czy jak tam wy spirytualiści to nazywacie, nie tylko nie rozwinął się jako pisarz, ale nawet cofnął się do okresu młodzieńczego.

- Tak, ale...

- I to nie może być brak wprawy, bo według tego, co wyczytałem w tych książkach, które pożyczyłaś Kate, od czasu śmierci jest jednym z najwybitniejszych pisarzy automatycznych. Wilde musi być jedynym w historii pisarzem, którego książki zyskały wyższą ocenę po śmierci autora. - Breton zaśmiał się, zadowolony, że znalazł się w tym miłym przelotnym stadium upojenia alkoholowego, w którym zawsze myślał i mówił dwa razy szybciej niż na trzeźwo.

- Zakładasz, że komunikacja pomiędzy naszym a jakimkolwiek innym wymiarem rzeczywistości odbywa się w

stosunku jeden do jednego - powiedział Palfrey. - A to wcale nie musi tak być.

- Nawet nie może. Z danych, jakie posiadam na temat następnego wymiaru, wynika, że jest on zaludniony przez pisarzy, którzy nie posługują się papierem ani piórem i którzy spędzają czas na wysyłaniu tych swoich bzdur w nasz wymiar drogą telepatyczną. A Oscar Wilde stał się stachanowcem pośród nich; może to kara za napisanie „De profundis”...

Palfrey uśmiechnął się z politowaniem.

- Ale przecież my nie mówimy, że oni...

- Nie sprzeczasz się z nim - powiedziała Kate. - On sobie tak ubzdurał. Jest zawodowym ateistą, a poza tym zaczyna za dużo mówić. - Posłała mu pełne pogardy spojrzenie, ale przedobrzyła, bo przez jedną ulotną chwilę wyglądała jak mała dziewczynka. Dziwne, że takie właśnie uczucie potrafiło podziałać na nią tak odmładzająca.

- Ona ma rację - powiedział. - Cały szkielet mojej wiary załamał się, kiedy byłem dzieckiem. Pierwszym wstrząsem było odkrycie, że F.W. Woolworth nie jest miejscowym biznesmenem.

Kate zapaliła papierosa.

- Wypił dziesięć whisky. Zawsze po dziesięciu wyciąga ten dowcip.

A ty zawsze wyciągasz ten o dziesięciu drinkach, pomyślał Breton. Ty pozbawiona poczucia humoru suko, robisz ze mnie robota o napędzie alkoholowym. Ale pozostał jowialny i rozmowny, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że to reakcja na przeżycie, jakim była podróż. Udało mu się zachować dobry nastrój jeszcze podczas kawy i kanapek, po

czym razem odprowadzili do drzwi gości, z którymi Kate wyszła aż do samochodu.

Była to rześka noc późnopaździernikowa i zimowe konstelacje gwiazd zaczynały się już wspinać ponad wschodni horyzont, przypominając, że wkrótce nadciągnie z Kanady śnieg. Odczuwając ciepło i odprężenie Breton stał w drzwiach i paląc ostatniego tego dnia papierosa patrzył na Kate, która rozmawiała z siedzącymi już w samochodzie Palfreyami. Kiedy tak stał z papierosem, na niebie rozbłyły dwa meteory: koniec podróży, pomyślał, witaj, Ziemi. Wreszcie samochód ruszył; zgrzytając i podskakując na zwirowanym podjeździe, przebił światłem reflektorów mroczną aleję wiązków. Kate pomachała Palfreyom na pożegnanie, po czym wróciła do domu, drżąc lekko z zimna. Breton próbował objąć ją ramieniem, kiedy mijala go w drzwiach, ale przeszła zdecydowanie, a on przypomniał sobie jej uszczypliwość. Oczywiście czekało go post mortem o bladym świcie, kiedy firanki w oknach oddychają delikatnie jak we śnie.

Wstrząsnął się, żeby sobie samemu udowodnić, jak mało go to wszystko obchodzi, a następnie wyrzucił niedopałek papierosa na trawnik, gdzie zgasła go rosa. Raz jeszcze wciągnął w płuca pachnące liśćmi powietrze i wszedł do domu.

- Nie zamykaj, John - głos dochodził z ciemnego tunelu krzewów ciągnącego się wzdłuż podjazdu. - Przyszedłem po moją żonę. Zapomniałeś już?

- Kto to? - Breton wyrzucił z siebie pytanie w momencie, gdy wysoka męska postać zbliżyła się do światła, ale zdążył już poznać głos. Anonimowy rozmówca telefo-

niczny. Poczłwał falę zaprawionej konsternacją złości.

- Jeszcze nie wiesz, John? - Nieznajomy zbliżył się i zaczął wchodzić na schodki. Światło nad drzwiami oświetliło go w pewnym momencie bardzo dokładnie. Breton - osłupiał z potwornego i niewytłumaczonego lęku - stwierdził, że spogląda we własną twarz.

II

Jack Breton, zbliżając się po schodkach do człowieka nazwiskiem John Breton, czuł, jak mu lekko drżą nogi.

Może to wynikać stąd, zdecydował, że ponad godzinę siedział przykucnięty w ciemnym, konspiracyjnym gąszczu krzewów. Ale znacznie bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem byłoby to, że bał się spotkania z Kate. Doszedł do wniosku, że ani dokładne przemyślenie sprawy, ani próba przygotowania się psychicznego nie zamortyzuje siły zdenerwienia. Dźwięk jej głosu, kiedy zegnała gości, uderzył w jego system nerwowy potężną symfonią, budząc odzew zarówno w jego istocie jako całości, jak i w jej poszczególnych atomach. Kocham cię - szeptała każda cząsteczka jego ciała, nadając to postanie milionami enzymatycznych kanałików. Kocham cię, Kate.

- Kim pan jest? - zapytał go obcesowo John Breton.
-Czego pan chce? - Stał dokładnie na drodze Jacka Bretona, z twarzą, która w świetle wiszącej nad jego głową żarówki przypominała pociemniałą groźną maskę.

Jack Breton ujął pistolet automatyczny w kieszeni płaszcza, ale słysząc nutę niepewności w głosie tamtego, nie odbezpieczył broni. Nie było powodu robić żadnych odstępstw od przygotowanego wcześniej planu.

- Już ci mówiłem, czego chcę - odparł uprzejmie. - I nie wątpię, że do tej pory zdążyłeś się zorientować, kim jestem. Czy nigdy nie patrzyłeś w lustro?

- Ale przecież pan wygląda jak... - John Breton zawiesił głos, bojąc się iść tam, gdzie zaprowadziłyby go słowa.

- Wejdźmy do domu - powiedział Jack ze zniecierpliwieniem. - Zmarzłem.

Ruszył do przodu, stwierdzając z satysfakcją, że John wycofuje się niepewnie. Boi się mnie, pomyślał, lekko zdziwiony. Ta istota, stworzona na moje podobieństwo, ta istota, która zmieniła moje imię na „John”, boi się swojego twórcy. Wchodząc do tak dobrze znanego, zalanego pomarańczowym światłem holu Jack zauważył kosztowny dywan na podłodze i prawie namacalną atmosferę bogactwa w starym domu. Ogromna praca, jakiej dokonał tamtego dnia w bibliotece, przeglądając księgi adresowe i roczniki miejscowych gazet, ujawniła fakt, że Johnowi Bretonowi powodzi się znacznie lepiej niż przed dziewięćciu laty, ale to, co zobaczył, przeszło jego oczekiwania. Dobrze się spisałeś, wierny sługo...

- No, dość tego - powiedział John Breton, kiedy weszli do obszernej jadalni. - Chyba mi się należą jakieś wyjaśnienia.

- Widzę, że sobie radzisz, John.

Mówiąc to Jack rozglądał się po pokoju. Umeblowanie było zupełnie nowe, przypominał sobie tylko stary zegar i ze dwie drobne ozdoby. Szczególnie przypadły mu do gustu fotele z wysokimi oparciami, najwyraźniej wybrane z myślą o wygodzie. Odniósł wrażenie, że witają go przyjaźnie. Trzeba to sobie zanotować w pamięci, pomyślał. Niezależnie od tego, że podróżujący w czasie doznaje zerowego przesunięcia w przestrzeni, podlega on znacznemu przemieszczeniu psychicznemu, które może się przejawiać w skłonności do personifikowania przedmiotów martwych, tak jak na przykład w tym wypadku - odniósł wrażenie, że fotele

witają go przyjaźnie. Uważaj, Jack!

Teraz, kiedy zaczął się przystosowywać do cudownej rzeczywistości istnienia Kate, jego naturalna ciekawość znów została pobudzona i ponownie zwrócił uwagę na Johna Bretona. To jego drugie wcielenie było jak gdyby masywniej zbudowane. John Breton nosił porządne, szyte na zamówienie spodnie, rudawą sportową koszulę i kaszmirowy sweter. Dziewięć lat, dziewięć lat, które płynęły zupełnie innymi torami, to jednak różnica, pomyślał Jack. Nie jestem taki lalusz ani nie jestem tak dobrze odkarmiony - ale nadzedł mój czas. Mój czas.

- Czekam - powiedział John Breton. Jack wzruszył ramionami.

- Wolalbym, żeby Kate była przy tym, jak będę mówił to, co mam do powiedzenia, ale zdaje się, że poszła na górę.

- Moja żona poszła na górę. - John położył ledwie wyczuwalny nacisk na dwóch pierwszych słowach.

- Dobra, John. Może to śmieszne, ale tego jednego w całym tym planie nie dopracowałem: jak ja ci to powiem. Zrozum, John... że ja... ja jestem tobą.

- To znaczy - odparł John z zamierzoną naiwnością - chcesz powiedzieć, że ja nie jestem sobą?

- Nie. - Zaczyna to do niego docierać, pomyślał Jack Breton z niechętną aprobatą, ale trzeba sięgnąć do samych początków. Wytężył pamięć.

- John Kiedy miałeś trzynaście lat, przez całe prawie lato była u was twoja cioteczna siostra Luiza. Miała osiemnaście lat i była bardzo ładnie zbudowana. A poza tym, regularnie jak w zegarku, co piątek wieczorem brała

kąpiel. Pewnego popołudnia, mniej więcej w trzy tygodnie po jej przyjeździe, wyciągnąłeś z garażu ręczny świder, założyłeś wiertło 3,3 i wyborowałeś dziurę w suficie łazienki. Wywierciłeś ją w najszerszym miejscu dużego pęknięcia w kształcie litery Y, którego tata jakoś nigdy nie naprawił tak, żeby jej nie było widać.

Ojciec ułożył podłogę w środkowej części poddasza, urządając tam składzik, zrobił nawet ściany boczne, ale ty usunąłeś jedną z narożnych płytek, tak żeby się dostać nad łazienkę. Tego lata, John, interesowałeś się bardzo fotografią, a na poddaszu miałeś idealną wprost ciemnię. W każdy piątek wieczorem, kiedy Luiza brała kąpiel, kryłeś się w przesyconej brunatnym kurzem ciemności. Ustawiałeś się dokładnie nad łazienką i robiłeś...

- Dość tego! - John Breton postąpił krok naprzód i drżąc lekko, zmieszany, wycelował w niego palcem oskarżycielsko.

- Nie denerwuj się, John, to po prostu moje listy uwierzytelniające. Nikt poza mną na świecie nie zna tych faktów. A jedynym powodem, dla którego ja je znam, jest ten, który ci już podałem: ja jestem tobą. To ja robiłem te wszystkie rzeczy i chciałbym, żebyś mnie wysłuchał.

- I to właśnie teraz muszę cię wysłuchać, tak? - powiedział John głucho. - Cały ten wieczór to jeden wielki koszmar.

- Zaczynasz mówić rozsądniej. - Jack Breton odprężył się nieco. - Czy pozwolisz, że usiądę?

- Proszę bardzo. A czy ty pozwolisz, że sobie wezmę drinka?

- Bądź moim gościem. - Jack wypowiedział te słowa w

sposób spokojny i naturalny, rozważając w myśli ich znaczenie. John był jego gościem przez dziewięć lat w sposób, w jaki nikt nigdy nie był niczym gościem, i wszystko to właśnie się kończy. Kiedy już obaj siedzieli, wychylił się nieco z fotela, starając się mówić chłodno, spokojnie i logicznie. Wiele zależało od tego, jak sobie poradzi z wiarygodnym przedstawieniem tego, co niewiarygodne.

- Co myślisz o podróży w czasie, John? John Breton łyknął ze swojej szklaneczki.

- Uważam, że jest niemożliwa. Nikt nie był w stanie przenieść się z przeszłości w terażniejszość, bo jeśli współczesna technika nie potrafiła zbudować maszyny czasu, to tym bardziej nikt w przeszłości nie mógł tego dokazać. Tak samo zresztą nie było wypadku, żeby ktoś z przyszłości cofnął się w terażniejszość, ponieważ przeszłość jest niezmienna. Takie jest moje zdanie o podróży w czasie.

- A co powiesz o tym drugim kierunku?

- O jakim drugim kierunku?

- Dokładnie w poprzek, czyli prostopadle do poprzednio wymienionego.

- A, w ten sposób. - John Breton znów upił ze szklaneczki; robił wrażenie niemal rozbawionego. - W okresie, kiedy czytywałem fantastykę naukową, nie uważaliśmy tego za prawdziwą podróż w czasie. Nazywaliśmy to światami równoległymi.

- W porządku - odpart Jack ugodowo. - Co wobec tego myślisz o podróży w światy równoległe?

- Czy chcesz powiedzieć, że przybywasz z innej terażniejszości? Z innego strumienia czasu?

- Tak, John.

- Ale jak? Gdyby to była prawda, musiałbyś się tu czymś dostać. - John Breton uniósł szklaneczkę do ust, ale nie napił się, w jego oczach malowała się zaduma. - Dziewięć lat, powiedziałaś. Czy to ma coś wspólnego z...?

- Słyszę jakieś głosy, John. - W drzwiach stała Kate. -Kto tu jeszcze u was jest? Och...

Jack Breton wstał, kiedy weszła do pokoju, i nagle jej widok wypełnił jego oczy, dokładnie jak tego wieczoru, kiedy po raz ostatni patrzył na Kate żywą, aż wreszcie jej obraz wdarł się w jego świadomość, trójwymiarowy, ostry, doskonały. Na chwilę ich oczy się spotkały, po czym Kate odwróciła wzrok, a w jego głowie wybuchł fajerwerk szczęścia. Trafił ją. Trafił ją bez słowa.

- John? - Jej głos był niepewny, drżący. - John?

- Lepiej usiądź, Kate - powiedział John Breton wysokim, chłodnym, utrzymanym na jednym tonie głosem. - Nasz przyjaciel ma nam coś do powiedzenia.

- A może i Kate by się napiła - zaproponował Jack Breton. - To nam prawdopodobnie zajmie trochę czasu. - Kate obserwowała go z czujnością, która wydawała mu się rozkoszna, i Jack musiał zdobyć się na wysiłek, by zapanować nad głosem. Ona wie, ona wie. Podczas kiedy jego drugie wcielenie nalewało jej bezbarwnego napoju, Jack stwierdził, że grozi mu nie zamierzona podróż. Zbadał własnu pole widzenia i stwierdził, że jest czyste - żadnych świetlistych punktów, spadającej wolno czarnej gwiazdy, żadnych zygzaków.

Powoli, uważnie zaczął im przypominać fakty, odtworzając na napiętej osnowie swej pamięci ubiegłe dziewięć lat.

III

Kate oddalała się ulicą wzdłuż rzęsiście oświetlonych wystaw sklepowych. Otulona ciasno w srebrzysty szal, w zwiewnej sukni koktajlowej, z długimi nogami, które dzięki sandałom na szpilkach wydawały się jeszcze smuklejsze - wyglądała jak klasyczna filmowa dziwka gangstera. W silnym blasku bijącym od wystaw jej sylwetka zarysowała się w jego świadomości z ostrością klejnotu i Breton - jak gdyby dokonywał zupełnie nowego odkrycia - dostrzegł pod jej kolanami dwie cieniutkie niebieskie żyłki. Ogarnął go przypływ czułości.

Przecież nie możesz jej puścić z takim wyglądem samej, i to jeszcze w nocy, ostrzegął go natarczywie jakiś głos wewnętrzny, ale przecież nie będzie za nią petzał, płaszczył się. Zawahał się na chwilę, po czym odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, zobojętniały pod wpływem obrzydzenia do samego siebie, klnąc pod nosem.

Mniej więcej w dwie godziny później przed jego domem zatrzymał się wóz policyjny.

Breton, który stał właśnie w oknie, z ciężkim sercem pobiegł do drzwi. Za dwoma wywiadowcami o surowym spojrzeniu majaczyło dwóch policjantów mundurowych.

Jeden z wywiadowców pokazał znaczek służbowy.

- Pan John Breton?

Breton skinął głową nie mogąc dobyć głosu. Przepraszam cię, Kate, pomyślał, przepraszam cię bardzo, wróć tylko, a zaraz pójdziemy na przyjęcie.

- Porucznik Convery. Z Wydziału Zabójstw. Czy można wejść?

- Proszę bardzo - odparł Breton głucho. Wprowadził ich do jadalni, z trudem opanowując chęć poprawienia poduszki na kanapie odruchem zakłopotanej gospodyni.

- Nie wiem. jak mam to panu powiedzieć, panie Breton - zaczął wolno Convery. Miał pełną opaloną twarz i maleńki nos, który ledwie było widać pomiędzy szeroko rozstawionymi, błękitnymi oczyma.

- A o co chodzi, poruczniku?

- Chodzi o pańską żonę. Szła sama w nocy przez park i została napadnięta.

- Napadnięta? - Breton poczuł, jak się pod nim uginają nogi. - Ale gdzie ona jest teraz? Czy nic jej się nie stało?

Convery potrząsnął głową.

- Bardzo mi przykro, panie Breton, ale pańska żona nie żyje.

Breton opadł na krzesło, a cały wszechświat wokół niego zaczął się unosić i kurczyć jak komory ogromnego, nagle obnażonego serca. To moja wina, pomyślał. To ja zabiłem moją żonę. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że drugi wywiadowca bierze Convery'ego na stronę i coś mu szepcze do ucha. W chwilę później porucznik powiedział:

- Mój kolega zwrócił mi uwagę, panie Breton, że wyraziłem się zbyt pochopnie. Oficjalnie powinienem był zawiadomić pana, że znaleziono ciało kobiety, która, sądząc z dokumentów, może być pańską żoną, ale spraw oczywistych nie lubię owijać w bawełnę. Wobec tego, żeby formalności stało się zadość: czy ma pan jakiś powód sądzić, że ciało kobiety lat około dwudziestu pięciu, wysokiej, o włosach czarnych z jasnymi pasemkami, w srebrnobłękitnej sukni

koktajlowej, które znaleźliśmy w pobliżu wejścia do parku miejskiego od strony Pięćdziesiątej Alei, nie jest ciałem pańskiej żony?

- Nie mam żadnego powodu tak sądzić. Dziś wieczór wyszła z domu tak właśnie ubrana. - Breton zamknął oczy. To moja wina; to ja zabiłem moją żonę. - Puściłem ją samą.

- Mimo to musimy mieć formalną identyfikację. Jeśli pan sobie życzy, jeden z funkcjonariuszy zawiezie pana do kostnicy.

- Nie potrzeba - odparł Breton. - Tyle mogę zrobić sam.

Szuflada chłodni wysunęła się gładko na dobrze naoiliwionych łożyskach kulkowych i na ten widok Bretonowi przyszła do głowy dziwna myśl: dobre urządzenie. Spojrzał na zimną uśpioną twarz Kate i na kryształki rosy ułożone w luki wyznaczone linią jej brwi. Zupełnie mimo woli wyciągnął prawą rękę, żeby jej dotknąć, ale zobaczył czarne obwódki smaru za własnymi paznokciami i zatrzymał rękę w pół ruchu. Ty jesteś bez skazy.

Porucznik Corwery znalazł się na krawędzi jego pola widzenia, tak przecież blisko, a jednocześnie oddalony o tyle lat świetlnych od niego, oddzielony bezmiarem pulsującej, fluoryzującej jasności.

- Czy to jest pańska żona?

- A któż by to inny mógł być? - odparł Breton drętwą. - Kto inny?

W jakiś czas później dowiedział się, że Kate została ogłuszona, zgwałcona i zakłuta. Biegły w medycynie sądowej dodał, że nie jest w stanie ustalić kolejności, w jakiej

dokonano tych trzech aktów. Przez kilka dni załatwiania bezsensownych formalności Breton tłumił w sobie skutecznie poczucie winy, zdawał sobie jednak przez cały czas sprawę, że jest bombą, której zapłon został już zapalony, że jego obecne życie to nanosekundy poprzedzające eksplozję ludzkiego szrapnela, jakim był ostatnio.

Kiedy wreszcie doszło do tej eksplozji, nazajutrz po pogrzebie Kate, przypominała wybuch oglądany na zwolnionej taśmie filmowej. Breton znajdował się właśnie w północnej dzielnicy miasta i szedł bez celu ulicą pełną starych ruder. Panował chłód i chociaż nie padał deszcz, chodniki były mokre. W pobliżu jednego z narożników znalazł czyste, nowe piórko i schylił się, żeby je podnieść. Było w paski perłowszare i białe. Zgubione pewnie przez ptaka w pośpiesznym locie, przypominało mu, że Kate też nosiła ubranie, jakby to było jej naturalne upierzenie. Rozejrzał się za jakimś parapetem, żeby położyć na nim piórko, niby znaną rękawiczkę, i zobaczył mężczyznę w zniszczonych roboczych spodniach, uśmiechającego się do niego z bramy. Upuścił piórko, które wirując i migając upadło na brudny beton, i nakrył je nogą.

Następna jego świadoma czynność miała miejsce w pięć tygodni później: leżący w szpitalu Breton otworzył oczy.

Okresu poprzedzającego ten fakt nie można by nawet nazwać straconym z jego punktu widzenia, był on jednak tak zmaćony i zniekształcony jak obraz oglądany przez mrożone szkło, cały czas bowiem Breton pił, znieczulając się czystym spirytusem i zawężając w ten sposób granice świadomości. Ale gdzieś w mgławicy tego zmieniającego się jak w kalej-

doskopie świata zrodziła się myśl, która jego rozgorączkowanemu umysłowi wydała się genialnie prosta.

Policja mu powiedziała, że psychopatę, który popełnił morderstwo, bardzo trudno odnaleźć. W tym przypadku nadzieja jest szczególnie nikła. Jeżeli puszcza kobietę samą w nocy do parku, to czego się właściwie spodziewa? - dali mu do zrozumienia.

Breton stwierdził, że czuje się w ich towarzystwie nieswojo, i odkrył zdumiewającą rzecz, jeśli chodzi o mentalność policjantów, a mianowicie, że przestając tak wiele z kryminalistami przyjęli do wiadomości istnienie zupełnie odrębnego kodeksu moralnego. Nie akceptując go oczywiście, zaczęli go jednak do pewnego stopnia rozumieć, przez co igła ich własnego kompasu moralnego uległa lekkiemu odchyleniu. Nie chodzi oczywiście o kierunek, znając wielkość tego odchylenia, możemy w dalszym ciągu nastawić instrument właściwie, ale Breton czuł się wśród nich po prostu jak gracz, który nie zna reguł gry. Dlatego patrzyli na niego urażeni, kiedy ich pytał o wyniki śledztwa, i dlatego w pewnym momencie, dość wczesnym, ostatnich tygodni zdecydował się wprowadzić własne reguły.

Nie było świadka popełnionego na Kate morderstwa, a ponieważ nie istniał żaden motyw, dla którego on mógłby je popełnić, nic go w sensie fizycznym nie łączyło z tą zbrodnią. Ale, rozumował, są inne związki. On, Breton, w żaden sposób nie może wprawdzie znać zabójcy - ale zabójca musi znać jego. I lokalna prasa, i telewizja poświęciły sprawie dużo miejsca publikując jego zdjęcia. To niemożliwe, żeby morderca nie zainteresował się człowiekiem, któremu tak okrutnie zwichnął życie. Breton doszedł więc do przekona-

nia, że gdyby zobaczył go na ulicy, w parku czy w barze, niewątpliwie poznałby go po oczach.

Miasto nie jest takie znów wielkie i przecież możliwe, że w ciągu całego swojego życia widział przelotnie każdego mieszkańca choć raz. Oczywiście musi chodzić po ulicach, ruszać się, pokazywać wszędzie tam, gdzie bywają ludzie, jednym słowem, odtworzyć szybko twarze wszystkich mieszkańców utrwalone w jego świadomości jak gdyby na taśmie, aż kiedyś, pewnego dnia, spojrzy w oczy jakiegoś człowieka i będzie wiedział. A kiedy to się stanie...

Błądny ognek nadziei migotał przez pięć tygodni, aż wreszcie skonał, zgaszony przez zatrucie alkoholowe i niedożywienie.

Breton otworzył oczy i po pewnej szczególnej jakości światła na suficie poznał, że musi być śnieg. Odczuwał dziwne ssanie w żołądku i zdrowe pragnienie gęstej domowej zupy. Usiadł na łóżku, rozejrzał się i stwierdził, że jest sam w pokoju, zupełnie bezosobowym, gdyby nie kilka ciemnoczerwonych róż. Poznał ulubione kwiaty swojej sekretarki, Hetty Calder, i odżyło niejasne wspomnienie jej brzydkiej końskiej twarzy pochylonej nad nim z troską. Breton uśmiechnął się przelotnie. Dawniej za każdym razem, jak się zalał, chudła niemal widocznie; ciekawe, jak zniósła jego zachowanie w ciągu ostatnich pięciu tygodni.

Głód dał o sobie znać jeszcze natarczywiej i Breton sięgnął do dzwonka.

W pięć dni później ta sama Hetty zawiozła go do domu jego własnym samochodem.

- Jack, posłuchaj - powiedziała doprowadzona do

ostateczności - naprawdę powinieneś zamieszkać u nas jakiś czas. Będzie nam z Harrym bardzo miło, a skoro nie masz żadnej bliskiej rodziny...

- Dam sobie radę, Hetty - odparł. - Jeszcze raz dziękuję ci za zaproszenie, ale najwyższy czas, żebym wrócił do domu i jakoś się wreszcie pozbierał.

- Ale czy rzeczywiście dasz sobie radę? - Hetty prowadziła wspaniale po ulicach pokrytych bryją. Radziła sobie ze starym dużym samochodem nie gorzej niż mężczyzna, co chwila pociągając papierosa, z którego spadały na podłogę puszyste wałeczki popiołu. Jej blada twarz pociemniała ze zmartwienia.

- Naprawdę dam sobie świetnie radę - zapewnił ją z wdzięcznością. - Już przynajmniej mogę myśleć o Kate. Oczywiście, że jest to ogromnie bolesne, ale już się z tym jakoś pogodziłem. A przedtem nie mogłem. Trudno mi to wytłumaczyć, ale uważałem, że powinna istnieć jakaś oficjalna instytucja, rodzaj Departamentu Zgonów, do której mógłbym pójść i wyjaśnić, że zaszła pomyłka. Że Kate nie mogła zostać zabita. Bzdury gadam, Hetty.

Hetty spojrzała na niego kątem oka.

- Mówisz teraz po prostu jak człowiek, Jack. Nie ma w tym nic dziwnego.

- A jak mówię zwykle?

- Interesy szły zupełnie dobrze w ciągu ostatnich pięciu tygodni - odparła szorstko Hetty. - Trzeba będzie przyjąć więcej ludzi.

Zaczęła mu zdawać sprawę z nowych kontraktów i z postępów pomiarów będących w toku. Stopniowo Jack uświadamiał sobie, że nie interesuje go to tak, jak powinno.

Urodzony majsterkowicz, bez wysiłku osiągnął pewne wykształcenie, ponieważ wydawało się to słuszne z ekonomicznego punktu widzenia, po czym zaczął pracować w firmie geologicznej, którą przejął po przejściu właściciela na emeryturę. Wszystko to było takie proste, takie nieuniknione, a jednocześnie w jakiś dziwny sposób nie dające satysfakcji. Zawsze tak lubił majsterkować, oddając głos rękom, obdarzonym jak gdyby własną inteligencją, a teraz okazało się, że nie ma na to zupełnie czasu.

Breton skulił się w swoim płaszczu, patrząc ze smutkiem na czarne, mokre ulice przypominające kanały wyżłobione w zaspach brudnego śniegu. Kiedy samochód przyspieszył, białe, zwiewne kłęбки zaczęły się zrywać do góry przed maską, uderzając bezgłośnie w przednią szybę, a następnie uciekając do tyłu, gdzie topniały i znikaly. Usiłował skupić się na tym, co mówiła Hetty, ale z przerażeniem stwierdził, że w powietrzu przed nim pojawił się kolorowy migotliwy punkcik. Nie teraz, pomyślał przecierając oczy, ale migocąca jaskrawa drobina zaczęła się już powiększać. Nie upłynęła minuta, kiedy lśniąca wirowała niby nowiuteńka moneta, cały czas pośrodku pola widzenia prawego oka, niezależnie od tego, jak obrócił głowę.

- Byłam u ciebie dziś rano i włączyłam ogrzewanie - powiedziała Hetty. - Przynajmniej będziesz miał ciepło.

- Dzięki - wymamrotał. - Niepotrzebnie robisz sobie z mojego powodu tyle kłopotu.

Nieśmiałe migotanie stawało się coraz szybsze, blokując mu coraz bardziej pole widzenia i tworząc znajome wzory: ruchliwe tęczowe figury geometryczne, które marszerowały i przesuwaly się, otwierając okna w nieznanne

wymiary. Nie teraz - modlił się w duchu - teraz nie chciałbym odbyć podróży. Te zaburzenia optyczne znał od dzieciństwa. Zdarzały mu się w odstępach trzymiesięcznych albo kilkudniowych - w zależności od nasilenia stresów psychicznych - zwykle poprzedzone uczuciem zadowolenia. Kiedy euforia mijała, pojawiały się migotliwe zygzaki w polu widzenia prawego oka, prowadzące do niewytłumaczalnych, przerażających podróży w przeszłość. Świadomość, że taka podróż trwa zaledwie ułamek sekundy czasu rzeczywistego i że musi to być jakiś figiel pamięci, nie przynosiła żadnej ulgi, ponieważ ponownie przeżywane sceny z reguły nie były przyjemne. Dotyczyły one fragmentów życia, o których by najchętniej zapomniał, momentów krytycznych. Nietrudno było zresztą zgadnąć, na który to koszmar przyjdzie akurat kolej.

Kiedy samochód zatrzymał się przed jego domem, Breton był już właściwie zupełnie ślepy na prawe oko; rozpościerała się przed nim piękna kolorowa zastona - drżąca, tęcząca, pełna świetlistych figur geometrycznych - uniemożliwiająca mu właściwą ocenę odległości. Namówił Hetty, żeby nie wysiadała z samochodu, pomachał jej, kiedy oddalała się zaśmieżonym podjazdem, i zabrał się do otwierania drzwi frontowych. Znalazłszy się w środku poszedł szybko do jadalni i usiadł w głębokim fotelu. Migotanie osiągnęło właśnie szczyt, co oznaczało, że lada moment gwałtownie ustanie i zacznie się podróż Bóg jeden wie dokąd. Breton czekał. Pole widzenia prawego oka zaczęło się oczyszczać, siedział więc w napięciu i patrzył, jak pokój odpływa, odkształca się, nabierając dziwnych perspektyw. Ociężałe, bezwolnie przekraczamy próg...

Kate oddalała się ulicą wzdłuż rzęście oświetlonych wystaw sklepowych. Otulona ciasno w srebrzysty szal, w zwiewnej sukni koktajlowej, z długimi nogami, które dzięki sandałom na szpilkach wydawały się jeszcze smuklejsze - wyglądała jak klasyczna filmowa dziwka gangstera. W silnym blasku bijącym od wystaw jej sylwetka zarysowała się w jego świadomości z ostrością klejnotu i wtedy Breton - czując, że coś jest nie w porządku - dostrzegł za nią na środku ulicy, dosłownie na pasach ruchu, tam gdzie nigdy nic nie rośnie, trzy drzewa. Były to wiązy, niemal zupełnie огоłoczone z liści, i coś w układzie ich nagich gałęzi napawało go wstrętem i niechęcią. Ponadto ich pnie, jak stwierdził, były niematerialne - reflektory samochodów prześwieślały je bowiem na wylot.

Ta kępa drzew budziła w nim lęk, a jednocześnie dziwnie go przyciągała.

I przez cały czas Kate oddalała się, a jednocześnie głos wewnętrzny mówił mu, że z takim wyglądem nie powinien jej puszczać nocą na miasto. Staczał więc tę samą walkę ze swoją dumą, aż w pewnym momencie odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku, zubożniały pod wpływem obrzydzenia do samego siebie, klnąc pod nosem...

Poczucie bolesnego bezmiaru, przesuwanie się płaszczyzn i paralaks, niewyobrażalne przemieszczenia, w których krzywizny czasoprzestrzeni oscylują pomiędzy negatywem a pozytywem, zaś nieskończoność dzieje się pośrodku - magiczna, zwodnicza, potężna...

Breton ujął mocno poręczkę fotela i trzymał się ich

kurczowo, aż do chwili, kiedy odgłos jego oddechu wtopił się w ciszę pokoju. Wtedy wstał, podszedł do kominka i nakręcił stary zegar w dębowej oprawie. Czuł w dłoni ciężki, chłodny klucz, chłodny i namacalny. Za oknami śnieg znów zaczął padać w małych, puszystych źdźbłach, a samochody na światłach jak duchy przemykały za drzewami. Dom był pełen cierpliwych brązowych cieni.

Breton poszedł do kuchni i podczas kiedy parzył kawę, jego umysł powoli budził się ze stanu uśpienia wywołanego podróżą w czasie. Następujący zwykle potem odpływ energii był kolejnym dobrze mu znanym objawem, który tym razem jednak przybrał znacznie ostrzejszą formę. Czekając, aż zagotuje się woda, Breton z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że pod wieloma względami ta podróż była inna - chodziło przede wszystkim o element fantazji. Owe wiązy rosnące pośrodku Czternastej Ulicy zdziwiły go, ale nie tylko: w tym zaskoczeniu było coś więcej niż świadomość, że są tu zupełnie nie na miejscu; wydawały się mianowicie półprzeźroczyste, jak obraz rzucony na jakieś żywsze tło - a jednak strzępiasty luk ich koron był rzeczywisty. Już to gdzieś przedtem widział, i ten luk coś znaczył -ale co?

Kiedy kawa zaczęła się filtrować, otworzył lodówkę i stwierdził, że nie ma tam mleka, ani śmietanki. Żołądek podjechał mu do gardła na samą myśl o czarnej kawie, ale poszukiwania w ogołoczonej kuchni ujawniły fakt, że jedynym poza kawą płynem jest ocet w słoiku po piklach, gdzie, niby preparaty medyczne, pływały strzępy kopru. Breton nalał sobie czarnego napoju, nad którego powierzchnia wiły się płaskie, szare spirale pary, i wrócił do jadalni. Usiadł popijając kawę i usiłując skupić się na swoich sprawach

osobistych, ale pokój zasnuł półmrok i Breton poczuł się zmęczony. Okazało się, że tygodniowe leczenie i odpoczynek to za mało, żeby wyrównać straty, jakie poniósł w czasie swojego długiego pijaństwa.

Obudził się kilka godzin później w zupełnej prawie ciemności. Przez okno sączyło się anemiczne liliowe światło latarni ulicznej, a na ścianie w głębi przesuwaly się niepewnie cienie. Opanowując drżenie i przyptyw rozczulenia nad sobą, Breton wyprostował się w fotelu zdecydowany wyjść na miasto, żeby coś zjeść. Kiedy wstawał, zauważył chwiejny cień gałęzi na martwej, szarej powierzchni ekranu telewizyjnego i przypomniał sobie, gdzie widział trzy wiązy.

Otóż w czasie wiadomości podawanych przez jedną z lokalnych stacji pokazywano fotografię miejsca, w którym znaleziono ciało Kate - dokładnie koło tych trzech wiązów.

Jedyny problem polegał na tym, że wiązy, które widział w swojej podróży, nie były nieruchome; ich jak gdyby narysowane czarną kreską gałęzie zmieniały położenie zgodnie z kaprysmi nocnego wiatru. Były - Breton wzdragał się przed użyciem tego określenia - realne. Oznaczałoby to zatem zmianę jego stosunku do podróży; musiałby przyjąć, że jakaś część jego świadomości uznała za konieczne wierzyć, że faktycznie tego właśnie popołudnia widział Kate. Czy to możliwe, zastanawiał się na zimno, że jego samotna, obciążona poczuciem winy podświadomość, lekceważąc wszelkie prawa natury, odbyła podróż w przeszłość? Czyżby to odwieczne dążenie ludzkości do osiągnięcia niemożliwego, do powrotu w przeszłość w celu naprawienia popełnionych błędów, stanowiło psychiczną siłę napędową wszelkich jego dotychczasowych podróży? To by wyjaśniało

fakt, że przeżywał w ten sposób ponownie jedynie momenty krytyczne swego życia, które z reguły miały jakieś tragiczne następstwa. Czy to możliwe, że on, Breton, jest niedoszłym podróżnikiem w czasie, unieruchomionym w teraźniejszości przez materialną powłokę cielesną, zdolnym jednak wystąpić w przeszłość jakiś niematerialny element swojej osobowości? A jeśli, nie daj Boże, tak jest, to do śmierci będzie powracał do tej koszmarnej sceny z Kate. I te trzy wiązy, które znów zaczynają majaczyć...

Nie, muszę się stąd ruszyć, pomyślał, muszę iść na kolację do jakiejś hałaśliwej knajpy z szafą grającą, z obrusami w kratkę, z wielkimi ordynarnymi plastikowymi pomidorami na stolikach i normalnymi ludźmi kłócącymi się o rzeczy, o które normalni ludzie się zwykle kłócą. Pozapałał światła w całym domu, odświeżył się trochę, przebrał i właśnie wychodził, kiedy z lekka obdrapany samochód wjechał przez bramę i zbliżył się zaśnieżonym podjazdem. Otworzyły się drzwi obok kierowcy i wysiadła Hetty Calder. Z wyraźnym niesmakiem spojrzała na śnieg i mściwie strząsnęła na niego popiół z papierosa.

- Wychodzisz? Przyjechaliśmy z Harrym, żeby się dowiedzieć, czy nie potrzebujesz czegoś.

- Owszem. - Breton był zdumiony, jak wielką przyjemność sprawił mu widok jej tęgiej, odzianej w tweed figury. - Chciałbym was zaprosić na kolację. Będzie mi bardzo miło zjeść ją w waszym towarzystwie.

Usiadł z tyłu i krótko przywitał się z Harrym Calderem, tysiącym mołem książkowym około pięćdziesiątki. Obszerne tylne siedzenie zawałone torbami pełnymi sprawunków, szalikami i pismami przywróciło Bretonowi po-

czucie bezpieczeństwa wynikające ze znalezienia się w normalnym, zwykłym otoczeniu. Kiedy jechali przez miasto, oglądał przedświąteczne wystawy sklepowe, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły, tak żeby nie pozostało miejsca na myśl o Kate.

- Jak się teraz czujesz, Jack? - Hetty obejrzała się do tyłu na śmietnik, w którym królował Breton. - Nie wyglądałeś najlepiej, jak cię zostawiałam samego.

- Tak, rzeczywiście, czułem się wtedy nienadzwyczajnie, ale teraz jest już wszystko w porządku.

- A co ci było? - nalegała Hetty.

Breton zawahał się, po czym tytułem próby postanowił powiedzieć prawdę.

- Jeśli mam być szczery, miałem kłopoty ze wzrokiem. Przed prawym okiem latały mi jakieś takie kolorowe światełka.

Zupełnie nieoczekiwanie Harry Calder odwrócił się i cmoknął ze współczuciem.

- Tęczowe zygzaki, tak? Czuję, że następny.

- Następny? Co chcesz przez to powiedzieć, Harry?

- Bo ja też to mam. A potem zaczyna się ból - wyjaśnił Harry Calder. - To normalny objaw poprzedzający migrenę.

- Migrenę! - Breton poczuł, jak coś konwulsyjnie faluje w jego podświadomości. - Ale mnie nigdy nie boli głowa.

- Nie? To masz szczęście. Bo ze mną po tej paradzie kolorów dzieją się rzeczy straszne. Nie uwierzyłyś.

- Nie wiedziałem, że istnieje jakiś związek pomiędzy tymi historiami a migreną - powiedział Breton. - Widocznie rzeczywiście muszę być szczęściarzem.

Nawet dla niego samego te słowa zabrzmiały nie-

przekonywująco.

Wiara Bretona w możliwość odbywania podróży w czasie rodziła się w bólach przez wiele miesięcy.

Wrócił wprawdzie do pracy, ale nie był w stanie rozwiązać najprostszych problemów typu administracyjnego, nie mówiąc już o podejmowaniu decyzji merytorycznych. Z pomocą więc trzech inżynierów Hetty prowadziła biuro w sposób zbliżony przynajmniej do normalnego. Początkowo Breton siadywał godzinami przy biurku wpatrując się w pozbawione dla niego wszelkiego sensu rysunki, niezdolny myśleć o niczym innym poza Kate i rolę, jaką odegrał w jej śmierci. Chwilami próbował nawet pisać wiersze, aby wysublimować swój stosunek do Kate i nadać mu mniej osobisty charakter. Obfite zimowe śniegi spowity Montane w całun ciszy i Breton patrzył, jak otula on szeregi zaparkowanych przed budynkiem samochodów. Cisza zdawała się ogarniać jego własne ciało do tego stopnia, że niemal słyszał działanie jego mechanizmu, krążenie soków żywotnych, przenikanie powietrza do płuc, nieustanne nasiąkanie tętnic kroplistym deszczem cholesterolu...

I mniej więcej co sześć-siedem dni dokonywał podróży w czasie - zawsze kończących się tamtą sceną z Kate. To wiązy były tak przezroczyście, jak gdyby w ogóle nie istniały, to znowu wznosiły się, czarne i namacalne, stwarzając złudzenie, że gdyby nie silne oślepiające światło bijące od wystaw sklepowych i reflektorów samochodowych, mógłby zobaczyć u ich stóp dwie poruszające się postacie.

W miarę stopniowego uniezależniania się od świata zewnętrznego Breton coraz intensywniej odczuwał zjawi-

ska, w których rozpoznawał objawy poprzedzające podróż w czasie. Najpierw doznawał wzmożonego pobudzenia nerwowego, które kończyło się gwałtownym stanem euforycznym, co przynajmniej pozornie uwalniało go od uczucia rozpacz, wkrótce zaś potem następowały pierwsze zaburzenia wzroku, początkowo nieznaczne migotanie, rozciągające się stopniowo na całe pole widzenia prawego oka. Kiedy to zjawisko zaczynało ustępować, dochodziło do przesunięcia rzeczywistości i - Breton cofał się w przeszłość.

Odkrycie, że zaburzenia wizualne zdarzają się i innym, zdumiało Bretona, który w dzieciństwie próbował opisywać te zjawiska kolegom i nie znalazł u nich żadnego zrozumienia. Nawet rodzice przejawiali jedynie pobłażliwe, zaprawione ironią zainteresowanie i Breton nigdy nie zdołał ich przekonać, że nie są to plamy wywołane patrzeniem w ostre światło. Nauczył się w ogóle nie mówić o swoich podróżach w czasie ani o niczym, co było z nimi związane, i doszedł do przekonania, że jest to zjawisko unikalne, właściwe tylko jemu, Jackowi Bretonowi. Ale przypadkowa rozmowa z Harrym Calderem zmieniła jego pogląd na sprawę, a zainteresowanie, jakie w nim obudziła, stanowiło jedyny jasny punkt w gorzkiej, ponurej rzeczywistości.

Breton zaczął spędzać popołudnia w bibliotece publicznej, uświadamiając sobie, że dojrzewa w nim pomysł, przy którym poprzednie fantazjowanie na temat mordercy Kate było tylko szkicem roboczym; mimo to jednak nie był w stanie zignorować natarczywości, z jaką wdzierał się on w jego świadomość. Przeczytał skąpą literaturę na temat migreny, potem przeszedł do ogólniejszych dzieł medycznych, biografii znanych ludzi cierpiących na migrenę,

wreszcie przestudiował wszystko, co podsunęła mu intuicja jako pożyteczne w osiągnięciu celu, do którego dążył. Nigdy dotychczas nie kojarząc sobie swojego przypadku z migreną, odnosił niejasne wrażenie, że to stosunkowo świeże skutki stresów wysoko rozwiniętej cywilizacji. Tymczasem na podstawie lektur dowiedział się, że już w starożytności migrena była znana, między innymi Grekom, którzy nazywali ją hemicranią, połowicznym bólem głowy. W znacznej większości przypadków po zaburzeniach wzroku następował silny ból głowy obejmujący tylko połowę czaszki, a następnie mdłości. Byli ludzie, którym udawało się uniknąć jednego z tych dwóch symptomów, a nawet istniała nieliczna grupa takich, których omijały oba. Ten ostatni przypadek nazwano *hemicrania sine dolore*. Najbardziej w tym wszystkim intrygową Bretona zadziwiająca dokładność, z jaką jego własne zaburzenia wizualne bywały opisywane przez innych ludzi w innych czasach. Terminy medyczne, jakimi je określano, były różne - teichopsja, tańczące mroczki w polu widzenia - ale Bretonowi najtrafniejsze wydawało się określenie „zygzaki”. Po raz pierwszy sformułowania tego użył osiemnastowieczny lekarz, John Fothergill, który napisał: „...szczególny rodzaj migotania przed oczyma, przedmioty szybko zmieniające swoje położenie otoczone przez świetliste linie łamane przypominające zygzaki”.

Fothergill kładł to na karb spożywania na śniadanie nadmiernych ilości grzanek z masłem. Wyjaśnienie to wydało się Bretonowi równie mało warte, jak najnowocześniejsze teorie mówiące niejasno o chwilowych podrażnieniach mózgowych ośrodków wzroku. Pewnego pochmurnego

popołudnia, kiedy skupiony siedział w starym budynku wśród innych czytelników, w pewnym momencie, przewracając kartki jakiegoś nieznanego pisma poświęconego zagadnieniom zdrowia, z najwyższym zaskoczeniem zauważył bardzo dokładne rysunki nie zygzaków jednak - temu nie sprostałby żaden artysta - tylko czarnej gwiazdy, jaka czasami pojawia się w ich miejsce.

Jeden z rysunków został wykonany przez francuskiego filozofa, Blaise'a Pascala, drugi zaś pochodził aż z dwunastego wieku i stanowił dzieło przeoryszy, Hildegardy z Blnge.

„Widziałam wielką gwiazdę - pisała przeorysza - wspaniałą i piękną, która wśród nieprzebranego krocia spadających iskier podążała na południe... nagle wszystko to zniknęło zamieniając się w czarne węgle, ciśnięte w przepaść, gdzie nic już nie mogłam dojrzeć”.

Breton szybko zaczął czytać dalej, ale jak we wszelkich tego rodzaju zapisach, nie było żadnej wzmianki o następującej potem wizji przeszłości. Przynajmniej pod tym jednym względem, wydawało się, jego doznania miały rzeczywiście charakter unikalny.

W rok później Breton pedantycznie zapisał w swoim notatniku:

„Teraz bardziej niż kiedykolwiek skłaniam się ku teorii, że wszyscy cierpiący na migrenę to niedoszli podróżnicy w czasie. Siłą napędową jest pragnienie powrotu do przeszłości częściowo dlatego, żeby raz jeszcze przeżyć momenty wielkiego szczęścia, ale przede wszystkim, aby naprawić błędy, które, jak widać z perspektywy czasu, miały

zgubny wpływ na bieg wypadków.

Przed śmiercią Kate stanowiąc wypadek dość nietypowy: niewiele mi brakowało, bym mógł odbywać podróże w czasie bez jakiegokolwiek poważniejszej motywacji; po prostu na skutek przypadkowego stanu, w jakim znalazł się akurat mój system nerwowy. Zakłócenia wzroku mogą być spowodowane okresowymi zaburzeniami siatkówki, która jest bądź co bądź przedłużeniem mózgu, a tym samym narządem zmysłu najściślej powiązany z centralnym systemem nerwowym.

Od czasu śmierci Kate mój potencjał sił działających wstecz osiągnął nienormalnie wysoki poziom, czego wynikiem były częste podróże. Pomijając problem zbudowania filozoficznej konstrukcji obejmującej fizyczne Implikacje zjawiska, pozostaje jeszcze sprawa zastosowania teorii w praktyce. Ergotamina, methysergid, diuretyki - wszystkie te środki mają na celu złagodzenie dolegliwości wywołanych migreną, ale przecież nie o migrenę mi chodzi...”

I w pięć lat później:

„Dziś przyszedł comiesięczny czek od Hetty. Opiewa na większą sumę niż zwykle, co mi umożliwi uregulowanie moich rachunków z Towarzystwem Naukowym z Clermont - wielka dla mnie ulga. Nie chciałbym na tym etapie zawieść ich zaufania, chociaż mam jeszcze przecież w rezerwie dom, którego wartość ostatnio znacznie wzrosła. (Cóż to był za wspaniały pomysł, żeby formalne kierownictwo przedsiębiorstwa powierzyć Hetty i temu nowemu facetowi, Tougherowi. Jedyнным moim zmartwieniem jest narzucające

mi się coraz silniej podejrzenie, że Hetty czasami dokłada do mnie z własnej kieszeni).

Dziś wielki dzień. Moja praca ostatecznie przeszła ze stadium wstępnych poszukiwań w stadium konstruktywnego eksperymentu. Mógłbym je osiągnąć znacznie wcześniej, gdyby nie pewne fałszywe posunięcia. Wszystkie one zostały mi zasugerowane przez doktora Gameta z zakładu migreny kliniki, ale na szczęście jestem na najlepszej drodze do zerwania z nimi stosunków. Objawy prodromalne, zaburzenia ukrwienia mózgu, reakcja na różne leki, przemiana aminokwasów - to wszystko bzdury. (Przynajmniej jeśli chodzi o moją pracę. A zresztą jestem niesprawiedliwy wobec Gameta).

I pomyśleć, że mój wielki przełom nastąpił dzięki użyciu wadliwie zaprojektowanego śrubokręta!

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby wyciągnąć płyn z wielkiego bąbla, jaki mi się zrobił na prawej dłoni, chyba tylko to, że ostatnio wiele myślałem o tym, żeby bólu spowodowanego migreną użyć jako mechanizmu napędowego służącego zwielokrotnieniu impulsów chronomobilnych. Prowadzone w klinice badania wykazały, że u ludzi, których przypadku niestety nie można zakwalifikować jako *hemicrania sine dolore*, w czasie ataku migreny w okolicy tętnic głowy wydzielają się substancje zwane kininami.

Płyn zawarty w pęcherzach sam nie powoduje bólu, udało mi się jednak dowieść, że w zetknięciu ze szkłem produkuje kininy; ponownie wprowadzony do pęcherza wywołuje ból ponad wszelką wątpliwość. Kiedy więc podczas pierwszych zaburzeń wzroku, zwiastujących moje ostatnie trzy podróże w czasie, wstrzyknąłem sobie kininę,

doznałem prawdziwej migreny i po raz pierwszy słyszałem, jak te trzy wiązy szumią na wietrze !

Ten etap mojej pracy został już zakończony i obecnie stanąłem przed problemem czasowego przemieszczenia stosunkowo pokaźnej masy, czyli mojego własnego ciała. Do tego celu będzie konieczne znaczne wzmocnienie impulsów nerwowych i mam niejasne przeczucie, że muszę poszukać jakiejś luki w prawie Kirchoffa.

Mimo to jestem dobrej myśli. Muszę się jednak uspokoić, żeby nie wywołać podróży w czasie. Podniecenie jest znanym czynnikiem wyzwalającym ataki migreny. Zannotowałem sobie gdzieś komentarz pewnego francuskiego patrioty, doktora Edwarda Liveinga, który w roku 1873 powiedział: Wiemy wszyscy, że nie każdy może sobie pozwolić na bezkarne uczestniczenie w pewnych uroczystościach, gdzie chwałę Francji celebruje się z wielkim szumem...”

I znów po dalszych trzech latach:

„Podważenie prawa Kirchoffa okazało się łatwiejsze, niż sobie wyobrażałem - założenie istnienia czwartego wymiaru rozwiązuje tak wiele problemów - nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak wielkich nakładów finansowych będzie to wymagało. Sprzedaż domu wraz z urządzeniem pokryła tylko nieznaczną część moich potrzeb. Na szczęście udało mi się wyperswadować Hetty i Carlowi Tougherowi, żeby zawartą z nimi na osiem lat umowę unieważnić i po prostu sprzedać im firmę. Martwią się o mnie bardzo, szczególnie Hetty, ale chyba zdołałem ich przekonać, że jestem przy zdrowych zmysłach i w dobrej kondycji fi-

zycznej. Nawiasem mówiąc, Hetty postarzała się wyraźnie i za dużo pali.

Kate, najdroższa, ostatni już raz zwracam się do ciebie za pośrednictwem tego notatnika. Zbliży się chwila, kiedy będziemy mogli razem przewracać jego kartki. Do zobaczenia więc, kochanie, do zobaczenia...”

Bpstort poczekał do zmroku i dopiero potem poszedł do parku.

Zatrzymał starego Buicka kilkaset jardów od wejścia przy Pięćdziesiątej Alei i przez parę minut sprawdzał, czy sprzęt jest w porządku. A więc najpierw kapelusz. Leżał sobie na tylnym siedzeniu, nie różniąc się niczym od pierwszego lepszego lekko podniszczzonego kapelusza, tyle tylko, że spod jego runda błyskało tu i ówdzie pomarańczowe światło. Breton sięgnął po kapelusz, nasadził go sobie starannie na głowę, a następnie połączył przewody zwisające spod taśmy wewnętrznej z przewodami wystającymi mu zza kołnierza koszuli. Kiedy się już z tym uporał, podniósł do góry kołnierz nieprzemakalnego płaszcza i na próbę poruszył rękami i nogami. Sieć przewodów przyklepiona do całego ciała ciągnęła boleśnie za skórę, ale przynajmniej miał całkowitą swobodę ruchów.

Teraz z kolei zajął się sztucerem. Kiedy zabierał z domu swoje rzeczy osobiste, znalazł go w szafce w suterenie, pokryty grubą warstwą kurzu, i zabrał do świeżo wynajętego mieszkania na stronie wschodniej. Sprawdzając, czy broń jest sprawna, stwierdził, że na skutek jakiegoś dawno zapomnianego wypadku ma skrzywioną iglicę, i dał

sztucer do naprawy. Jego smukła sylwetka została teraz oszpecona przez wybrzuszenie noktowizora, który Breton kazał założyć, żeby móc się posługiwać bronią w ciemności. Załadował magazynek chłodnymi, mosiężnymi nabojami, które wyjął z kieszeni, i włożył do sztucera. Niewykluczone, że będzie miał nie więcej niż dwie sekundy na to, żeby wycelować i wypalić, nie mógł więc sobie pozwolić na najmniejszą choćby stratę cennego czasu.

Przez kilka minut siedział bez ruchu czekając, aż najbliższa okolica się wyludni. Ostatnią podróż odbył mniej więcej tydzień temu i czuł, że pora jest odpowiednia. Wszystkie żyły tętniły mu z podniecenia, co stanowiło podstawowy czynnik wyzwalający atak migreny - a elektryczne impulsy w jego mózgu były szybsze od normalnych, wywołując stan pełnego napięcia uniesienia. Niemal psychodeliczna zmiana w doznaniach, tak dobrze znana cierpiącym na migrenę jako symptom nadchodzącego ataku, oddziaływała na jego świadomość otaczając wszystkie codzienne przedmioty zatrutą aurą groźnej nieuchronności, ponurego niebezpieczeństwa. Kiedy tylko ulica opustoszała, Breton wysiadł z samochodu, wyciągnął sztucer, otulił go szczelnie płaszczem nieprzemakalnym i ujął przez kieszeń. Powiewy nocnego wiatru uderzały w niego ze wszystkich stron, obmacując go jak palce ślepeca, kiedy szedł niepewnie z ukrytym ciężarem.

W momencie gdy podchodził do wejścia od strony Pięćdziesiątej Alei, zaczęły się pierwsze zaburzenia wzroku. Nieśmiało migotanie rozszerzało się coraz bardziej na pole widzenia prawego oka, roztaczając feerię tęczowych barw. Bretonowi przypominało to rojące się kłębowisko żuków

wodnych, w których lśniących brązowych pokrywach rozszczepia się światło słoneczne. Był zadowolony, że to nie spadająca czarna gwiazda; zygzaki formowały się dłużej, stwarzając jakąś rezerwę czasu.

Wszedł do parku, kierując się ku centrum ścieżkami, na których szeleściły metalicznie zeszcpane liście. Nieliczni ludzie, głównie pary, siedzieli na ławkach w pobliżu oświetlonych ścieżek, ale Breton skręcił w bok ku rozległemu trawnikowi pośrodku, gdzie w ciągu kilku sekund wchłonęła go dyskretna ciemność. Wyjął spod płaszcza broń i niepewnie uniósł ją do twarzy, żeby skontrolować noktowizor, ale prawe oko miał oślepięte przez kawalkadę przesuwających się przed nim kolorowych zygzaków, uświadomił więc sobie, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko zaufać uprzedniemu nastawieniu. Ruchliwa barwna zasłona osiągała właśnie maksymalne rozmiary, kiedy znalazł trzy wiązki.

Zbliżył się na odległość trzydziestu jardów do wyznaczonego drzewami trójkąta, przełożył lewe ramię przez szeroki skórzany pas broni i przyklęknął na jedno kolano przyjmując klasyczną pozycję strzelca. Podmokły grunt odciskał na jego nodze chłodny, wilgotny owal. Musiałem chyba oszaleć, pomyślał uświadamiając sobie, że w kółko powtarza szeptem imię Kate. Dotknął brzegu kapelusza, dobywając z niego niski brzęczący dźwięk, którego źródłem były wysoko wydajne baterie umieszczone w różnych punktach jego ciała. W tym samym momencie podłączony do obwodu i zaszyty pod skórą pistolet wystrzelił porcję kininy do wygolonego miejsca ponad prawą skronią. Breton poczuł lodowate ułknięcie, a następnie potworny ból i jego

powolne rozprzestrzenianie się w miarę jak środek chemiczny rozchodził się po tętnicach mózgu. Zauważył, zupełnie abstrakcyjnie, że w pobliżu nie ma ludzi, że jego usilne zabiegi, by w najmniejszym nawet stopniu nie zwrócić na siebie uwagi, okazały się zupełnie zbyteczne. W pewnym momencie tęczowa świetlista zasłona zaczęła się gwałtownie kurczyć. Tak, nadszedł czas. - Kate! - wykrzyknął. - Kate!

Zbliżała się niepewnie w ciemności, a jej bladoniebieska suknia i srebrzysty szal świeciły, jak gdyby nafosforyzowane. Spod strzępiastego luku wiązów wysunął się czarny kształt skrzecząc jak ohydny drapieżny ptak. Z uniesionymi do góry rękami zwał się z Kate, którą wstrząsnął szloch przerażenia. Breton wycelowwał w czarną sylwetkę, ale jego palec zawahał się na spuście. Ciała tych dwojga były tak ciasno splecione, że przecież kula mogła przeszyć oboje - i co wtedy? Uniósł odrobinę lewe ramię i kiedy na moment środek celownika znalazł się na głowie mężczyzny, instynktownie wypalił. Sztucer kopnął go w ramię, a ciemna głowa przestała być głową...

Breton leżał przez dłuższy czas z twarzą wtuloną w mikrokosmos poprzerastanych trawą korzeni drzew. Czuł pod lewą ręką ciepło rozgrzanej od tego jedyne strzału lufy, czuł, jak stygnie, i przez cały czas nie był w stanie się ruszyć. Ogarnęło go wyczerpanie tak obezwładniające, że doprowadzenie do końca bodaj myśli wymagało nadludzkiego wysiłku. Ciekawe, jak długo tutaj leżę? - zastanawiał się. Lęk, że ktoś nadejdzie i go tu znajdzie, nie dawał mu

spokoju, stopniowo przeradzając się w panikę, ale Breton czuł się tak, jakby był uwięziony w martwym ciele.

Jego umysł też zachowywał się zupełnie inaczej. Ustąpiło napięcie, nagromadzona energia doznała rozładowania w niesamowitym psychicznym orgazmie podróży. Wielkiej podróży. Dokonałem tego wreszcie, pomyślał z satysfakcją: osiem lat nieustannej pracy zaowocowało chwilą sukcesu. Zatrzymałem nieubłagany bieg czasu i...

Kat !

Nagła świadomość tego, co się stało, podziałała na niego jak szok: Breton poruszył się mimo woli i wyprostował ręce. Proces wstawania był długi; najpierw siłą ramion oderwał ciało od ziemi, następnie oparł się mocno na piętach i dopiero na koniec zmusił odporne nogi, by wzięły na siebie cały ciężar. Zdjął z ramienia broń, schował ją pod płaszcz i zaczął się oddalać. W pobliżu więzów nie było nikogo, ale nie zdziwiło go to specjalnie. Mężczyznę, którego zabił, znaleziono i zabrano osiem lat temu, a Kate z pewnością była w domu. Miejsce kobiety jest w domu, pomyślał idiotycznie i zaczął biec zataczając się groteskowo, ponieważ nogi odmawiały mu posłuszeństwa. To nieprzytomne uniesienie trwało aż do momentu, kiedy zbliżył się do wejścia, zobaczył dwie młeczne kule wsparte na bliźniaczych słupach i zaczął myśleć.

Nagle jakiś głos szepnął mu: „Jeżeli Kate jest w domu, to co ty robisz tu w parku z bronią?”

„Jeżeli Kate żyje, to jak możesz pamiętać jej pogrzeb?”

Nieco później Breton, korzystając ze stanu pełnej poczytalności, przejechał koło swojego domu. Nowi właściciele jeszcze się nie wprowadzili i tabliczka z napisem „Na sprzedaż” tkwiła w dalszym ciągu w ogrodzie, odbijając zabłąkane promienie światła latarni ulicznych. Breton zapragnął nagle wejść do domu i upewnić się, ale zamiast tego nacisnął mocno pedał gazu. Stary Buick zawahał się przez moment, a następnie pomknął cichą ulicą. We wszystkich innych domach było widno.

Breton podjechał do baru w północnej części miasta, położonego już właściwie na skraju prerii, gdzie wiechcie chwastów ocierały się o drzwi jak wygłodniałe psiska. Usadowiwszy się przy długim barze zamówił whisky, pierwszą od czasu tamtego koszmarne pijaństwa sprzed ośmiu dni, i zapatrzył się w jej bursztynową głębię. Jak mógł nie odgadnąć tego, co nieuchronne? Dlaczego jego umysł kroczył tak daleko swoją samotną drogą, by cofnąć się przed ostatnim, jakże oczywistym wnioskiem?

Wróci w czasie aż do tamtego momentu, kiedy zastrzelił tego człowieka - ale przecież nie zmieni to rzeczywistości, w której Kate poniosła śmierć. Breton umoczył palec w whisky i na gładkiej plastikowej powierzchni baru nakreślił prostą linię. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym dorysował odgałęzienie. Jeżeli pierwsza linia reprezentowała jego strumień czasu, ten, w którym nic się nie zmieniło, to wobec tego te kilka sekund, wyrwane z przeszłości, potoczyło się innym torem. Kiedy minął krótki moment zabijania, wrócił do terażniejszości w swoim własnym strumieniu czasu. Zamiast przywrócić w nim Kate życie, zapobiegł jej śmierci w tym drugim.

Breton znów tyknął whisky usiłując oswoić się z myślą, że Kate gdzieś żyje. Spojrzał na zegarek. Była prawie północ. Kate może jest już w łóżku albo pije ostatnią filiżankę kawy ze swoim mężem - drugim Jackiem Bretonem. Ponieważ podróż Bretona w przeszłość, ustanawiając nowy strumień czasu, stworzyła inny wszechświat, w którym istniał duplikat Jacka Bretona. Ten inny wszechświat musi mieć swoje miasta, lądy i oceany, planety, gwiazdy i uciekające galaktyki, ale żadna z tych rzeczy nie ma najmniejszego znaczenia wobec faktu, że obdarzył Kate innym życiem, które miała dzielić z innym mężczyzną. Oczywiście błędem byłoby twierdzić, że ten mężczyzna to on sam, ponieważ człowiek stanowi sumę pewnych określonych doświadczeń, a przecież tamten drugi Breton nie patrzył na martwą twarz Kate, nie doznawał wyrzutów sumienia i nie poświęcił ośmiu lat życia obsesyjnym wysiłkom zmierzającym do przywrócenia Kate Breton.

Rozgałęziona linia, którą narysował, biegła dalej, kończąc się aż gdzieś poza barem. Breton wpatrywał się w nią ponuro. Miał uczucie, że wyczerpał coś, co w nim tkwiło, że już nigdy nie będzie w stanie zmobilizować tej wielkiej siły, która rzuciła go wstecz pokonując bariery czasu. Ale gdyby tak...

Ponownie zmoczył palec i postawił kropkę na linii reprezentującej główny strumień czasu, zaznaczając w ten sposób terażniejszość, a następnie równolegle umieścił bliźniaczy punkt na odgałęzieniu linii. Po chwili namysłu połączył oba punkty grubą kreską. Nagle zrozumiał, dlaczego głęboko ukryta, ale czujna część jego świadomości, rządząca tym! sprawami, pozwoliła mu posuwać się drogą

obraną przed ośmiu laty. Rzucił wyzwanie czasowi, aby powołać do życia inną Kate, co było znacznie trudniejszym zadaniem niż to, które miał jeszcze przed sobą. Bo teraz wystarczyłoby już tylko po nią sięgnąć.

IV

Było dobrze po północy, kiedy Jack Breton przestał mówić, ale widział, że są prawie przekonani.

W pewnym momencie John Breton i Kate zaczęli mu wierzyć; dlatego - żeby nie stracić ich zaufania - należało być bardzo ostrożnym. Jak dotąd wszystko, co im powiedział, było prawda, ale teraz zaczniesz kłamać i musi uważać, żeby nie wpaść we własne sidła. Rozsiadł się w głębokim fotelu, wpatrzony w Kate. W ciągu ostatnich dziewięciu lat nie zaszły w niej prawie żadne zmiany fizyczne, z wyjątkiem może oczu i tego, że teraz była świadoma swojej urody.

- To musi być jakiś trik - powiedziała w napięciu, nie chcąc bez walki rezygnować ze zdrowego rozsądku. - Każdy ma jakiegoś sobowtóra.

- Skąd wiesz? - Obydwaj Bretonowie zapytali jednocześnie, idealnie zestrojeni, i spojrzeli na siebie. Kate zbladła, jak gdyby ten przypadek stanowił dla niej jakiś dowód.

- Czytałam o tym...

- Kate studiuje dziwne pisma - przerwał jej John. - Jeżeli jakaś rzecz zdarzy się niezależnie supermenowi i Dickowi Trący, to znaczy, że jest prawdziwa; logiczna.

- Nie odzywaj się do niej w ten sposób - powiedział Jack spokojnie, z trudem opanowując nagły przyptyk złości pod adresem swojego drugiego wcielenia. - To nie tak łatwo uwierzyć od razu bez dowodów. Powinieneś o tym wiedzieć, John.

- Dowodów? - Kate ożywiła się natychmiast - A o Jakich dowodach może tu być mowa?

- Na przykład odciski palców - odparł Jack. - Ale do

tego trzeba mieć odpowiednie wyposażenie. Wspomnienia są znacznie łatwiejsze. Powiedziałem Johnowi o czymś, o czym nie wie poza nim nikt na świecie.

- Aha. To znaczy, że ja powinnam cię poddać takiej samej próbie.

- Tak. - W jego głosie zabrzmiała nagle nuta wątpliwości.

- Zgoda. A więc pojechaliśmy z Johnem w podróż poślubną do Lake Louise. W dniu, w którym stamtąd wyjeżdżaliśmy, poszliśmy do sklepu indiańskiego i kupiliśmy kilka kilimków.

- Oczywiście, że kupiliśmy - odparł Jack kładąc delikatny nacisk na końcówkę. - Tam koło okna właśnie jeden z nich wisi.

- Ale to nie wszystko. Stara właścicielka sklepu dała mi coś w prezencie, dlatego że byliśmy w podróży poślubnej. Co to było? - Twarz Kate zdradzała napięcie.

- Nie... - Jack zawahał się. Coś musiało nawalić. Pokonała go, i to zupełnie bez wysiłku. - Nie pamiętam, ale to niczego nie dowodzi.

- Nie dowodzi? - Kate patrzyła na niego z tryumfem. - Rzeczywiście nie dowodzi?

- Nie, nie dowodzi - wtrącił John Breton. - Ja tego szczegółu też nie pamiętam, kochanie. Nie przypominam sobie, żeby ta stara wiedźma cokolwiek nam dała. - W jego głosie zabrzmiała skrucha.

- John! - Zwróciła się ku niemu Kate. - A ta para małych mokasyneków dla dziecka !

- Niczego takiego sobie nie przypominam, nigdy ich tu nie widziałem.

- Bo nie mamy dziecka!

- To są zalety planowania rodziny. - John Breton uśmiechnął się głupawo, po pijacku, do szklaneczki whisky.

- Że się jej nie ma.

- Ty zawsze z tymi swoimi beznadziejnymi dowcipasami - powiedziała Kale z goryczą.

Jack słuchał tego z dziwnym uczuciem konsternacji, Stworzył tych ludzi z taką pewnością, jak gdyby chodząc po Ziemi pośród biblijnych błyskawic tchnął życie w dwie brytki gliny, a przecież żyli oni niezależnie od niego. Przez dziewięć lat, pomyślał, żyli nieświadomi tego, że są oszukiwani. Dotknął palcami gładkiej metalowej powierzchni pistoletu w kieszeni.

John Breton przejechał palcem po krawędzi szklaneczki wydobywając z niej srebrzysty brzęczący dźwięk.

- Problem polega na tym, że my wiemy, że ten człowiek mówi prawdę. Widzę siebie siedzącego tam naprzeciwko i ty widzisz mnie siedzącego tam naprzeciwko. Spójrz na tę spinkę do krawata - dam głowę, że to jest ta sama, którą zrobiłaś własnoręcznie na tym kursie Jubilerskim, na który chodziłaś przed ślubem. Prawda... Jack?

Jack Breton skinął głową. Odpiął wytartą spinkę i wyciągnął ją w stronę Kate. Zawahała się, po czym wzięła ją tak, żeby ich ręce się nie spotkały. Unosząc spinkę do światła z absurdalnie profesjonalnym gestem zmrużyła oczy, a jemu ze wzruszenia zaparło dech. Wstała gwałtownie i wyszła z pokoju, pozostawiając ich samych -dwóch mężczyzn, którzy patrzyli na siebie poprzez palenisko kominka pełne bielejących polan.

- Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? - powiedział

John Breton starając się, by jego głos zabrzmiał obojętnie.

- Tak. Straciłem jeszcze jeden rok na zmodyfikowanie chronomobilu, tak żebym mógł odbywać podróże w czasie. Potrzeba do tego celu znikomej ilości energii, ale za to stale. Na przykład, żeby się tutaj dostać, odbyłem podróż, która zajęła mi, powiedzmy, jedną milionową sekundy - co jest oczywiście równie „niemożliwe”, jak gdyby miała trwać rok - powodując czasowy rykoszet...

- Nie o to mi chodzi - przerwał mu John. - Chodzi mi o to, jakie masz plany. Co się stanie teraz?

- A co według ciebie powinno się stać? Jak już powiedziałem, żyjesz z moją żoną, którą chcę odzyskać. - Jack Breton uważnie obserwował reakcję swojego drugiego wcielenia i stwierdził, że jest ona zdumiewająco słaba.

- Ale przecież Kate jest moją żoną. Sam mówiłeś, że puściłeś swoją żonę bez opieki i że przez ciebie została zamordowana.

- W tym samym stopniu co i przez ciebie, John. Ale to ja poświęciłem dziewięć lat życia, żeby móc wrócić i naprawić twój błąd. Nie zapominaj o tym, przyjacielu.

Usta Johna Bretona zacięły się w uporze.

- W twoim rozumowaniu jest coś z gruntu niewłaściwego, ale ja mimo to chcę wiedzieć, co zamierzasz dalej. Czy masz w kieszeni broń?

- Naturalnie, że nie - odparł Jack szybko. - Jak mógłbym chociażby pomyśleć o zabiciu ciebie, przecież to by się równało samobójstwu. - Przerwał wsłuchując się, jak Kate na górze otwiera i zamyka szuflady. - Nie. mamy do czynienia z odwiecznym problemem trójkąta i jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji jest wybranie przez za-

interesowaną damę jednego z nas.

- Ale mi wybór!

- Oczywiście, że jest to wybór, John. Przez dziewięć lat zmieniliśmy się obaj. Jesteśmy dwoma różnymi mężczyznami, z których każdy rości sobie prawa do Kate. Chciałbym tu zostać na jakiś tydzień, żeby zdążyła oswoić się z tą myślą, a potem...

- Chyba zwariowałeś! Nie możesz tak po prostu wpakować się między nas!

Nagły wybuch złości Johna Bretona zdumiał Jacka.

- Dlaczego niby nie? To jest chyba zupełnie normalne.

- Normalne?! Zjawiasz się nagle nie wiadomo skąd...

- Już raz wzięłem się nie wiadomo skąd i wtedy Kate była z tego zupełnie zadowolona - przerwał mu Jack. - Być może mam jej jeszcze coś do zaoferowania. Nie wydaje mi się, żeby wasze pożycie było specjalnie szczęśliwe.

- To nasza sprawa.

- Zgoda; twoja, Kate i moja. Nasza sprawa, John. John Breton zerwał się z krzesła, ale zanim zdążył coś powiedzieć, weszła Kate. Odwrócił się do niej tyłem i zaczął kopać butem dopalające się polana, które eksplodowały w ciemną głąb kominka fajerwerkami topazowych iskier.

- Znalazłam - powiedziała spokojnie Kate. W wyciągniętych rękach trzymała dwie identyczne złote spinki do krawata. - Są takie same, John. A ja poznaję swoją robotę.

- Jak ci się to podoba? - powiedział z goryczą John Breton do kolorowych kamieni kominka. - Przekonała ją spinka do krawata. Pierwszy lepszy facet mógł podszyć się pode mnie i to nic dla niej nie znaczy, ale za to jest pewna, że nikt nie podrobi tak precyzyjnej rzeczy jak jej cholerna

spinka.

- Tu nie ma miejsca na dziecinadę - Kate patrzyła w plecy Johna, podczas gdy jedno z jej przesadnie pogardliwych spojrzeń trafiało w próżnię.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni - powiedział Jack. - Chętnie bym się położył.

Kate podeszła do niego niepewnie, wręczając mu jego spinkę, ich palce zetknęły się na moment, budząc w nim gorące pragnienie objęcia ramionami jej aż boleśnie bliskiego ciała, ciasno spowitego w jedwab. Ich oczy spotkały się i przywarły do siebie na chwilę tworząc oś, wokół której reszta świata zdawała się wirować jak kłęby chmur porwane trąbą powietrzną. Zanim się odwróciła, odniósł wrażenie, że dostrzega w jej twarzy całe współczucie i przebaczenie, którego tak rozpaczliwie pragnął w ciągu ubiegłych dwięciu lat.

Później stał w oknie gościnnego pokoju wsłuchując się w odgłosy starego domu, który szykował się do snu na tę niewielką część nocy, jaka im jeszcze została. Tydzień, pomyślał. Tyle mogę poczekać. Po upływie tygodnia będę w stanie zająć miejsce Johna Bretona i nikt, poza Kate, nie zauważy różnicy.

Kiedy odwracał się od okna, nocne niebo rozpadło się nagle na miliony gwiazdnych odłamków w ulewie krzyżujących się meteorów. Położył się i usiłował zasnąć, ale z uczuciem dziwnego niepokoju stwierdził, że oczekuje dalszej eksplozji gwiazd.

Na koniec wstał, zaciągnął zasłony i pograżył się w

ciepłym, czarnym oceanie snu.

V

John Breton wolno otworzył oczy i wytężając wzrok w bursztynowym świetle z przyjemnym jak gdyby przerażeniem czekał na powracające falami poczucie tożsamości. Prostokąt bladego światła: co to może być? Okno sypialni w mroku? Jakaś nieznana postać ducha wyzwolonego z ciała? Ekran kinowy? Drzwi z jakiegoś innego wymiaru? Czasami wydawało mu się, że każdy sen powoduje niejako roztopienie się jego osobowości i że jej ponowne formowanie się co rano zależy całkowicie od tego, czy znajdzie się we właściwych realiach. Gdyby na przykład obudził się w innym otoczeniu, wśród innych przedmiotów, mógłby podjąć zupełnie inne życie, z lekkim jedynie podejrzeniem, że coś jest nie w porządku.

Poczuł ruch obok siebie w łóżku i obrócił się w tamtą stronę.

Śpiąca twarz Kate...

Rozbudził się całkowicie przypominając sobie wieczór i zjawienie się Jacka Bretona. Było to chudsze, nędzniej ubrane, bardziej uparte wcielenie jego samego. Beznadziejny facet, jakieś stuknięte stworzenie, które nie widzi nic złego w tym, żeby się wpakować człowiekowi i jego żonie do domu, przedstawiając im zupełnie niedorzeczny plan.

Tak więc Kate ma wybierać między jednym a drugim!

Breton usiłował sobie uświadomić, dlaczego nie władował pięści w tę znajomą gębę. Był oczywiście pijany, ale nie tylko to. Czyżby dlatego, że Kate udając, że nie bierze tej sprawy poważnie, godziła się mimo wszystko z sytuacją?

A może dlatego, że ten fantastyczny pomysł w jakiś sposób obnażył słabe strony ich małżeństwa? Są razem jedenaście lat i przez ten czas nie tylko przeżywali wspólne wzloty i upadki, ale - co gorsze - stale oddalali się od siebie. Byli właściwie teraz bez przerwy na noże. Im więcej zarabiał pieniędzy, tym większe Kate miała potrzeby, pracował więc coraz ciężiej, a ona stawała się coraz dalsza i coraz bardziej obojętna. Eskalacja chłodu i oschłości.

Pojawienie się Jacka Bretona mogło oznaczać łatwą, nie obciążoną poczuciem winy ucieczkę. Mogliby sobie gdzieś wyjechać z Kate albo - pomyślał na zimno John - on mógłby ich zostawić samym sobie, pięknie wyplątując się w ten sposób z sytuacji. Weźmie trochę pieniędzy i pojedzie gdziekolwiek - do Europy, do Ameryki Południowej, nawet na Księżyc. Buzz Silvera donosił w swoich ostatnich listach z Florydy, że weźmie każdego dobrego inżyniera z praktyką, który się zgłosi.

Breton leżał w swoim ciepłym, puszystym tunelu, na pół przytomnie zastanawiając się nad tą koncepcją, kiedy wreszcie z opóźnieniem uświadomił sobie na trzeźwo, że ta jego druga osobowość nie była snem. Będzie musiał stawić jej czoło przez cały dzień i przez wiele dni następnych. Dygocąc z lekka, wstał, włożył szlafrok i poszedł na śniadanie.

Kate Breton nie otwierała oczu, dopóki John nie wyszedł z pokoju, po czym nie wstając zaczęła wykonywać nogami takie ruchy, jakby szła, aż prześcieradło utworzyło kłęb w nogach łóżka; leżała tak przez chwilę spokojnie, równoległa do szarobiałej płaszczyzny sufitu. Leżąc zastanawiała się, czy John bierze prysznic, czy poszedł na dół.

Mógł w każdej chwili wrócić do pokoju i zobaczyć, jak leży skrępowana swoją nagością, ale nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia. (Z punktu widzenia antropologicznego nie jesteś poprawnie zbudowana - powiedział jej z zastanowieniem nie dalej jak miesiąc temu. - Budowa kobieca charakteryzuje się kształtami stożkowatymi, a ty masz walcowate).

Jack Breton nigdy by czegoś takiego nie powiedział, pomyślała Kate przypominając sobie chudą, dość obdartą postać z oczyma Swinburne'a z ostatnich dni jego życia. Uczucia emanowały z tego człowieka jak z niemego ekranu, ale mimo że nie czuła z nim więzi psychicznej, to jednak zdawała sobie sprawę, że zaczyna na niego reagować w sposób dojmujący, niepowstrzymany. Jack Breton był niemal klasycznym typem romantycznego bohatera, zdolnego poświęcić życie dla nieosiągalnego ideału. Ta twarz naznaczona piętnem bólu kryła coś, co kazało mu rzucić zwycięskie wyzwanie samemu Czasowi - dla niej, dla Kate Breton. Jestem w pewnym sensie unikalna, pomyślała z satysfakcją.

Atmosfera podniecenia gęstniejąca wokół niej nasiliła się jak uczuciowy cyklon powodując falowanie piersi. Kate wstała i z zadumą przyjrzała się sobie w wysokim lustrze.

Jack Breton stał w oknie gościnnego pokoju patrząc na świat przybrany w poranne szarości. Świat Czasu B. Przyszło mu do głowy, że poza zasadniczą różnicą polegającą na istnieniu Kate te dwa strumienie czasu muszą się między sobą różnić w sposób widoczny. W tym świecie psychopatyczny morderca zginął w dziwnych okolicznościach, które mogły wiele zmienić - zwłaszcza jeśli chodzi o jego niedo-

sze ofiary. Poza tym w Czasie B firma inżynierska Bretona prosperowała doskonale, otwierając przed Johnem rozliczne możliwości i wpływy. Jack Breton uświadomił sobie, że musi obserwować te różnice i przyzwyczać się do nich jak najszybciej, żeby w odpowiednim momencie zająć miejsce Johna Bretona możliwie bez szumu.

Zastanawiając się nad zlikwidowaniem ciała zmarszczył się na widok ciemnych obojętnych sylwetek buków w głębi ogrodu. Poza problemem czysto technicznym pozostawał problem znacznie delikatniejszy: reakcja Kate. Gdyby przez moment chociaż podejrzewała, że zamordował Johna, byłby to koniec wszystkiego. Musi wierzyć, że John zgodził się zniknąć z jej życia albo - gdyby się to nie udało - że zginął w wypadku.

Wzrok Jacka spoczął nagle na małej, srebrzystej kopule widocznej poza linią buków. Aha, to znaczy, że jednak John zbudował w ogrodzie przyzwoite obserwatorium: Jack zawsze zamierzał to zrobić, ale nigdy nie miał czasu. A jego drugie wcielenie tego dokonało. Jego drugie wcielenie żyło dalej z Kate, dokonując wielu rzeczy.

Zmarznięty i samotny, Jack Breton czas jakiś stał jeszcze w oknie, po czym zdał sobie sprawę, że w domu zaczęła się krzątanina. W powietrzu rozszedł się delikatny zapach kawy i smażonej szynki. Wyszedł z sypialni i zszedł długimi schodami do kuchni. Mimo wczesnej pory Kate była już całkowicie ubrana i „zrobiona”. Miała na sobie sweter ze zgrzebnej wełny w kolorze kawy z mlekiem i białą spódnicę. Kiedy wszedł, ustawiała właśnie na stole talerzyki. Na jej widok serce w nim zamarło, a następnie zaczęło walić jak młotem.

- Jak się masz, Kate - powiedział. - Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

- O, jak się masz. Nie, dziękuję. - Jack zobaczył, jak na Jej kościach policzkowych wykwitają plamki.

- Nie powinnaś tracić czasu na zajęcia domowe - powiedział z żartobliwą galanterią.

- Możesz być o to zupełnie spokojny - odezwał się stojący w pobliżu okna John Breton i Jack nagle zdał sobie sprawę z obecności postaci w szlafroku. - Mam służącą, która spełnia w stosunku do Kate rolę falochronu w tych sprawach. A właśnie, o której przychodzi pani Fitz?

- Nie przyjdzie wcale - odparła Kate krótko. - Zadzwoiłam do niej i powiedziałam, że przez kilka dni nie będzie nam potrzebna.

Wydawało się, że John tego nie słyszał. Oparty o parapet, z uchem przy radiu, wyraźnie na coś czekał. Jack ignorując go zwrócił się do Kate.

- No właśnie! - uśmiechnął się. - Nie musiałabyś tego robić, gdyby mnie tu nie było. Mam prawo ci pomóc.

- Kiedy wszystko jest gotowe. Siadajcie, proszę.

Ich oczy spotkały się na chwilę i mało brakowało, by Jack sięgnął i wziął, co jego. Usiadł jednak postusznie, mimo że wszystkie jego zmysły buntowały się przeciwko temu. Wyczerpanie poprzedniego wieczoru ustąpiło i raz jeszcze zachłysnął się cudem istnienia Kate. Była żywa, ciepła, realna - otoczona aurą swej emocjonalnej doniosłości wspanialszą niż wszystkie gwiazdne bezmiary wszechświata Czasu B...

John Breton nagle podkręcił radio i głos spikera podającego wiadomości rozległ się donośnie wywołując

chmurę na czole Kate.

- Czy to radio musi być nastawione tak głośno?

- Bądź cicho przez chwilę.

- Nie rozumiem dlaczego...

- Cicho ! - John nastawił radio na cały regulator i głos spikera ryknął, zniekształcony zakłóceniami.

- "...teraz z kolei we wschodniej półkuli. Rzecznik Obserwatorium Mount Palomar oświadczył, że jest to najwspanialszy deszcz meteorów w historii i że nie zdradza najmniejszej tendencji do słabnięcia. Sprawozdania telewizyjne z Tokio, gdzie w tej chwili zjawisko osiągnęło szczyt, będą nadawane przez wszystkie większe stacje telewizyjne, jak tylko zostaną usunięto usterki satelitów komunikacyjnych, które wystąpiły kilka godzin temu.

Pan C. J. Oxtoby, prezes Ustel, jednego z najpoważniejszych towarzystw obsługujących satelity, zdementował podaną wcześniej wiadomość, jakoby satelity uciekały z orbity synchronicznej. Innym prawdopodobnym wyjaśnieniem zakłóceń w transmisjach ubiegłego wieczora - które spowodowały liczne zażalenia odbiorców - jest uszkodzenie satelitów przez meteory.

A teraz ze spraw lokalnych: propozycja wprowadzenia systemu ulic jednokierunkowych natrafiła na gwałtowne protesty..."

John Breton zgasił radio.

- A życie płynie dalej - powiedział z lekka wyzywająco, jak gdyby się usprawiedliwiał, że nie ma nic ważnego do powiedzenia na temat trójkąta John-Kate-Jack. Jack zastanawiał się przez chwilę, dla kogo to usprawiedliwienie jest przeznaczone.

- Oczywiście, że płynie. Świat idzie naprzód. Zjedz coś i nie myśl o tym za dużo. - Jack uśmiechnął się z wyższością, widząc, jaką wagę jego drugie wcielenie przywiązuje do drobiazgów.

- Nie podobają mi się te meteory - powiedział John siadając. - Wczorajszy dzień to był jeden koszmar. Pomiary grawimetryczne nie wyszły, przyleźli Palfreyowie, wypitem jakieś kosmiczne ilości whisky, na którą nie miałem najmniejszej ochoty, odbyłem najdłuższą w życiu podróż i nawet niebo zaczyna płatać figle, a na dodatek...

- Jakby tego wszystkiego było mało, jeszcze ja się zjawilem - dokończył Jack. - Rozumiem, że to dla ciebie trudna sytuacja, ale mam wszelkie prawo tu być, ustaliliśmy to już wczoraj wieczorem.

- Ty ustaliłeś - burknął John nieuprzejmie. - Nie wyobrażam sobie nawet, jak mam tę sprawę omówić z Kate, skoro cały czas tu z nami sterczysz.

- A co tu jest do omawiania? - odparł Jack Breton, w świetnym humorze, nie przerywając jedzenia.

Widelec Johna zadzwonił o talerz. Przez chwilę John siedział pochylony, gapiąc się w swoje danie, po czym podniósł oczy na Kate z wyrazem niesmaku.

- To jak będzie? Oceniałś już wszystkie nasze zalety i wady?

- Nie patrz tak na mnie - głos Kate był napięty i rozdrażniony. - Ty jesteś panem domu. Jeżeli obecność Jacka ci nie odpowiada, to dlaczego nie zrobisz czegoś w tej sprawie?

- Dlaczego nie zrobię? Bo ty jesteś jedyną osobą, która mogłaby coś zrobić, sam to stwierdził. Wystarczy, że mu

powiesz, żeby sobie poszedł, bo wolisz być ze mną. Cóż prostszego?

- Widzę, że robisz wszystko, żeby sprawę skomplikować - powiedziała Kate wolno. - Czy to celowo?

- Ślicznie, Kate - odparł John, nagle odzyskując rezon. - Bardzo ładnie odwróciłaś kota ogonem. Podziwiam cię.

Wargi Kate poruszyły się bezdźwięcznie, kiedy podniosła do ust kawę w filiżance koloru butelkowego, rzucając mu ponad jej brzegiem jedno ze swoich przesadnie pogardliwych, dziecinnych spojrzeń. Jakie to dziwne, pomyślał Jack, że takie nieprzyjemne uczucie jak pogarda może podzielać na nią tak odmładzająca.

John Breton odsunął talerz i wstał.

- Przykro mi, że przerywam, ale ktoś tu musi przecież pracować.

- Chyba nie wybierasz się do biura! - W głosie Kate słychać było wzburzenie.

- Muszę iść, a poza tym macie sobie chyba wiele do powiedzenia.

Jack ukrył swoje zdumienie wywołane odkryciem pozornej przynajmniej obojętności Johna na bliską przecież perspektywę utraty Kate.

- Czy rzeczywiście musisz iść? A nie może Hetty zastąpić cię przez parę dni?

John zmarszczył czoło.

- Hetty? Jaka Hetty?

- Hetty Calder oczywiście. - Widząc wyraz zakłopotania na twarzy Johna, Jack poczuł niepokój w okolicy serca. Przecież miał to być świat równoległy, identyczny w każdym szczególe, jak więc John Breton może mieć jakiegokolwiek

wątpliwości, kim jest Hetty Calder?

- A, Hetty ! To już taki kawał czasu, że prawie zapomniałem. Hetty przecież nie żyje od siedmiu czy ośmiu lat.

- Jak to?...

- Rak płuc. Myślę, że to było to.

- Ale przecież ja się z nią widziałem najwyżej tydzień temu. Czuta się doskonale i w dalszym ciągu paliła dwie paczki papierosów dziennie.

- Może w twoim świecie zmieniła gatunek papierosów.

- John obojętnie wzruszył ramionami i w tym momencie Jack poczuł, że go nienawidzi.

- Czy to nie dziwne? - zapytała Kate głosem zdumionego dziecka - że ta zabawna kobiecina gdzieś sobie żyje, zajęta swoimi sprawami, i nie ma zielonego pojęcia, żeśmy byli na Jej pogrzebie, ani że tak naprawdę to wcale nie żyje.

Jack Breton odczuł gwałtowną potrzebę poprawienia Kate, ale nie znalazł żadnego logicznego uzasadnienia. Jeżeli bowiem Kate rzeczywiście żyła, to Hetty rzeczywiście musiała nie żyć - wynikało to z całego układu. Popijał więc gorącą kawę, zdumiony silnym uczuciem żalu, jakie wzbudziło w nim wspomnienie brzydkiej, mądrej twarzy Hetty, która jak gdyby oddychała przez wetkniętego w usta papierosa.

- Idę się ubrać. - John Breton zawahał się w drzwiach, jak gdyby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i wyszedł z kuchni, po raz pierwszy zostawiając Jacka samego z Kate. Powietrze było rozgrzane i poprzez zastony wpadały ukośnie rozszczepione, kolorowe promienie bladego słońca. Kuchnię wypełniała pulsująca cisza, a Kate, która rozpacz-

liwie udawała, że je, robiła wrażenie roztargnionej i jak gdyby nie na miejscu na tle przytulnego domowego wnętrza. Sięgnęła po papierosa i zapaliła. Breton tak silnie odczuwał jej obecność, że niemal słyszał, jak tli się tytoń i papier ryżowy jej papierosa, kiedy się zaciągała.

- Wydaje mi się, że przyszedłem w samą porę - powiedział w końcu.

- Niby dlaczego? - Kate unikała jego wzroku.

- Bo chyba jesteście z Johnem bliscy rozejścia się, prawda?

- To może lekka przesada.

- Kate - nalegał Jack - przecież widziałem was razem. Między nami nigdy tak nie było.

Kate patrzyła teraz prosto na niego i Breton dostrzegł niepewność w jej oczach.

- Nie? Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem całą tę historię ze światem A i B, ale aż do tego wieczoru w parku ty i John byliście jedną osobą, tak?

- Tak.

- Oczywiście wtedy też zdarzały nam się kłótnie i sprzeczki. Mam na myśli, że to ty - w tym samym zresztą stopniu co i John - odmówiłeś mi pieniędzy na taksówkę i...

- Kate, daj spokój! - Breton usiłował ogarnąć umysłem to, co mówiła Kate. Miała oczywiście rację, ale w ciągu tych ostatnich dziewięciu lat unikał pewnych wspomnień i jakoś dziwnie nie miał ochoty teraz do nich wracać. Marzenie nie wytrzymało rozdarcia.

- Przepraszam cię, Jack, to było nie fair. - Kate usiłowała się uśmiechnąć. - Żadne z nas nie może się jakoś otrząsnąć z wrażenia po tamtym. No i ten porucznik

Convery...

- Convery! A to znów co za jeden? - Breton stał się czujny.

- Mężczyzna, który mnie napadł, nazywał się Spiedel. Porucznik Convery prowadził dochodzenie w sprawie jego śmierci. - Kate popatrzyła na Jacka ponuro. - Czy wiesz, że tej nocy cię tam widziano?

- Nie myślałem o tym.

- Widziano cię. Grupa nastolatków, która się tam zbiorowo kochała w trawie, powiedziała policji, że nagle dosłownie wyrósł nad nimi jakiś mężczyzna z bronią i równie szybko zniknął. Charakterystyka, jaką podali, pasowała wypisz wymaluj do Johna. Mówiąc szczerze, aż do wczoraj miałam jakieś irracjonalne przekonanie, że to John, mimo że został uwolniony od wszelkich podejrzeń. Nasi sąsiedzi widzieli go, jak w tym czasie stał w oknie, a poza tym jego sztucer był akurat zepsuty.

Breton z namysłem skinął głową, uświadamiając sobie nagle, jak niewiele brakowało, żeby ratując Kate za jednym zamachem pozbył się Bretona z czasu B. Aha, więc policja usiłowała zważyć winę na Johna! Jaka szkoda, że zgodnie z prawami fizyki chronomobilnej i broń, i pocisk wraz z człowiekiem, który zabił Spiedela, musiały wrócić w czas A. Siady gwintowania na kuli pasowały idealnie do gwintowania lufy zepsutej, nie używanej broni Johna Bretona. Dałoby to wiele do myślenia wszechwładnym ekspertom od balistyki.

- W dalszym ciągu nie wiem, co masz na myśli mówiąc o Corwerym - rzekł głośno. - Powiedziałaś przecież, że John został oczyszczony z wszelkich podejrzeń.

- Owszem, ale porucznik Convery nie przestał się tu

kręcić. W dalszym ciągu do nas zagląda, ile razy jest w tej dzielnicy, wpada na kawę i wdaje się z Johnem w rozmowy na temat geologii i skamielin.

- Nie widzę w tym nic szczególnego.

- I słusznie. John nawet go lubi, ale on mi przypomina coś, o czym woląabym zapomnieć.

Breton sięgnął przez stół i wziął Kate za rękę. - A co ja ci przypominam?

Kate poruszyła się zmieszana, ale nie wysunęła ręki z jego dłoni.

- Coś, o czym chciałabym pamiętać, być może...

- Jesteś moją żoną, Kate, i muszę cię odzyskać. - Poczutł, jak jej palce splatają się z jego palcami i zaciskają, coraz mocniej, jakby próbowała się z nimi siłować. Jej twarz przypominała twarz kobiety w czasie porodu. Siedzieli tak przez jakiś czas w milczeniu, dopóki nie usłyszeli pod drzwiami kroków Johna Bretona. John, ubrany w popielaty garnitur, wszedł i skierował się prosto do radia.

- Chciałbym jeszcze przed wyjściem posłuchać wiadomości.

- A ja posprzątam - powiedziała Kate i zaczęła zbierać ze stołu.

Jack Breton wstał, czując, jak obecność jego drugiego wcielenia coraz bardziej działa mu na nerwy. Przeszedł powoli przez cały dom i zatrzymał się dopiero w cichym i odosobnieniu jadalni. Kate zareagowała wreszcie na jego bliskość i tylko to było ważne. Dlatego właśnie musiał tę sprawę załatwić w ten sposób: po prostu najść ich i wszystko im wyjaśnić.

Znacznie rozsądniej i praktyczniej byłoby utrzymy-

wać. w tajemnicy swoje istnienie w Czasie B - zabić Johna, pozbyć się ciała i spokojnie podjąć jego życie. Ale wtedy miałby uczucie, że oszukał Kate, podczas kiedy teraz był całkowicie usprawiedliwiony: wiedział na pewno, że Kate woli go od mężczyzny, którym stał się Breton z Czasu B. Miało to zasadnicze znaczenie, bo pozostało mu już tylko szczegółowo opracować następne posunięcie - pozbycie się Johna Bretona.

Jack Breton kręcił się w skupieniu po jadalni, machinalnie biorąc do ręki książki i różne drobiazgi, przyglądając się im, a następnie starannie odkładając na miejsce. Uwagę jego zwrócił plik gęsto zapisanych kartek białego papieru, a szczególnie wierzchnia, która odznaczała się skomplikowanym kolistym wzorem. Wziął arkusz do ręki i stwierdził, że to, co brał za wzór, było ręcznym pismem w formie dokładnej spirali. Obracając kartkę odczytywał zwrotkę wiersza.

Czekałem na ciebie przez tysiąc nocy,
Gdy zielonej wskazówki blask wolno się snuje.
Płakać mógłbym za tobą z gorzkiej tęsknoty,
Ale ty smaku łez mych nawet nie poczujesz.

Odłożył kartkę na miejsce i właśnie odwracał się, żeby odejść od stołu, kiedy uderzyło go znaczenie tej strofy. Ułynęło kilka sekund, zanim wrota pamięci się rozwarły. Czoło Bretona pokryło się zimnym potem. Przecież to on napisał ten wiersz w okresie, kiedy był bliski szaleństwa po śmierci Kate - ale przecież nigdy go nikomu nie pokazał.

A poza tym było to w innym świecie, w innym stru-

mieniu czasu.

VI

John Breton dokonał kilku próżnych wysiłków, żeby wyjść do biura, ale za każdym razem wracał po jakiś drobiazg - a to po dokumenty, a to po papierosy czy notes. Jack nie mogąc wytrzymać wzrastającego napięcia, mruknął coś pod nosem tytułem usprawiedliwienia, wstał od stołu i poszukując odosobnienia udał się do sypialni. Usiadł zdenerwowany na brzegu łóżka, oczekując zgrzytu opon Lincolna na żwirze podjazdu.

Kiedy go wreszcie usłyszał, zszedł na półpiętro, gdzie stał przez chwilę pogrążony w ciemnobrązowej ciszy wielkiego domu, niby szczupak wybierający z namysłem właściwy poziom w mrocznych wodach. Dziewięć lat - pomyślał. - Umrę. Dotknę jej i umrę.

Zszedł na dół. skradając się mimo woli, i wśliznął się do kuchni. Kate stała przy oknie i myła jabłka. Nie obejrzała się nawet, płucząc w dalszym ciągu jasnozielone owoce w zimnej wodzie. Ta zwykła domowa czynność uderzyła Bretona jako coś niestosownego.

- Kate - powiedział - po co to robisz?

- Te owoce są spryskiwane środkami owadobójczymi. -W dalszym ciągu nie chciała odwrócić głowy. - Zawsze myję jabłka.

- Rozumiem, i musisz to robić właśnie dziś rano. To jest ogromnie pilne, tak?

- Chcę je włożyć do lodówki.

- Ale przecież chyba nie ma pośpiechu, prawda?

- Nie. - Jej głos zabrzmiał cierpko, jakby zmusił ją do wyznania czegoś wstydlivego.

Breton poczuł wyrzuty sumienia - niepotrzebnie ją tak męczy.

- Czy zauważyłaś, że owoc zmoczony nabiera połysku i żywszej barwy?

- Nie.

- Tak. I nikt nie wie, dlaczego. Kate !

Odwróciła się do niego i wtedy Jack złapał ją za rękę. Były mokre i zimne i obudziły w nim koszmarne, odległe wspomnienie. Ucałował lodowate palce w akcie bardzo osobistej ekspiacji.

- Nie rób tego. - Usiłowała wyrwać mu dłonie, ale przytrzymał je mocniej.

- Kate - powiedział natarczywie. - Straciłem cię dziewięć lat temu, ale przecież i ty coś straciłaś. John cię nie kocha, a ja cię kocham. Po prostu.

- Nie powinieneś oceniać Johna zbyt pochopnie.

- Ja mogę sobie na to pozwolić. Ale spójrz na fakty: poszedł dziś do pracy jak gdyby nigdy nic. I zostawił nas samych. Czy sądzisz, że ja bym cię zostawił sam na sam ze zdeklarowanym rywalem? Ja bym... - urwał. Miał zamiar powiedzieć, że on by zabił rywala.

- John tak się zachowuje, bo jest urażony. To coś w rodzaju psychicznego judo z jego strony. Jak ty pchasz, to on ciągnie. Jak ty ciągniesz, on pcha.

W miarę jak Breton przybliżał ją do siebie, Kate mówiła coraz szybciej, rozpaczliwiej. Delikatnie sunąc palcami wzdłuż jej kręgow szyjnych wsunął rękę w Jej włosy i obrócił twarzą ku sobie. Przez kilka sekund opierała się, po czym - zupełnie nagle - podała mu rozchylone usta. Breton miał otwarte oczy podczas tego pierwszego pocałunku, pragnął,

by odcisnął się on piętnem w jego świadomości, by wzniósł się ponad czas.

Później, kiedy leżeli w pergaminowym świetle sypialni, przy zamkniętych żaluzjach, w zadziwieniu patrzył w sufit. A więc to, pomyślał, znaczy być przy zdrowych zmysłach. Napawał się świadomie uczuciem relaksu i zadowolenia płynącym z każdej cząstki jego ciała. W tym nastroju wszystko, co wiązało się z faktem życia, było dobre. Mógłby w tej chwili czerpać nieopisaną radość z tysiąca zwykłych, zapomnianych gdzieś po drodze czynności, jak chodzenie po górach, picie piwa, rąbanie drzewa czy pisanie wierszy.

Położył rękę na chłodnym udzie Kate.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Jej głos był senny, odległy.

Breton skinął głową i rozejrzał się po pokoju zupełnie nowymi oczyma. Przyćmione światło słoneczne miało w sobie coś żółtawośródziemnomorskiego, było kojące, ale absolutnie czyste, i nie ujawniało żadnych skaz we wszechświecie B. Przypomniała mu się dziwnie stosowna w tych okolicznościach zwrotka starego wiersza.

I tak nam przypomina owo malowanie,
Z jakim to Canaletto dążył znojem,
By każda jego cegła w każdej ścianie
Cementem oddzielona miała miejsce swoje.

Uniósł się, podparty na jednym łokciu, i spojrzał na Kate.

- Powiniennem się nazywać Canaletto - powiedział.
Popatrzyła na niego z nieśmiałym uśmiechem, po czym

odwróciła twarz i Jack wiedział, że myśli o Johnie. Opadł na poduszkę i w roztargnieniu przejechał palcem pod paskiem zegarka dotykając ukrytego pod skórą wybrzuszenia chronomobilu. Jedyna skazę na wszechświecie B stanowiło istnienie Johna Bretona. Ale ten stan rzeczy był oczywiście przejściowy.

VII

Jake Larmour patrzył znużony przez półokrągłą szybę swojego łazika na płaską, monotonną powierzchnię Księżyca. Silnik pojazdu pracował cały czas na najwyższych obrotach, ale zachodni brzeg Morza Spokoju, ku któremu zmierzał już od dwóch godzin, wydawał się równie odległy jak na początku. Od czasu do czasu Jake ziewał szeroko albo pogwizdywał cienko smutną melodyjkę. Był znudzony.

W Pine Ridge, w Wisconsin, perspektywa pracy w obsłudze radarowej Księżyca wydawała się niestychanie frapująca i ciekawa. Teraz, po trzech miesiącach patrolowania stacji przekaźnikowych, osiągnął stan, w którym zaczął wykreślać dni w specjalnie do tego celu sporządzonym kalendarzu. Wiedział, że Księżyc jest wymarły, nie przewidział jednak, że tak źle zniesie kompletny brak życia.

Gdyby tylko, pomyślał już po raz tysięczny w czasie tej podróży, gdyby tylko coś się poruszyło.

Odchylił się do tyłu, ziewając szczególnie szeroko i wyciągając ramiona, tak jak mu na to pozwalały skromne rozmiary kabiny łazika, kiedy nagle coś mignęło i zaraz potem znikło na powierzchni krateru znajdującego się jakieś sto jardów przed nim. Instynktownie nacisnął hamulec i pojazd zatrzymał się z piskiem. Larmour wyprostował się w fotelu, badając wzrokiem rozciągający się przed nim teren i zastanawiając się, czy aby wyobraźnia nie płata mu figła. Ułynęło kilka nieznośnie długich sekund, podczas których krajobraz księżycowy pozostawał w błogim spokoju. Larmour miał już ruszyć, kiedy znów mu coś mignęło na lewo, ale trochę bliżej.

Nerwowo przetknął ślinę. Tym razem jego wzrok szybciej pochwycił ruch: puszysty, szary przedmiot, mniej więcej wielkości piłki futbolowej, który na moment wyskoczył ponad powierzchnię Księżyca, by natychmiast z powrotem się schować. To zjawisko powtórzyło się mniej więcej trzykrotnie, za każdym razem w innym miejscu.

- Do diabła - powiedział Larmour głośno. - Jeżeli okaże się, że odkryłem księżycowe susły, stanę się sławny.

Drżąc lekko sięgnął do wyłącznika radia, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że od Bazy Trzeciej dzieli go zbyt znaczna wypukłość księżycowej powierzchni, żeby mógł nawiązać z nią kontakt. Przed szybą łazika puszysta kula wychyliła się beczelnie i zniknęła. Larmour wahał się zaledwie sekundę, po czym szybko odłączył rurę odprowadzającą, zahermetyzował skafander ciśnieniowy i poczynił niezbędne przygotowania do wyjścia z pojazdu księżycowego. W kilka minut później, z trudem opanowując poczucie nierealności, wysiadł z łazika i zaczął niepewnie zbliżać się do miejsca, gdzie po raz ostatni dostrzegł ruch. Idąc, cały czas wypatrywał czegoś w rodzaju jam susłów, ale odwieczna warstwa pyłu księżycowego była idealnie gładka, poza bezładnymi śladami jego własnych stóp.

Nagle kilka puszystych kulek wyskoczyło w promieniu pięćdziesięciu kroków. Z zapartym tchem, przywołując na pomoc całą przytomność umysłu, trwał ze wzrokiem utkwionym w najbliższą. Następnie podszedł do tego miejsca niewprawnym krokiem, w warunkach niskiej grawitacji, i zmarszczył swoje rude brwi stwierdzając brak jakiegokolwiek dołka, który mógłby pomieścić tajemnicze zjawisko.

Ukląkł, żeby zmienić kierunek promieni świetlnych odbijających się od powierzchni Księżyca, i wtedy dostrzegł przypominające talerz zagłębienie z małym dołeczkiem pośrodku. Coraz bardziej zaintrygowany, delikatnie odgarnął rękami pył, odsłaniając znajdujące się na głębokości trzech cali skalne podłoże. Ukazała się równiutka okrągła dziurka o średnicy około cala, jak gdyby wyborowana świdrem. Larmour wsadził do niej palec, ale natychmiast go wyszarpnął, ponieważ gorąco przeniknęło nawet przez rękawiczkę. Skala dokola była rozgrzana dosłownie do czerwoności.

Larmour siedział przykucnięty i z niepokojem wpatrywał się w czarny otwór. Bezskutecznie łamał sobie głowę nad rozwiązaniem tego problemu, kiedy w odległości zaledwie kilku stóp wyskoczyła błyskawicznie kolejna szara kulka. Tym razem poczuł wstrząsy podziemne, które nagle podsunęły mu odpowiedź na pytanie - i to jakżeż ponurą ! Otóż na Księżycu, gdzie brak powietrza, w którym kurz mógłby wisieć rozpylony na drobne cząsteczki, przybiera on formę małego zwartego ciała stałego, które opada na ziemię szybciej, niż nadąża wzrok. A jedyną siłą, wyłączając ludzką, która mogłaby poderwać z ziemi taką chmurkę, było uderzenie meteora!

Czyli że Larmour opuścił bezpieczne schronienie łazika, by spacerować bez żadnej osłony w ulewie meteorów nie znanej dotychczas intensywności, wśród pocisków wystrzelonych miliardy lat temu. Łamiąc ręce nad własną głupotą i brakiem doświadczenia podniósł się i w pneumatycznych podskokach pobiegł do czekającego pojazdu.

Przestarzały czterosiłnikowy samolot mozolnie sunął

po nocnym niebie północnej Grenlandii. Wewnątrz jego walcowatego, warczącego brzucha Denis Soderman troskliwie czuwał nad swoją aparaturą, od czasu do czasu kręcąc gałkami i utrzymując dalekosiężne elektroniczne zmysły maszyny wyostrzone do najwyższego stopnia. Pracował z nonszalancką sprawnością człowieka przekonanego, że jego praca jest pożyteczna, ale w gruncie rzeczy stworzonego do celów wyższych.

W pewnej odległości przed Sodermanem starszy od niego doktor Cosgrove siedział przy prowizorycznym biurku przesuwając w palcach szarą papierową taśmę, jak krawiec mierzący materiał. W niezdrowym świetle wiszącej nad nim świetlówki jego młoda jeszcze twarz robiła wrażenie starej i zmęczonej.

- Nie musimy wcale czekać, aż nam komputer przetworzy ten zestaw danych, Denis - powiedział Cosgrove. - Strumień cząsteczek wyrzucany przez słońce jest wyraźnie powyżej normy. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z takimi wynikami, nawet w czasie występowania plam na słońcu. Pasy Von Allena nasiąkły tym świństwem jak gąbka, a wobec doniesień o wahaniach stałej słonecznej, jakie otrzymaliśmy dzisiaj z Instytutu Techniki Massachusetts, wygląda na to, że...

Denis Soderman przestał słuchać. Doprowadził do perfekcji sztukę wyłączania się i niestyszenia monotonnego głosu starszego kolegi, ale tym razem było to więcej niż działanie mechanizmu samoobrony przed skutkami nieokietznanej pedanterii. Coś dziwnego stało się z samolotem. Siedząc daleko za jego środkiem ciężkości Soderman doznawał leciutkiego, mdlącego, jak gdyby spiralnego ruchu.

Trwało to nie dłużej niż pół sekundy, ale Soderman był bardzo utalentowanym pilotem-amatorem i fakt, że stu-tonowy samolot zaczyna wymachiwać ogonem jak łosoś, zaniepokoił go nie na żarty. Rozpostarł siatkę swoich elektronicznych zmysłów najszerzej jak mógł. Przez kilka sekund nie odczuwał nic poza doznaniem typowymi dla normalnego lotu, po czym historia się powtórzyła: błyskawiczne uniesienie i skręt, pod którego wpływem doznał skurczu żołądka z przerażenia.

- Tam z przodu mają jakieś kłopoty - powiedział. - Nie podoba mi się to, co ten stary gruchot wyprawia.

Cosgrove spojrzął znad swoich perforowanych taśm.

- Ja nic nie zauważyłem. - W jego głosie wyczuwało się naganę pod adresem Sodermana za niedostateczne skoncentrowanie się na wykonywanej pracy.

- Doktorze, ja jestem daleko w ogonie i przecież czuję.

Przerwał, ponieważ samolot nagle przechylił się na bok, zadygotał, wyrównał, a następnie złowrogo zamilkł, wysiadły mu bowiem jednocześnie wszystkie cztery silniki. Soderman, którego wyrzuciło z fotela i cisnęło o instrumenty, pozbierał się jakoś i pobiegł do przodu mijając po drodze doktora Cosgrove'a. Przejście między siedzeniami stanowiło równię pochyłą, co świadczyło o tym, że samolot leci nosem w dół. Szary na twarzy drugi oficer zderzył się z nim w drzwiach do kabiny pilota.

- Szybko do ogona i oprzyjcie się o ubikację! Lecimy w dół! - Oficer nie usiłował nawet ukryć paniki brzmiącej wyraźnie w jego głosie.

- Lecimy w dół? ! - krzyknął Soderman. - Niby gdzie w

dół? W promieniu trzystu mil nie ma żadnego lotniska.

- Mnie będziesz mówił, że nie ma lotniska?

Nawet w tak rozpaczliwej sytuacji lotnik zazdrośnie strzegł swojej wyższości nad zwykłymi śmiertelnikami, nie chcąc zniżyć się do rozmowy na tematy związane z jego powietrzną domeną z żadnym profanem.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby uruchomić silniki, ale kapitan Isaacs nie jest dobrej myśli. Wygląda na to, że będzie musiał usiąść na śniegu. A teraz bądźcie tak uprzejmi i idźcie do ogona.

- Ale przecież jest zupełnie ciemno! Nikt nie wylądował...

- To już jest nasza sprawa, szanowny panie. - Oficer popchnął Sodermana w górę pochyłego przejścia, a sam wrócił do kabiny pilota. Soderman idąc za potykającym się Cosgrove'em miał zupełnie sucho w ustach.

Znaleźli się wreszcie w stożkowatej części ogonowej i usiedli na podłodze, plecami oparci o ściankę. Tak daleko od środka ciężkości samolotu każdy ruch sterów odczuwali jako potężne kotysanie, co przekonało Sodermana, że nadeszła ostateczna katastrofa. Milczące silniki nie zagłuszały żadnych odgłosów, więc tarcie kadłuba o powietrze wydawało się głośne, nierówne, złowrogie - radosny chichot niebios, radosny, że nieprzyjaciel wykrwawia się na śmierć.

Soderman usiłował pogodzić się z myślą, że w przeciągu kilku minut umrze, zdając sobie sprawę, że żadna kombinacja szczęścia, zręczności pilota i wytrzymałości konstrukcji maszyny nie uratuje ich w zderzeniu z ziemią. W świetle dnia czy nawet księżycy mieliby jeszcze szansę, ale w tych kompletnych ciemnościach wynik gwałtownego łą-

dowania mógł być tylko jeden.

Zacisnął zęby przysięgając sobie, że zginie przynajmniej z godnością, na jaką zdobył się doktor Cosgrove - ale kiedy nastąpiło zderzenie, nie mógł powstrzymać krzyku. Jego głos został jednak zagłuszony straszliwym długo-trwałym metalicznym łomotem, po którym samolot wzbił się ponownie w górę opętany wirującym skokiem, uwieńczonym następnym niewiarygodnym grzmotem, wzmocnionym przez brzęk ruchomych przedmiotów przelatujących przez całą długość kadłuba. Ten koszmar wydawał się trwać wieczność, zwłaszcza że wszystkie światła wewnątrz maszyny pogasty. Kiedy się skończył, bardzo gwałtownie, Soderman stwierdził ku swojemu bezgranicznemu zdumieniu - że oddycha w dalszym ciągu i że w jakiś cudowny sposób żyje.

Kilka minut później stał w wyjściu awaryjnym i wpatrywał się w nocne niebo, w lśniąca twarz swojego wybawcy. Prązkowane welony czerwonego i zielonego światła migotały i tańczyły od horyzontu do horyzontu, rzucając na śnieżny krajobraz niesamowitą teatralną poświatę. Była to zorza niespotykanej, nadprzyrodzonej wprost, intensywności.

- To doskonała ilustracja do tego, co mówiłem o pasach Van Allena: że są przeładowane - odezwał się beznamiętnie za plecami Sodermana doktor Cosgrove. - Strumień słoneczny zalewa górną część atmosfery naładowanymi drobinami, które uciekają do biegunów magnetycznych. Nagromadzenie tych cząsteczek, któremu niewątpliwie zawdzięczamy życie, jest tylko jednym z czynników...

Ale Soderman przestał go słuchać; zanadto absorbo-

wała go przyjemność wynikająca z prostego faktu życia.

Doktor Fergus B. Raphael siedział spokojnie za kierownicą swojego samochodu patrząc przed siebie na poplamiony olejem beton uniwersyteckiego parkingu.

Rozważał pewien plan: po prostu wjedzie w morze i już nigdy nie usłyszą o nim w kręgach akademickich. Był czas, że oddawał się swojej pracy z wielkim entuzjazmem, nie zachwianym przez świadomość, że w gruncie rzeczy nigdy nie osiągnie satysfakcji, jaka bywa udziałem pracowników innych dziedzin. Ale lata zrobiły swoje, lata niewłaściwego ustawienia w pracy naukowej, i teraz doktor Raphael poczuł się zmęczony.

Przestał udawać, jak to zwykł robić, że w każdej chwili może uciec od swojej obsesji, i wysiadł z samochodu. Niebo było zachmurzone, a brązowe liście kasztanów hałaśliwie uciekały przed zimnym, przenikliwym wiatrem. Podniósł kołnierz i ruszył w kierunku nieefektownego budynku uniwersytetu. Zapowiadał się jeden z wielu bardzo zwyczajnych dni.

W pół godziny później Raphael rozpoczął swoje pierwsze tego ranka doświadczenie. Ochotnikiem był Joe Washburn, młody murzyński student, który w trakcie poprzedniej serii testów okazał się obiecujący.

Raphael podniósł do ust mikrofon.

- Gotowe, Joe?

Washburn skinął głową i pomachał do niego przez okienko swojej dźwiękoszczelnej kabiny. Raphael dotknął wyłącznika i sprawdził jeszcze ze swoją asystentką, Jean Ard, która siedziała w takiej samej kabinie po przeciwnej

stronie laboratorium, czy wszystko w porządku. Pomachała mu z przesadnym ożywieniem, co Raphael uznał za dowód, że i ona jest przygnębiona. Włączył nagrywanie, a sam zasiadł wygodnie w fotelu i rozpakowując cygaro pilnie śledził ekran monitora.

Nie po raz pierwszy pomyślał: ciekawe, jak długo ta farsa będzie trwała? Jakich jeszcze potrzebuję dowodów, żeby uznać, że kontakt telepatyczny jest niemożliwy?

Jean Ard wystukała swój pierwszy symbol i na jej monitorze pojawił się trójkąt. Za grubym szkłem kabiny jej twarz była zupełnie obojętna i Raphael zastanawiał się, czy Jean jest skupiona wysyłając sygnały, czy też siedzi, naciska guziki i myśli o wieczornej randce. W kilka minut później zajaśniał monitor Washburna: trójkąt. Raphael zapalił cygaro i czekał, kiedy będzie mógł zrobić przerwę i iść na kawę. Na monitorze Jean pokazał się kwadrat, a zaraz potem taki sam kwadrat wyskoczył u Washburna. Dziewczyna znów spróbowała trójkąta i Washburn odpowiedział jej trójkątem. Potem było koło i gwiazda i koło i gwiazda u Washburna. Raphael poczuł, że mimo woli ma przyspieszony puls, a ponadto wróciło dawne nerwowe podniecenie, które mogło sprawić, że zostałby hazardzistą, gdyby - w formie wysublimowanej - nie znalazło ujścia w pracy naukowej. Przyglądał się bacznie, jak Jean na chybił trafił naciska klawisze pięciu abstrakcyjnych symboli, jakich używali w eksperymentach telepatycznych. W osiem minut później zakończyła test składający się z pięćdziesięciu sygnałów.

A wynik Joego Washburna też wynosił dokładnie pięćdziesiąt.

Raphael drżącą ręką zdusił niedopałek cygara. Pod-

nosząc mikrofon, czuł, jak pokrywa się zimnym potem, starał się jednak nadać głosowi możliwie obojętne brzmienie, żeby w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynąć na przebieg eksperymentu.

- Jean i Joe, to była rozgrzewka, a teraz następny test.
- Skinęli głowami. Raphael wcisnął włącznik i zwrócił się do samej Jean. - Chciałbym, żebyś tym razem użyła znaków zarówno abstrakcyjnych, jak i konkretnych.

Pochylił się nad pulpitem i śledził monitory wzrokiem człowieka grającego w rosyjską ruletkę. Pięć dodatkowych konkretnych symboli - drzewo, samochód, pies, krzesło i człowiek - dopełniło zestaw do dziesięciu, czyniąc tym samym i tak już kapryśne szczęście jeszcze mniej osiągalnym.

W następnej serii pięćdziesięciu testów Washburn popełnił jeden błąd, a w trzech kolejnych żadnego. Raphael zdecydował dać upust swoim emocjom i odrzucić wszelkie krępujące go dotychczas hamulce.

- Postuchajcie - powiedział pełnym napięcia głosem - nie wiem, jak wy to robicie, ale od momentu rozpoczęcia tego eksperymentu zgodność między wami jest stuprocentowa, a przecież nie muszę wam mówić, co to znaczy. Jedźmy dalej, zobaczymy, do czego dojdzie.

W następnym komplecie testów Washburn popełnił cztery błędy, potem dwa i ani jednego w pięciu kolejnych, którym poddał go Raphael, zanim wyłączył aparaturę, i Jean, i Washburn musieli osobiście posprawdzać swoje wyniki, zanim uwierzyli, że nie jest to żaden nowy trik wprowadzony przez Raphaela jako dodatkowy element eksperymentu. Kiedy wreszcie dotarła do nich prawda, patrzyli na siebie długo, badawczo, z niedowierzaniem.

- Uważam, że powinniśmy się napić kawy, Jean - powiedział Raphael - musimy to przemyśleć.

Podczas kiedy Jean parzyła kawę, Washburn chodził po laboratorium uśmiechając się, potrząsając głową i uderzając pięścią w lewą dłoń. Raphael zapalił następne cygaro i niemal natychmiast je zdusił. Uświadomił sobie, że będzie musiał powiedzieć komuś o tym, co się stało. Właśnie miał podnieść słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.

- Zamiejskowa do pana, doktorze - powiedziała telefonistka z centrali uniwersyteckiej. - Dzwoni profesor Morrison z Cleveland.

- Dziękuję - odparł Raphael głucho, wstrząśnięty zbiegiem okoliczności. Miał bowiem właśnie dzwonić do Morrisona, swego najbliższego przyjaciela spośród nielicznej garstki naukowców zajmujących się niemodną dziedziną postrzegania pozazmysłowego. Raphael wiedział właściwie z góry dlaczego Morrison zadzwonił, a jego przeczucie znalazło potwierdzenie w pełnym podniecenia tonie przyjaciela.

- Fergus? Dzięki Bogu nareszcie cię złapałem, muszę to z siebie wyrzucić, bo inaczej eksploduję. Nie wyobrażasz sobie, co tu się dzieje.

- Owszem, wyobrażam sobie - odparł Raphael.

- No, ciekawe.

- W eksperymentach telepatycznych osiągnąłeś stu-procentowy sukces.

Zdumienie Morrisona było niemal słyszalne.

- Tak. Skąd wiesz?

- Może - odparł Raphael ponuro - i ja mam właściwości telepatyczne.

VIII

Minął cały dzień, zanim Jack Breton otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarło na nim odkrycie wiersza.

Wypytywał o to Kate tak dokładnie, jak tylko śmiał, a kiedy się dowiedział, w jaki sposób wiersz został napisany, udał życzliwe zainteresowanie pismem automatycznym. Kate było przyjemnie i czuła się pochlebiono jego zainteresowaniem, powiedziała mu więc wszystko na temat właściwości Miriam Palfrey.

Czując się coraz bardziej nieswojo, Breton zbadał setki próbek pisma automatycznego i doszedł do wniosku, że ta zwrotka była jedynym tego rodzaju utworem, jaki wyszedł spod pióra Miriam. Co więcej, stało się to już po wkroczeniu Bretona w Czas B, a tego w żaden sposób nie można było uznać za przypadek. Jedynym wytłumaczeniem tego zjawiska, jakie przychodziło mu do głowy, bez względu na to, jak naginał fakty, była telepatia. A nie miał najmniejszej ochoty, żeby ktokolwiek czytał w jego myślach.

Nazajutrz rano ta koncepcja, choć wydawała się szalona, w nieoczekiwany sposób znalazła potwierdzenie, i tak już napięte stosunki pomiędzy Johnem Bretonem a Kate pogorszyły się wyraźnie od czasu pojawienia się Jacka. John stał się jeszcze bardziej powściągliwy i zgryźliwy, jeśli w ogóle o niej mówił, oceniając ją w kategoriach całego swojego życia, i jak gdyby chciał podkreślić własne prawa do niezależnego istnienia w swoim wszechświecie, bez przerwy chodził po domu z radiem pod pachą, nastawiając wiadomości na cały regulator.

A wiadomości, które Jack przypadkiem usłyszał i

przyswoił częścią świadomości, mówiły o niezwykłych wydarzeniach, ale Jack zbyt był zajęty swoimi osobistymi sprawami i zastanawianiem się nad własną przyszłością, żeby zwracać uwagę na naukowe ciekawostki. Gdyby nie zrobił odkrycia, że Miriam Palfrey dosłownie wykradła coś prosto z jego umysłu, wiadomość, że eksperymenty telepatyczne na kilku naraz uniwersytetach zaczęły osiągać rewelacyjne wyniki, w ogóle by do niego nie dotarła. W jej świetle jednak Miriam przestała przedstawiać sobą niewytłumaczalną groźbę, stając się po prostu jednym ze zjawisk drugoplanowych.

Ze zdziwieniem stwierdził, że jego stosunki z Johnem jakoś się nie popsuly. Wielki dom pełen był niemal namacalnych napięć emocjonalnych, ponieważ John i Kate bez końca lawirowali usiłując zmusić się nawzajem do przełamania impasu, w jakim się znaleźli. Ale od czasu do czasu zdarzały się spokojne chwile i wtedy potrafili z Johnem rozmawiać jak bliźnięta, które się dawno nie widziały. Nie bez zdumienia dokonał też odkrycia, że John znacznie lepiej i bardziej szczegółowo pamięta fakty z ich wspólnego dzieciństwa. Kilka razy pokłócił się z nim kwestionując autentyczność pewnych detali, ale za każdym razem otwierała się w końcu odpowiednia przegródka w jego pamięci, obraz nabierał barw i Jack stwierdzał, że John ma rację.

Wyjaśnił sobie tę sprawę „roboczo” częstym wracaniem do wspomnień, co utrwala ich pamięć, a w ciągu ostatnich dziewięciu lat John Breton żył przeszłością. Brak zadowolenia z życia w Czasie B skłonił go do tego, by coraz częściej sięgać do skarbcza dawnych doświadczeń.

Już nawet w tym krótkim czasie od momentu swego

przybycia Jack zauważył, że John obsesyjnie interesuje się starymi filmami i porównuje wszystkich z aktorami i aktorkami z minionych czasów. Cały warsztat w suterenie obwieszony był fotografiami samochodów z lat trzydziestych, z ich wielkimi pionowymi szybami ochronnymi z przodu. („Chciałbym sobie pojeździć takim starym krótkowzrocznym gratem - powiedział John - nie czujesz zapachu kurzu w tych wielkich krytych materiałach siedzeniach”?) A kiedy już zdołał oderwać się od przeszłości, unikał spraw dnia codziennego, wdając się w rozważania na tematy dotyczące firmy.

Jack Breton skwapliwie chłonał wszystkie informacje związane z interesami, miały mu się bowiem przydać, kiedy przejmie firmę. A poza tym stwarzało to okazję do ustalenia pewnego faktu o zasadniczym znaczeniu dla jego planów...

- Pomiar grawimetryczny stał się oczywiście niemożliwy - mówił właśnie John po lunchu. - Międzynarodowe Biuro Miar i Wag wyraźnie zakomunikowało dziś rano, że siła ciężkości się zmniejsza. Zawsze zresztą była zmienna, ale założę się, że tym razem mamy do czynienia ze znacznie poważniejszym zachwianiem niż zwykle i że właśnie lecimy w dół, ale mimo wszystko dziwię się, że w komunikatach radiowych traktują sprawę tak lekko. Przecież nie ma nic ważniejszego od siły ciężkości. Chyba, że są jakieś naciski.

- Wątpię - powiedział Jack obojętnie, myśląc o Kate, która tam, na górze, może właśnie robi toaletę w sypialni.

- Przynajmniej grawimetry są w porządku. A już martwiliśmy się z Carlem. Był w twojej rzeczywistości? Carl Tougher?

- Tak. Przejęli razem z Hetty firmę. - Może teraz Kate

chodzi sobie nago w intymnym półmroku pokoju przy zapuszczonych żaluzjach?

- Grawimetry na szczęście nie są takie ważne. Były czasy, kiedy całe moje podstawowe wyposażenie stanowił grawimetr, teodolit i dwie poziomice z demobilu. To było, zanim zacząłem zawierać kontakty na wiercenia i prowadzić poważniejsze prace wiertnicze.

Nagle zainteresowanie Jacka zostało pobudzone.

- A co z tymi nowymi wiertnicami? Z tymi nowymi aparatami opartymi na zasadzie pulweryzacji materii? Używałeś ich?

- Mamy trzy - odparł John podniecony. - Używamy ich do wszystkich wierceń szerokodymensyjnych. Carl ich nie lubi, ponieważ nie mają rdzeniówek, ale one pracują szybko i czysto. Możesz wywiercić dziurę o średnicy dwóch stóp w jakimkolwiek podłożu i otrzymujesz dosłownie mikropył.

- Nigdy nie widziałem takiego urządzenia przy pracy - powiedział Jack z udanym żalem. - Czy masz jakieś miejsca robót w pobliżu miasta?

- Najbliższe jest około dwudziestu mil na północ stąd, przy drodze do Silverstream - głos Johna zabrzmiał niepewnie. - Ale ja sobie nie wyobrażam, żebyś ty mógł się tam pokazać. Co by ludzie powiedzieli, gdyby tak zobaczyli nas obu.

- Ale sytuacja wkrótce się wyjaśni.

- Wyjaśni? - John Breton stał się natychmiast podejrzliwy i Jack zaczął się zastanawiać, czy w najmniejszym choćby stopniu domyśla się, jaki los go czeka.

- Oczywiście - odparł szybko. - Musicie w najbliższym czasie podjąć z Kate jakąś decyzję. Właściwie nie rozu-

miem, dlaczego tak z tym zwlekacie. Dlaczego nie przyznacie, że jesteście śmiertelnie sobą nawzajem zmęczeni. i nie skończycie z tym wreszcie?

- Czy Kate ci coś mówiła?

- Nie - odpowiedział Jack ostrożnie, nie chcąc stawiać sprawy na ostrzu noża, dopóki nie będzie w pełni do tego przygotowany.

- Jak tylko Kate zdobędzie się na to, żeby powiedzieć, co o tym wszystkim myśli, jestem gotów jej wysłuchać. - Wyraz szczeniackiego okrucieństwa przemknął po szerokiej twarzy Johna i Jack stwierdził, że nie mylił się w swoich odczuciach. Żaden mężczyzna nie zrezygnowałby dobrowolnie z takiego skarbu jak Kate. Jedyne rozwiązanie problemu tego trójkąta upatrywał w dwóch narzędziach: w pistolecie, ukrytym na górze w pokoju, i w wiertnicy pulweryzującej, która znajdowała się gdzieś przy autostradzie na Silverstream.

- Czy to takie ważne dla ciebie, żeby właśnie Kate zrobiła pierwszy krok?

- Jeżeli przestaniesz wreszcie rozkładać mnie na czynniki pierwsze - i ja cię nie będę analizował - powiedział John znacząco.

Jack uśmiechnął się do niego łagodnie. Ta wzmianka o rozkładaniu na czynniki pierwsze przywiodła mu na myśl ciało Johna obrócone w mikropył, kompletnie anonimowe, niedostępne wszelkiemu dochodzeniu.

Kiedy John pojechał do biura, Jack czekał niecierpliwie na Kate, ale zjawiała się w tweedowym kostiumie z wiązanym paskiem i wysokim futrzanym kołnierzem.

- Wychodzisz? - usiłował ukryć rozczarowanie.

- Po zakupy - odpowiedziała oficjalnym tonem, który zabolął go w jakiś niejasny sposób.

- Nie wychodź.

- Ale musimy przecież coś jeść. - Wyczuł w jej głosie wrogość i nagle zdał sobie sprawę, że od czasu ich jedyne go stosunku Kate go unika. Myśl, że mogłaby mieć przez niego poczucie winy, wprawiła go w bezsensowną panikę.

- John coś mówił, że zamierza się wynieść - jak zakochany po uszy smarkacz nie był w stanie powstrzymać się od kłamstwa, a przecież zdawał sobie sprawę, że musi jak najstaranniej przygotować ją psychicznie na zniknięcie Johna. Kate przystanęła pomiędzy nim a drzwiami. Puszek na jej kościach policzkowych lśnił w świetle jak oszroniony i Jack oczyma wyobraźni zobaczył Kate leżącą w kostnicy, w tamtej świetnie pomyślanej szufladzie. Złął się.

- John ma prawo się wynieść, jeśli chce - powiedziała w końcu i wyszła. W minutę później usłyszał warkot jej MG w garażu. Czekał w oknie, żeby zobaczyć, jak będzie przejeżdżała, ale dach był zaciągnięty i twarz Kate stanowiła jedynie bezosobową plamę za ujętymi w ramki okien kawałkami nieba.

Breton odwrócił się, nagle wściekły. Oba jego twory ludzie, których obdarzył życiem w sposób tak niewątpliwy, jak gdyby kroczył po Ziemi wśród biblijnych błyskawic, tchnąc życie w martwą glinę, żyli sobie zupełnie niezależnie od niego przez dziewięć lat. A teraz, pomimo tego, czego się dowiedzieli, ignorują go dalej, kiedy jest im to na rękę, zostawiając go samego w domu, w którym nienawidzi być sam. Miotał się z zaciśniętymi pięściami po pustych pokojach. Był przygotowany, że to potrwa z tydzień, ale sytuacja

uległa zmianie i zmieniała się w dalszym ciągu, postanowił więc działać szybciej, bardziej zdecydowanie.

Z okna na tyłach domu zobaczył srebrzystą kopułę obserwatorium, ukrytą za brzozaami, i poczuł zazdrosne zainteresowanie. Od momentu jego przybycia instynktownie, na mocy milczącej umowy, przyjęli, że nikt z obcych nie może się nawet domyślać istnienia dwóch Bretonów, jego wyjście nie miałoby więc uzasadnienia. Ale tyły ogrodu były dobrze osłonięte od strony sąsiednich domów, a dostanie się do obserwatorium zajęłoby mu nie więcej niż kilka minut.

Zszedł do kuchni, wyjrzał przez zawieszoną zastoną drzwi i wyszedł na przykryte dachem patio. Cytrynowe słońce październikowego popołudnia sączyło się poprzez liście drzew w wolno zlewających się promieniach, a z dala dochodził nieustanny miarowy warkot maszyny do strzyżenia trawników.

- Hej, nie pracujesz dzisiaj?

Breton odwrócił się, ponieważ głos dochodził z za niego. Zobaczył wysokiego, przystojnego mężczyznę około czterdziestki, który właśnie wyszedł z za rogu domu. Mężczyzna miał na sobie zgrabne sportowe ubranie, które nosił tak, jakby to był garnitur do pracy, a jego mocno kręcone włosy zaczynały siwieć na skroniach. W szerokiej, opalanej twarzy uderzał mały nos, który ledwie było widać pomiędzy szeroko rozstawionymi niebieskimi oczyma.

Bretona ogarnął niemal przesądny lęk, kiedy poznał w nim porucznika Convery, tego samego, który w innym strumieniu czasu przyszedł go zawiadomić o śmierci Kate, nie dał jednak nic po sobie poznać.

- Dziś nie - odparł z uśmiechem. - Trzeba sobie od czasu do czasu zrobić relaks.

- Nie znałem cię z tej strony, John.

- Pewnie dlatego, że zdarza mi się to rzadko. Breton zauważył, że mężczyzna zwraca się do niego po imieniu, i na próżno usiłował przypomnieć sobie jego imię. To niewiarygodne, pomyślał. Jak można mieć takiego pecha?

Convery uśmiechnął się pokazując bardzo białe zęby, szczególnie lśniące w miejscach, gdzie pokrywała je warstwa fluoru.

- Miło mi słyszeć, że nie pracujesz tak ciągle, John. Sam się nie czuję wtedy takim leniem.

Znów John, pomyślał Breton. Przecież nie mogę się do niego zwracać „poruczniku”, skoro jesteśmy po imieniu.

- Skąd się tu wzięłeś?

- A, po prostu przechodziłem, muszę tu wpaść w kilka miejsc. - Convery sięgnął do kieszeni. - Przy okazji przyniosłem coś takiego. - Wyjął brunatny, przypominający kamień przedmiot i wręczył Bretonowi.

- O! - Breton obejrzał przedmiot, zwracając uwagę, że ma kształt spiralny i składa się jak gdyby z segmentów. - Skąd to?

- Mój chłopak dostał od jakiegoś kolegi w szkole. Obiecałem mu, że pokażę ci i zapytam... - Zawiesił głos i stał wyczekująco.

Breton patrzył na skręcony spiralnie kamień rozpaczliwie zastanawiając się, co by tu powiedzieć. Przypomniał sobie, jak Kate mówiła, że Convery wpada do Johna czasem na kawę i że sobie nieraz gadają o skamielinach. Prawdopodobnie dlatego, że John ze względów zawodowych znał

się trochę na geologii. Ale czy jego wiedza obejmowała skamieliny? Usiłował sięgnąć pamięcią głębiej niż dziewięć lat wstecz, do czasów, kiedy on interesował się zakłętymi w kamieniach podróżnikami w czasie.

- To całkiem ładny okaz amonitu - powiedział modląc się w duchu, żeby Convery'emu wystarczyło zwykłe zidentyfikowanie okazu.

Convery skinął głową.

- Jak stary?

- Jakies dwieście pięćdziesiąt milionów lat, trudno zresztą powiedzieć na pewno, nie wiem, gdzie został znaleziony.

- Dzięki. - Convery wziął od niego skamielinę i schował z powrotem do kieszeni. Jego inteligentne niebieskie oczy zamigotały i Breton nagle zrozumiał, że stosunki Convery'ego z tym drugim Bretonem są skomplikowane i niełatwe.

- Wiesz co, John?

- Mhm? - Ciekawe, dlaczego, zastanawiał się Breton, z takim uporem używa mojego imienia?

- Wydaje mi się, że chudniesz.

- Miło z twojej strony, że zauważyłeś. To bardzo zniechęca, jak człowiek głodzi się tygodniami bez żadnych widocznych efektów.

- Tak na oko straciłeś z siedem-osiem funtów.

- Rzeczywiście prawie dokładnie tyle, i czuję. się z tym znacznie lepiej.

- A mnie się wydaje, że lepiej wyglądałeś poprzednio, John - powiedział Convery z zastanowieniem. - Teraz masz taką zmęczoną twarz.

- Bo jestem zmęczony, dlatego wziąłem sobie wolne

popołudnie - zaśmiał się Breton, a Convery mu zawtórował.

Nagle Jack przypomniał sobie o kawie.

- A może byś tak zaryzykował filiżankę kawy w moim wykonaniu? Kate poszła po zakupy.

- A gdzie jest pani Fitz?

Breton poczuł kompletną pustkę w głowie, ale zaraz sobie uświadomił, że pani Fitz prowadzi dom.

- A, daliśmy jej kilka dni urlopu - powiedział lekko. - Ona też ma prawo czasem odpocząć.

- Widać z tego, że będę musiał zaryzykować.

Convery pchnął drzwi do kuchni i puścił Bretona przodem. Parząc kawę Jack myślał o tym, że przecież będąc na tak zażyłej stopie, muszą znać nawzajem swoje upodobania dotyczące śmietanki i cukru ! chytrze postawił na stole jedno i drugie. Codzienne domowe czynności wydawały mu się odprężające i Breton stwierdził, że niepotrzebnie bał się tej wizyty. Kate mówiła przecież, że Convery wpada czasami napić się kawy i pogadać o skamieninach - i dokładnie właśnie tak się stało. Nawet więc gdyby Kate wróciła w tej chwili, nie byłoby w tym nic, co mogłoby wydać się Convery'emu dziwne, a Johna Bretona miało nie być jeszcze co najmniej trzy godziny.

Breton pił kawę czarną i tak gorącą, że jej powierzchnię przesłaniała szarawa mgiełka pary. Convery dolał sobie śmietanki, ale nie ośłodził, i popijając swoją kawę z wyraźną przyjemnością mówił o deszczu meteorów, który zamienił nocne niebo w paradę fajerwerków. Zadowolony, że przedmiot dyskusji daje mu równe szansę ze wszystkimi innymi mieszkańcami Czasu B, Breton skwapliwie podjął ten temat.

- No, do roboty - powiedział wreszcie Convery kończąc drugą filiżankę kawy. - My, słudzy prawa, nie możemy się tak obijać. - Wstał i zaniósł swoje naczynia do zlewu.

- Takie jest życie - mało oryginalnie zauważył Breton. Pożegnał Convery'ego na patio i wrócił do domu z uskrzydającym poczuciem satysfakcji. Nic go już nie powstrzyma przed zrealizowaniem planu wejścia w rolę Johna Bretona. Jedyne, co go niepokoiło, to perspektywa spotkań z ludźmi, którzy znali Johna, i przebywania w ich towarzystwie bez wzbudzania ich podejrzeń, a w każdym razie zainteresowania. Ale przecież spotkanie z porucznikiem Converym wypadło dobrze, a nawet bardzo dobrze, i Breton przekonał się, że zwlekając nie zyska nic - zwłaszcza że emocjonalne reakcje Kate wydawały się ostatnio coraz bardziej skomplikowane.

Poszedł na górę do gościnnego pokoju, wyjął pistolet, ukryty głęboko w szafie, i przycisnął do ust chłodny, lśniący metal.

IX

Kiedy porucznik Blaize Convery miał cztery lata, matka powiedziała mu pewnego dnia, że głuchoniemi zwykle „mówią za pomocą rąk”.

Zdecydował wtedy, że taka umiejętność może być pożyteczna i ciekawa, nawet dla kogoś, kto nie ma żadnych upośledzeń. Przez trzy lata mały Convery dzień w dzień zamykał się w swoim pokoju i wpatrywał w prawą dłoń, którą wyczyniał najdziwniejsze łamańce w nadziei, że trafi wreszcie na odpowiednią kombinację ruchów i wygięć, która dobędzie z niej głos. Kiedy w końcu odkrył, też dzięki jakiejś przypadkowej wzmiance, że matka miała na myśli język znaków, zarzucił swoje próby natychmiast i bez żalu. Dowiedział się prawdy i to mu wystarczało.

Kiedy porucznik Blaize Convery miał siedem lat, ojciec pokazał mu diagram przedstawiający wpisany w koło kwadrat, którego wierzchołki połączone były na krzyż prostymi. Możliwe jest, powiedział mu ojciec, narysowanie identycznego diagramu bez odrywania ołówka od papieru i bez powtarzania jakiejkolwiek linii. Convery pracował nad rozwiązaniem tej zagadki przez sześć lat.

Po upływie pierwszego miesiąca był właściwie pewny, że jest to niemożliwe, ale ojciec, który zdążył tymczasem umrzeć, twierdził, że widział, jak ktoś tego dokazał, więc Blaize dalej łamał sobie głowę. W pewnym momencie natrafił w którymś z pism na biografię osiemnastowiecznego szwajcarskiego matematyka, Leonarda Eulera, twórcy topografii. Artykuł wspominał o rozwiązaniu przez Eulera zagadki siedmiu mostów Królewca: otóż uczyony twierdził,

że niemożliwe było przejście przez wszystkie bez przekroczenia jednego z nich dwukrotnie. Autor wzmiankował też nawiasem, że ten sam dowód odnosi się do łamigłówek - należy mianowicie policzyć linie przechodzące przez każdy punkt przecięcia diagramu i jeżeli więcej niż dwie z nich mają nieparzysty numer, nie da się diagramu narysować bez odrywania ołówka czy powtórzenia którejs z linii.

Znów zamknęła się jakaś przegródka w umyśle Corwery'ego. Zadowolony, że doszedł do konkretnego wniosku, ugruntował swój sposób myślenia, co zadecydowało o tym, że został policjantem bardzo szczególnego rodzaju.

Wstąpił do policji niemal automatycznie, ale mimo wspaniałego uniwersyteckiego przygotowania nie awansował tak, jak się można było spodziewać. Dobry funkcjonariusz policji opiera się na statystyce swojego zawodu. Godzi się z faktem, że tylko niektóre zbrodnie są wykrywalne, a większość nie, i zgodnie z tym gospodaruje swoją energią, starając się o jak największe zyski przy jak najmniejszych stratach.

Ale Blaize Convery był już znany w policji jako „piła”, człowiek, który nie daruje nigdy, jeśli już raz się na coś zawiązał. Starsi od niego i równi mu wiekiem koledzy wywiadowcy szanowali go za jego sukcesy, ale obiegowy dowcip głosił, że szef archiwum często dokonuje potajemnych najazdów na biurko Convery'ego w celu odzyskania brakujących akt.

Corwery zdawał sobie sprawę ze swoich dziwactw i z tego, że przeszkadzają mu one w zrobieniu kariery. Często postanawiał, że zmieni stosunek do spraw zawodowych, i nawet mu się to czasem udawało na kilka tygodni, ale

zwykle w momencie kiedy już-już wydawało się, że odniósł nad sobą zwycięstwo, jego podświadomość rzuciła zupełnie nowe światło na jakąś sprawę sprzed trzech lat i w żołądku Convery'ego zaczęła wzbierać chłodna, egoistyczna radość. Wiedział, że ta chwila ekstazy to jego prywatna wersja przeżycia, które z innych ludzi czyni wielkich przywódców religijnych, nieśmiertelnych artystów czy młodo ginących bohaterów. Nigdy nie unikał mistycznych skutków tej chwili, nigdy nie czuł się zawiedziony sukcesami czy ich brakiem.

Kiedy więc po wyjściu od Bretona jechał wysadzaną drzewami aleją, czuł, jak znowu chłodne uniesienie rozchodzi mu się po całym ciele, wypełniając każdy najdrobniejszy nerw.

Prowadził swego starego, ale dobrze utrzymanego Plymoutha wśród zieleni trawników, cały czas rewidując w myślach aferę Breton-Spiedel, sięgając pamięcią do zamierzchłej przeszłości sprzed dziewięciu lat. Sprawa ta zapisała się w jego świadomości jako jedyna w swoim rodzaju, nie dlatego jednak, że nie zdołał jej rozwiązać, ostatecznie miał na swoim koncie wiele niepowodzeń - ale dlatego, że tak bardzo się pomylił. Convery był bowiem akurat w komisariacie, kiedy wniesiono Kate Breton, i prawie całą historię poznał z jej własnych ust w tym pierwszym momencie oszołomienia, kiedy policjantka splotkiwała jej z włosów szczątki ludzkiego mózgu.

Jej opowieść w streszczeniu sprowadza się do kilku następujących zasadniczych faktów: pokłóciła się z mężem wybierając się z nim na przyjęcie i zupełnie idiotycznie poszła piechotą sama na skróty przez park, gdzie została

napadnięta. W tym momencie jak spod ziemi wyrósł jakiś mężczyzna, strzelił bandzirowi w łeb i zniknął w ciemnościach. Kate Breton zaczęła uciekać na oślep jak szalona, aż z wyczerpania mało nie padła.

Opierając się na tych nagich faktach, Convery przyjął dwa prawdopodobne wyjaśnienia. Przede wszystkim wykluczył przypadkowość pojawienia się tajemniczego nieznanego w tej właśnie chwili, w tym miejscu i do tego jeszcze ze sztucerem. Mogło natomiast być inaczej: zabójca znał bandytę, podejrzewał, że jest on psychopatą o morderczych skłonnościach, i śledził go od jakiegoś czasu, a przekonawszy się o słuszności swoich podejrzeń, dokonał na nim wreszcie egzekucji. Tę hipotezę Convery odrzucił jednak instynktownie, aczkolwiek dla porządku postanowił ją sprawdzić.

Jego myśl krążyła nieustannie wokół osoby męża Kate. A jeśli zepsucie samochodu i kłótnia były zaplanowane? Jeśli mąż chciał się jej pozbyć i miał w bagażniku broń? Mógł przecież iść za nią przez park zamierzając ją zabić, ale kiedy znalazła się w niebezpieczeństwie, odruchowo wypalił do napastnika.

Ta druga teoria miała luki, ale Convery nabrał wprawy w wypełnianiu luk. Przede wszystkim więc zapytał Kate, czy nie podejrzewa, kto to mógł strzelać. Będąc jeszcze w stanie szoku potrząsnęła głową, ale Convery dostrzegł, jak wygięta dolną wargę, bezgłośnie wymawiając jakieś imię zaczynające się na literę J.

A kiedy w domu Bretonów powtórzył opis mężczyzny podany przez młodych ludzi, którzy byli świadkami tej sceny, i wyczytał w oczach Johna poczucie winy... wiedział,

że znalazł zabójcę.

Odkrycie, że Breton ma mimo wszystko murowane alibi, dotknęło Convery'ego w jakiś szczególny, niezrozumiały sposób. Strawił wiele tygodni próbując obalić alibi, jakie zapewnili Bretonowi sąsiedzi, którzy zauważyli go stojącego w oknie od frontu, a nawet naraził się specjalistom od medycyny sądowej kwestionując ich opinię, że sztucer Bretona nie zdradzał śladów użycia. Eksperymentował ze starą strzelbą myśliwską: najpierw z niej strzelił, a następnie płucał ją najrozmaitszymi roztworami chemicznymi i rozpylał na nią kurz. W końcu jednak musiał przyznać, że Breton, którego wina leżała jak na dłoni, jest nietykalny.

Dla każdego innego policjanta byłby to sygnał, że należy zamknąć sprawę i zająć się czymś bardziej obiecującym, ale zły duch Convery'ego nie opuszczał go ani na chwilę, wszeptując mu do ucha obietnicę sukcesu, i właśnie teraz, kiedy jechał do domu, głos ten odezwał się w nim z dawną siłą. Zdarzało się w ciągu tych dziewięciu lat, że jego wizyty u Bretonów wydawały się jedynie bezowocnymi przejawami manii prześladowczej, ale dziś wyraźnie zwierzył strach i winę...

Wjechał swoim Plymouthem na krótki betonowy chodnik przed domem, o mało nie potrącając trzykołowego roweru swojego najmłodszego syna. Wsiadł z samochodu i zamykając drzwi pochwycił lekkie skrzypnięcie. Poruszył więc nimi kilka razy, żeby ustalić, skąd pochodził ten dźwięk, a następnie poszedł do garażu po oliwiarękę i naoilił wszystkie drzwi. Schował oliwiarękę na miejsce i przez wewnętrzne przejście łączące garaż z domem wszedł do kuchni.

- Co tak późno, kochanie? - Jego żona Giną stała przy stole zastawionym przyborami do pieczenia. Ręce miała całe w mące, a ciepłe powietrze kuchni przesycone było budzącym odległe wspomnienia zapachem placka z baka-
liami.

- Przepraszam cię - powiedział - ale mnie zatrzymali. - Poklepał żonę po pośladkach, bezmyślnie podniósł do ust kandyzowaną skórkę pomarańczową i zaczął ją żuć.

- Blaize?

- Co, kochanie?

- Znów byłeś u Bretonów? Convery przestał gryźć skórkę.

- A dlaczego pytasz?

- Tim powiedział, że znów mu grzebałeś w jego kolekcji skamielin, i że brakuje mu jednego amonitu.

- Czy to nie przesada? Myślałem, że to ja jestem de-
tektywem w tym domu.

- Ale powiedz, byłeś tam?

- Wpadłem dosłownie na chwilkę.

- Och, Blaize, co sobie ci ludzie pomyślą?

Na twarzy Giny Convery odmalowała się troska.

- A dlaczego mieliby sobie cokolwiek pomyśleć? Po prostu wpadłem, z przyjaźni.

- Nie może być mowy o żadnej przyjaźni z detekty-
wem, który przesłuchiwał ich w sprawie o morderstwo. Złuszczaj jeśli chodzi o ludzi z takimi pieniędzmi.

- Niepotrzebnie się tym denerwujesz, kochanie, z Johnem Bretonem łączą mnie bardzo dobre stosunki.

- Wyobrażam sobie - powiedziała Giną, a tymczasem Convery poszedł do saloniku, usiadł, wziął pismo ilustro-

wane i zaczął je z roztargnieniem przeglądać. Dziewięć lat temu stało się coś bardzo dziwnego w domu Bretonów, a dzień dzisiejszy stanowił jak gdyby podróż w czasie, cofnięcie się do tego kluczowego momentu. Breton był nie tylko znacznie szczuplejszy, ale i wyglądał starzej, a mimo to w jakiś nieokreślony sposób wydawał się młodszy, mniej doświadczony, mniej pewny siebie, otoczony jakąś inną aurą. Dostaje hyzja, pomyślał Convery. Aura to żaden dowód, chyba że telepatia, o której mówili w dzienniku, zaczyna zataczać coraz szersze kręgi. Przekartkował pismo, sięgnął po następne, po czym odrzucił je z niesmakiem.

- Gina! - zawołał - o której godzinie siadamy do stołu?

- Około piątej. Nie za późno dla ciebie?

- Nie, w porządku. Bo ja znów będę musiał wyjść.

W chwilą później Convery znalazł się w środku białego mącznego tajfunu: żona wtargnęła do pokoju i zaczęła mu wymachiwać pięścią przed nosem.

- Blaize Convery - wyszeptała jadownicie - wyjdiesz z tego domu po moim trupie.

Convery spojrział w jej różową, pełną determinacji twarz z łagodnym zdumieniem.

- Zupełnie cię nie rozumiem.

- Tim ma dzisiaj przyjęcie urodzinowe. A ty sobie wyobrażasz, że po co ja piekę to ciasto?

- Ale przecież jego urodziny są dopiero w przyszłym tygodniu - próbował się bronić Convery.

- Owszem, ale urodziny Kennetha były tydzień temu, a oni zawsze obchodzą razem w połowie drogi - Gina patrzyła na niego oskarżycielsko. - Już do tej pory powinienes być się tego nauczyć.

- Kiedy ja o tym wiem, kochanie, po prostu zapomniałem. Jestem przekonany, że się nie poczują dotknięci, jeśli tym razem mnie nie będzie...

- Tym razem ! Nie było cię przez ubiegłe dwa lata. Wykluczone, nie wyjdiesz!

- Ale ja mam sprawę służbową do załatwienia.

- Nie dziś.

Convery zajął w oczy swojej żonie i poddał się z uśmiechem, który pozwolił mu zachować resztki godności. Kiedy wyszła z pokoju, teatralnie wzruszył ramionami na swój własny beneficjusz i wziął do ręki porzucone pismo. John Breton czekał dziewięć lat - poczeka jeszcze trochę.

Kiedy zadzwonił telefon przerywając panującą w domu ciszę, Breton najpierw rzucił się do niego, a potem nagle zatrzymał się niepewnie z ręką na chłodnej plastikowej krzywiźnie słuchawki.

X

Dwie godziny spędzone samotnie w mrocznej popołudniowej ciszy napełniały go na zmianę to niejasnymi obawami, to znów gwałtownym, przyspieszającym bicie serca tryumfem. Był to dokładnie taki dzień, kiedy właściwie w każdej chwili mógł oczekiwać pojawienia się migotliwych, ulotnych mroczków przed oczami zapowiadających regularny atak migreny. Ale od roku, od tamtej pierwszej poważnej podróży w czasie, prawie mu się to nie zdarzało - widocznie cały nerwowy potencjał wyczerpał się, uszedł. Teraz, kiedy czuł pod ręką wibrujący telefon, ogarnęła go groźna świadomość balansowania na granicy życia i śmierci...

Podniósł słuchawkę i czekał w milczeniu.

- Halo - męski głos w telefonie miał z lekka angielski akcent. - Czy to ty, John?

- Tak - odpowiedział Breton ostrożnie.

- Nie byłem pewny, czy cię już zastanę. Dzwoniłem do biura i powiedzieli mi, że właśnie wyszedłeś, ale to było zaledwie pięć minut temu, stary, chyba spaliłeś opony jadąc do domu.

- Owszem, spieszyłem się. - Breton uważał, żeby jego ton brzmiał swobodnie. - Ale kto mówi, jeśli wolno spytać?

- Gordon oczywiście. Gordon Palfrey. Posłuchaj, stary, jest tu z nami Kate. Spotkaliśmy ją robiąc z Miriam zakupy, chciałyby z tobą pomówić.

- Dobrze. - Breton przypomniał sobie z trudem, że Palfreyowie to entuzjaści pisma automatycznego i że Kate była ostatnio pod ich wrażeniem. Miriam miała jakieś te-

lepatyczne właściwości i na myśl o tym, że miałby z nią rozmawiać, poczuł się nieswojo.

- Halo... John? - Kate była jak gdyby zdyszana i po jej niepewności Breton poznał, że wie, który to z nich odebrał telefon.

- O co chodzi, Kate?

- John, Miriam opowiadała mi niestychanie ciekawe rzeczy na temat swojej pracy. Wyniki, jakie osiągnęła w ciągu ostatnich dwóch dni, są naprawdę rewelacyjne. Jestem tym szalenie podekscytowana.

Jakim sposobem, pomyślał Breton z odrobiną niepokoju, Kate, moja Kate, może się zadawać z takimi ludźmi? A głośno powiedział:

- To brzmi interesująco. I dlatego do mnie zadzwoniłaś?

- W pewnym sensie; Miriam ma dzisiaj pokaz dla grona bliskich przyjaciół i mnie też zaprosiła. Jestem strasznie podniecona, John. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że prosto stąd pojedę do nich? Dasz sobie sam radę dziś wieczór?

Nieobecność Kate w domu w ciągu najbliższych kilku godzin była Bretonowi nawet na rękę, ale zezłościł go jej niemal religijny stosunek do Palfreyów. I tylko obawa, że zachowa się jak ten drugi Breton, powstrzymała go przed zaprotestowaniem.

- Kate - powiedział spokojnie - czy ty mnie unikasz?

- Alż nic podobnego, po prostu nie chcę stracić tej okazji.

- A kochasz mnie? Zaległa cisza.

- Myślałam, że nie musisz o to pytać.

- No, już dobrze. - Breton postanowił przystąpić do akcji. - Ale czy uważasz, że to rozsądnie z twojej strony wychodzić na tak długo z domu? Mówiąc o Johnie wcale nie żartowałem. Jest w takim nastroju, że mógłby dziś pójść na całego i zniknąć.

- To jego sprawa. Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie, tylko chciałbym, żebyście oboje wiedzieli dokładnie, co robicie.

- Ja mam naprawdę tego dosyć - powiedziała Kate, w której głosie nie było ani śladu dawnego podniecenia. - To przekracza moje możliwości.

- Nie przejmuj się, kochanie - odparł łagodnie Breton.

- Baw się dobrze, a my to załatwimy... jakoś.

Odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać nad swoim następnym posunięciem. Cordon Palfrey powiedział, że John wyszedł już z biura, co oznaczało, że lada moment, może się zjawić w domu. Breton skoczył na górę i wyjął automat ukryty w pokoju gościnnym. Kiedy stamtąd wychodził, ciężki metalowy przedmiot obciągał mu kieszeń marynarki. Musi upozorować zniknięcie Johna Bretona tak, żeby wyglądało, że z niesmakiem porzucił swoje małżeństwo i karierę zawodową, a w tym celu należało usunąć jego ubranie i inne przedmioty, które w takiej sytuacji wzięłyby ze sobą. Pieniądze! Jack spojrzął na zegarek - o tej porze bank już będzie zamknięty. Zawahał się. Ciekawe, czy Kate dostrzegłaby coś dziwnego w tym, że John zniknął bez gotówki. Mogłaby tego nie zauważyć przez kilka dni czy tygodni, ale w końcu zaczęłoby to przeciąż wyglądać podejrzanie.

Z drugiej strony Kate nigdy nie była pazerna na pie-

niądze ! z pewnością nie wnikła zbyt dokładnie w szczegóły operacji finansowych Johna. Jack postanowił w końcu, że rano pójdzie do banku, jako drugie swoje wcielenie, i przeleje większość pieniędzy na bank w Seattle. Później, w razie potrzeby, będzie mógł podejmować z tego nowego konta, żeby całej tej fikcji nadać pozory prawdopodobieństwa.

Wyjął ze schowka dwie wielkie walizy, wypełnił je ubraniami i zaniósł na dół do holu. Cały czas pistolet obijał mu się o udo. Częścią świadomości zdawał sobie sprawę, że użycie broni przeciwko Johnowi Bretonowi będzie bardzo trudne, ale pozostała jej część była bezwzględnie zdecydowana - jest to punkt kulminacyjny dziewięcioletniej udręki i nie ma już odwrotu. Najważniejszą sprawą w tym wszystkim był fakt, że to on powołał do życia Johna Bretona użyczając mu dziewięciu lat istnienia, za które nigdy nie miał dostać żadnej prowizji; uznał, że przyszedł czas na zdyskontowanie tej pożyczki. Dałem - przyszła mu do głowy nieproszona myśl - a więc mogę odebrać...

Nagle Breton poczuł lodowaty chłód. Stał w holu dygocząc i przyglądając się swojemu odbiciu w długim złotych lustrze, całe wieki, dopóki niski warkot Turbo-Lincolna Johna Bretona nie zakłócił brązowej ciszy starego domu. W chwilę później wszedł tylnymi drzwiami John i nie zdejmując płaszcza wkroczył do holu. Oczy zwężyły mu się na widok dwóch walizek.

- Gdzie jest Kate? - Na mocy cichego porozumienia darowali sobie raz na zawsze konwencjonalne powitania.

- Kate... Kate została zaproszona przez Palfreyów na kolację i spędzi tam cały wieczór. - Jack stwierdził, że z

trudem dobywa słów. Za kilka sekund miał zabić Johna, ale myśl o tym, że zobaczy to dobrze znane ciało rozprute przez kule, napęłniała go denerwującą nieśmiałością.

- Aha. - Wzrok Johna był czujny. - A czy można wiedzieć, co zamierzasz zrobić z moimi walizkami?

Palce Jacka zacisnęły się na kolbie pistoletu. Potrząsnął głową, niezdolny wymówić słowa.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedział John. - Nic ci nie jest?

- Wyjeżdżam - skłamał Jack usiłując poradzić sobie jakoś z nowym odkryciem, jakiego przed chwilą dokonał, a mianowicie, że nie będzie w stanie pociągnąć za spust. - Później ci zwrócę walizki. Wziąłem też trochę ubrania. Chyba nie masz nic przeciwko temu, co?

- Nie, nie mam. - W oczach Johna pojawił się wyraz ulgi. - Ale czy chcesz przez to powiedzieć, że zostajesz w tym... w tym strumieniu czasu?

- Tak... wystarczy mi po prostu świadomość, że Kate żyje gdzieś niedaleko.

- O? - Na szerokiej twarzy Johna pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby spodziewał się usłyszeć coś zgoła innego. - Wyjeżdżasz właśnie w tej chwili? A może wezwać ci taksówkę?

Jack skinął głową. John wzruszył ramionami i odwrócił się do telefonu. Kiedy Jack wyciągał z kieszeni pistolet, czuł się tak, jak gdyby go poraził lodowaty prąd. Podszedł z tyłu do Johna i uderzył go mocno ciężką kolbą za uchem. Kiedy nogi się pod Johnem ugięły, wymierzył mu drugi cios i nie panując już zupełnie nad swoimi nieskoordynowanymi ruchami potknął się o swoją ofiarę i wraz z nią runął na pod-

łogę. Stwierdził, że leży na Johnie, twarz przy twarzy, i z przerażeniem zauważył, jak powieki tamtego drgnęły i jak jego drugie wcielenie patrzy na niego otępiałymi, ale przytomnymi oczyma.

- Ach, więc to tak - wyszeptał John jak gdyby z senną satysfakcją zasypiającego dziecka. Zamknął oczy, ale Jack uderzył go pięścią raz i drugi, ze szlochem, usiłując zniszczyć świadectwo swojej winy.

Kiedy odzyskał trzeźwość umysłu, sturlał się z Johna i przykucnął przy bezwładnym cieple, ciężko dysząc. Następnie podniósł się, wszedł po niskich schodkach do łazienki i pochylił się nad umywalką. Czuł na czole lodowaty dotyk kranów, zupełnie tak samo jak w czasach młodości, kiedy dokonując pierwszych straszliwych eksperymentów z alkoholem w tej samej pozycji oczekiwał, aż jego organizm się oczyści. Ale tym razem uczucie ulgi nie dało się okupić tak tanio.

Breton opryskał sobie twarz zimną wodą, a następnie wytarł się, szczególnie ostrożnie traktując poobcierane kostki palców, z których zaczęła się już sączyć limfa. Otworzył łazienkową apteczkę w poszukiwaniu opatrunków, kiedy nagle dostrzegł fiolkę z jasnozielonymi, trójkątnymi pastylkami. Miały wygląd typowy dla tabletek nasennych. Breton przestudiował etykietę, która potwierdziła jego przypuszczenia.

Poszedł do kuchni, nalał wody do szklanki i zaniósł ją do holu, gdzie w dalszym ciągu leżał rozciągnięty na musztardowym dywanie John. Jack uniósł mu głowę i usiłował podać tabletki. Zadanie jednak okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Usta i gardło nieprzytomnego

wypełniały się wodą, którą natychmiast wyparował wraz z pastylkami w gwałtownym ataku kaszlu. Breton ociekał potem - upłynęło wiele cennego czasu, nim zdołał wcisnąć Johnowi osiem tabletek.

Odrzucił fiolkę, schował pistolet do kieszeni i wciągnął ciało do kuchni. Szybko przeszukał kieszenie Johna, znajdując w nich portfel z dokumentami, które mogły mu się przydać w jego późniejszych poczynaniach, i pęk kluczy, łącznie z kluczami od dużego Lincolna.

Wyszedł do samochodu, przeprowadził go na tył domu i ustawił tak, że tylnym zderzakiem dotykał obrośniętej bluszczem kratki patio. Powietrze było nagrzane popołudniowym słońcem, a poprzez zasłonę drzew i żywopłotów dochodził w dalszym ciągu obojętny warkot maszyny do strzyżenia trawników. Breton otworzył bagażnik samochodu i wrócił do kuchni. John leżał w kompletnym bezruchu, jakby już nie żył, a jego twarz była świetliście biała. Trójkątny strumyk krwi spływał mu z nosa na policzek.

Breton wyciągnął ciało z domu i załadował je do bagażnika. Kiedy upychał nogi, zauważył, że John zgubił Jeden but. Zamknął klapę bagażnika, nie zatrzasnując jej, i wszedł do domu. Pantofel leżał tuż za drzwiami. Breton podniósł go i właśnie wracał spieszenie do Lincolna, kiedy wpadł prosto na Convery'ego.

- Przepraszam. że ci znów przeszkadzam, John. -
Błękitne, szeroko rozstawione oczy porucznika były czujne, ruchliwe, pełne jakiejś złośliwej energii. - Ja tu chyba coś zostawiłem...

- Nic nie zauważyłem.

Breton słyszał te słowa wydobywające się z jego ust i

nie mógł się nadziwić, że jego ciało daje sobie radę, z subtelnościami porozumienia, podczas gdy umysł, odpowiedzialny za wszelkie reakcje, pozostaje w stanie szoku. Co ten Convery tu robi? Już po raz drugi tego dnia pojawia się na patio w najmniej odpowiednim momencie.

- Chodzi mi o skamielinę, o tę skamielinę mojego syna; po powrocie do domu stwierdziłem, że jej nie mam. - Uśmiech Convery'ego był niemal ironiczny, jak gdyby rzucił Bretonowi wyzwania, by korzystając ze swoich praw wyrzucił z domu natrętnego intruza. - Nie wyobrażasz sobie, jaką miałem o to awanturę.

- Ale tego tutaj nie ma. Jestem przekonany, że bym zauważył, gdyby było, to nie jest coś, co można by przeoczyć.

- Rzeczywiście - przyznał Convery obojętnie. - Musiałem zostawić gdzie indziej.

To nie może być przypadek, doszedł do smutnego wniosku Breton. Convery jest niebezpieczny, inteligentny, gorliwy glina, nie ma nic gorszego. Człowiek obdarzony intuicją, której ślepo ufa, uparcie trzymając się swoich koncepcji - wbrew logice, wbrew dowodom. A więc prawdziwą przyczyną, dla której Convery odwiedzał Johna Bretona regularnie od dziewięciu lat, była po prostu podejrzliwość. Jakiż to mściwy kaprys losu, zastanawiał się Breton. przywiódł tego superpolicjanta na scenę, którą tak starannie wyreżyserował tego październikowego wieczora?

- Zgubiłeś pantofel?

- Pantofel? - Breton poszedł za wzrokiem Convery'ego i zobaczył w swojej ręce czarny but. - A, tak. Robię się roz-targniony.

- Wszyscy jesteśmy roztargnieni, kiedy mamy czymś zaprzątnięte myśli, tak jak ja tą moją skamieliną.

- Ale ja nie mam niczym zaprzątniętych myśli - odparł Breton błyskawicznie. - A ciebie co gryzie?

Convery podszedł do Lincolna i oparł się o niego, położywszy prawą dłoń na pokrywie bagażnika.

- Nic specjalnego, po prostu usiłuję mówić za pomocą ręki.

- Nie rozumiem.

A, głupstwo. Ale a propos rąk: masz zupełnie poobcierane kostki. Biłeś się z kimś czy co?

- Z kim? - roześmiał się Breton. - Przecież nie będę się bił sam ze sobą.

- Myślałem, że może z tym facetem, który przyprowadził ci samochód. - Convery uderzył w bagażnik i nie zatrzaśnięta kłapa zawibrowała hałaśliwie. - Jak słyszę, w jaki sposób się te łobuzy odnoszą do klientów, też mam nieraz ochotę im wlać; dlatego między innym wszystko staram się robić sam.

Breton poczuł suchość w ustach. A więc Convery zauważył, że w czasie jego poprzedniej wizyty nie było samochodu.

- Ale ja jestem w jak najlepszych stosunkach z moją stacją obsługi.

- A co ci teraz robili? - Convery przyglądał się Lincolnowi z pogardą człowieka praktycznego.

- Trzeba było wyregulować hamulce.

- Tak? Myślałem, że w tych samochodach hamulce regulują się samoczynnie.

- Być może, nigdy tego nie sprawdzałem. - Breton

zaczął się zastanawiać, jak długo to jeszcze potrwa. - Wiem tylko, że miałem kłopoty z hamowaniem.

- Dam ci dobrą radę: zanim wyjedziesz, sprawdź, czy koła są dokręcone. Widziałem samochody, które wracały z warsztatów po regulacji hamulców i nakrętki ledwie im się trzymały.

- Teraz już na pewno będzie wszystko w porządku.

- Nie ufaj im, John, jeżeli tylko mogą zostawić coś nie dokręconego tak, żeby zaraz nie odpadło, zostawią z całą pewnością.

Convery obrócił się nagle i zanim Jack zdążył się ruszyć, złapał za rączkę bagażnika, otworzył go spoglądając tryumfalnie na Bretona, po czym zatrzaskał mocno, przekręcając rączkę.

- O, widzisz, mogłaby ci ta kłapa odskoczyć przy szybkiej jeździe, a to jest bardzo niebezpieczne.

- Dziękuję ci - powiedział Breton słabo - jestem ci bardzo zobowiązany.

- Drobiazg. Dla obywatela wszystko - Convery z zastanowieniem pociągnął się za ucho. - No, muszę już iść. Moje dzieciaki obchodzą dziś urodziny i nie powinienem być w ogóle wychodzić z domu. Wpadnę jeszcze.

- Wpadnij, jak tylko będziesz miał ochotę - odparł Breton.

Stał chwilę niezdecydowany, a następnie ruszył za Converym i znalazł się przed frontem domu w momencie, kiedy zielony wóz porucznika odjeżdżał właśnie z rykiem rury wydechowej. Zimny wiatr rozwiewał zeszcłe liście przed Bretonem, który zawrócił z miejsca. Ostatnia uwaga Convery'ego była znamienna. Świadczyła o tym, że jego

wizyta nie miała charakteru ani towarzyskiego, ani przypadkowego, a Convery nie zapowiadał się bez wyraźnego powodu. Breton odniósł więc wrażenie, że został ostrzeżony, co postawiło go w dziwnej, a być może nawet groźnej sytuacji.

Nie zabije przecież Johna, skoro porucznik Convery może po prostu krążyć w pobliżu, czekając na rozwój wypadków.

Ale jednocześnie po tym, co się stało, nie może również zostawić Johna przy życiu - a na rozwiązanie problemu zostało mu bardzo niewiele czasu.

XI

Ułynęło kilkadziesiąt lat od chwili, kiedy generał Teodor Abram postawił nogę na polu bitwy, ale uważał się za człowieka żyjącego na efemerycznej ziemi niczyjej, oddzielającej dwie największe maszyny wojenne, jakie kiedykolwiek widziano w starożytnej i krwawej historii tej krainy.

Nie było w jego życiu godziny, minuty, jednej jedynej chwili, która nie byłaby przesycona bez reszty świadomością, że stanowi najważniejszy element pierwszej linii obrony kraju. Gdyby doszło do wojny, nie będzie musiał naciskać żadnych guzików - jego broń to papier, a nie stal; mimo to jednak generał Abram był żołnierzem - ciężar odpowiedzialności za przygotowania techniczne mógł udźwignąć jedynie patriota i bohater.

Koszmarne życie generała Abrama dodatkowo komplikował fakt, że posiadał on dwie całkowicie odrębne grupy wrogów. Jedną stanowił naród, przeciwko któremu jego własny lud mógł kiedyś zostać powołany pod broń, drugą jego własne pociski i technicy, którzy je projektowali i obsługiwali. Zwalisty olbrzym, stworzony do walki za pomocą szabli i maczugi, zupełnie nie nadawał się do prowadzenia wojny zmechanizowanej, a jeszcze mniej do ciągłego oczekiwania, które było alternatywą. Jak tylko mógł, unikał wizyt w bazach podziemnych, aż nazbyt często bowiem, bo w siedmiu przypadkach na osiem, okazywało się, że pociski w swoich niewiarygodnie skomplikowanych wnętrzach kryją jakieś defekty. Personel techniczny wydawał się nieświadom tego, że te „drobne usterki”, powodująca konieczność

zastępowania wadliwych urządzeń nowymi i dokonywania ciągłych prób, zmniejszają w sposób zasadniczy potencjał obronny kraju.

Abram nie mógł pojąć, dlaczego pocisk musi się składać z miliona części bez mała; tym mniej rozumiał dziwną zasadę, według której zbiór całkowicie niezawodnych elementów w tak dużym nagromadzeniu niezmiennie dawał w efekcie samowolną i kapryśną całość, o efektywności zmieniającej się z minuty na minutę. W ciągu wielu lat sprawowania swojej funkcji generał nabrał głębokiej niechęci do naukowców i inżynierów, dzięki którym znalazł się w swojej obecnej sytuacji, i na każdym kroku to demonstrował.

Spojrzał na zegarek. Doktor Rasch, główny specjalista z Ministerstwa Obrony, zamówił się telefonicznie na wizytę i miał przyjść lada moment. Perspektywa wysłuchiwanie o tak późnej popołudniowej porze przesadnie precyzyjnych wypowiedzi małego człowieczka wystarczyła, by napięte i tak nerwy generała Abrama przypominały teraz kable wysokiego napięcia w czasie burzy. Kiedy usłyszał, że drzwi jego biura się otwierają, położył się niemal na biurku, wściekły, gotów zmiążyć uczonego samą potęgą swojej nienawiści.

- Dzień dobry, panie generale - powiedział doktor Rasch, kiedy go wprowadzono. - To bardzo miło z pańskiej strony, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas.

- Dzień dobry. - Generał przyjrzał się badawczo Raschowi zastanawiając się, co też go sprowadza. Żółtawe oczy uczonego płonęły dziwnym światłem. Mógł to być równie dobrze strach, jak ulga czy tryumf. - Co słychać?

- Nie bardzo wiem, jak to panu powiedzieć, generale.

- Do Abrama nagle dotarło, że Rasch jest ogromnie z siebie rad, i jego złość jeszcze wzrosła. Znaleźli na pewno jakiś błąd konstrukcyjny w którymś z elementów - może w pompie czy jakimś mikroskopijnym zaworze - który wymaga teraz kompletnego zmodyfikowania.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko znajdzie pan jakiś sposób - rzekł Abram ponuro. - W przeciwnym razie pańska wizyta będzie bezprzedmiotowa.

Szczupła twarz Rascha drgnęła nerwowo.

- Problem polega nie na tym, czy ja zdołam to panu wytłumaczyć, tylko czy pan to zdoła zrozumieć. - Nawet w złości Rasch wyrażał się ze skrupulatnością i pedanterią.

- Niech mi pan to wobec tego poda jak najprościej - odparował wyzywająco Abram.

- W porządku. Mam nadzieję, że zauważył pan deszcz meteorów, jakiego jesteśmy świadkami od pewnego czasu?

- Jest bardzo piękny - odparł ironicznie Abram. - Czy o tym przyszedł pan ze mną porozmawiać?

- Niezupełnie. Czy wie pan może, co wywołało to bezprecedensowe zjawisko?

- Nawet jeśli wiedziałem, to i tak już zapomniałem. Nie mam czasu na jakieś tam naukowe bzdury.

- Wobec tego pozwolę sobie panu przypomnieć. - Rasch odzyskał swój zwykły spokój, co jakoś dziwnie zbiło z tropu Abrama. - Nie ulega już teraz wątpliwości, że maleje siła grawitacji. Otóż Ziemia porusza się zwykle po orbicie, którą od dawna oczyściła ze wszelkich kosmicznych odłamków, ale wobec tej nowej zmiany w stałej grawitacyjnej orbicie znów jest zaśmiecona - częściowo w wyniku przemieszczenia się planety, ale w jeszcze znaczniejszej

mierze wskutek jej wyraźnie zwiększonego wpływu na drobne ciała. Deszcz meteorów jest namacalnym dowodem, że grawitacja...

- Grawitacja, grawitacja! - wykrzyknął Abram. - Co mnie obchodzi grawitacja?!

- Powinna pana obchodzić, generale. - Rasch pozwolił sobie na powściągliwy uśmiezek. - Grawitacja jest jedną ze stałych, której obliczenie przez komputery pozwala pańskim pociskom trafiać do celu, a teraz ta stała przestała być stałą.

- Pan chce powiedzieć... - Abram urwał, ponieważ dotarła do niego waga słów Rascha.

- Tak jest, generale. Pociski nią będą Już trafiały dokładnie w wyznaczone cele.

- Ale możecie przecież wprowadzić odpowiednią korektę stosownie do tej zmiany siły grawitacyjnej.

- Oczywiście, tylko że to musi potrwać. Zmniejszenie się siły grawitacyjnej postępuje i...

- Od jak dawna?

Rasch niedbale wzruszył ramionami.

- Od sześciu miesięcy. To zależy zresztą.

- Ależ to mnie stawia w sytuacji nie do przyjęcia. Co powie prezydent?

- Trudno mi powiedzieć, generale, ale mamy przynajmniej jedną pociechę.

- To znaczy?

- Wszystkie narody świata stanęły wobec tego samego problemu. Pan się martwi o stosunkowo niewielką ilość pocisków bliskiego zasięgu, a co mają powiedzieć Rosjanie, Amerykanie i inni? - Rascha opanował filozoficzny spokój,

który rozwścieczył Abrama.

- A pan co, doktorze Rasch - zapytał - pan się nie martwi?

- Martwi, generale, martwi? - Rasch wyglądał przez okno wychodzące na rozedrganą w nasilającym się upale pustynię. - Jeśli ma pan chwilę czasu, żeby mnie posłuchać, to panu wytłumaczę, w jaki sposób te „naukowe bzdury”, jak je pan nazywa, wpłyną na przyszłość ludzkości.

Zaczął mówić cienkim, monotonnym, dziwnie rozmazonym głosem, a generał Abram słuchając go, po raz pierwszy poznał naprawdę, co to strach.

Niemal każdej pogodnej, a w szczególności księżycowej, nocy na najwyższym piętrze najwyższego budynku Ridgeway Street można było zobaczyć otwarte okno.

Ci, co późno przechodzili ulicą, widywali czasem błądy cień poruszający się w ciemnym prostokącie: to Willy Lucas ich obserwował. A wtedy na przyszczatej, przystłoniętej kędzierzawą czupryną twarzy Willy'ego pojawiał się wyraz paniki i chłopak cofał się w głąb mieszkania w obawie, że zostanie dostrzeżony.

Kobiety z przeciwka często uważały, że Willy je podgląda, i skarżyły na niego starszemu bratu, w wyniku czego Willy dostawał wały. Ale Willy'ego nie interesowały kobiety o zaciętych ustach i bezbarwnych oczach, które znał z Ridgeway Street, ani nawet dziwne ponętne istoty płci żeńskiej, które czasami ocierały się o niego we snach.

Willy po prostu lubił patrzeć na miasto pogrążone w ciszy, kiedy wszyscy inni spali. To właśnie o te cenne godziny chodziło Willy'emu, kiedy wszyscy jak gdyby wymierali

pozostawiając go samego, kiedy nie było nikogo, kto by na niego krzyczał czy patrzył złym okiem...

Kiedy pierwszy meteor zaczął spadać, Willy tkwił na swoim posterunku na ostatnim piętrze wysokiego, wąskiego budynku. Drżąc z podniecenia złapał starą teatralną lornetkę z masy perłowej, którą ukradł kiedyś w narożnym sklepie ze starzyzną Conneya, i wycelował ją w czarną kopułę nieba. Za każdym razem, kiedy widział ulotny blask meteora w tęczowej otoczce - zniekształcenie wynikłe z niedoskonałości starego przyrządu optycznego - zaczynały kłębić mu się w głowie jakieś niepokojące i bezładne myśli. Obdarzony szóstym zmysłem, jak wszyscy ludzie z lekka odbiegający od normy, doszedł do wniosku, że efemeryczne drobiny światła stanowią jakieś szczególne postanie przeznaczone specjalnie dla niego, ale na czym miało ono polegać - nie wiedział.

Willy prowadził swoje obserwacje niemal do świtu, przycupnięty w lodowatej ciemności małego stryszku, a następnie zamknął okno i poszedł spać.

Kiedy się obudził i szedł na lunch, ich sklep spożywczy, mieszczący się w tym samym domu od ulicy, był pełen ludzi. Jego dwie starsze siostry, Ada i Emily, zbyt były zajęte na to, żeby iść na zaplecze i przygotować mu jedzenie, więc Willy sam zrobił sobie kanapki z rozartym bananem grubo posmarowanym marmoladą.

Kiedy jadł pogrążony w milczącej zadumie, prawie nie widział pisma, które przy tym kartkował, ani nie słyszał dudnienia nasypywanych do ważenia kartofli. Ponieważ - dokładnie tak samo jak w Biblii - dotarło do niego we śnie straszliwe, zapierające dech znaczenie spadających gwiazd.

Poczuł się dumny, że to on został obrany narzędziem, za którego pośrednictwem owo postanie miało zostać przekazane całemu światu, ale nakładało to na niego jednocześnie wielką odpowiedzialność. A na Willym jeszcze nigdy w życiu nie spoczywała żadna odpowiedzialność, nie był więc siebie pewien - zwłaszcza w sprawie tak ogromnej wagi.

Snuł się po ciemnym, niechlujnym domu przez cały dzień, zastanawiając się, jak by tu zdjąć z siebie narzuconą mu przez Boga odpowiedzialność, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy.

O zmroku wrócił z pracy w gazowni miejskiej jego brat Joe i był zły na Willy'ego za to, że nie pobielił podwórka. Willy nie przejął się tym specjalnie, potulnie znosząc jego łajania i cały czas kombinując, jak by tu okazać się godnym pokładanej w nim przez Boga ufności.

Tej nocy deszcz meteorów był jeszcze wspanialszy niż poprzednio i Willy zaczął odczuwać dziwne wewnętrzne napięcie, niemal poczucie winy, że nie zrobił nic, by rozpowsechnić Słowo. Zaczął się tym trapić, a Willy roztagoniony stawał się po prostu debilem. To objając się po sklepie przewrócił koszyk z pomidorami, to znów upuścił skrzynkę butelek po coca-coli.

Zanim wpadł na właściwy pomysł, minęła jeszcze jedna roziskrzona rojem meteorów noc. Pomysł był nędzny i bardzo skromny - jak to sam ocenił w przyptywie samokrytycyzmu - ale Bóg niewątpliwie lepiej zdawał sobie sprawę z niedoskonałości obranego przez siebie narzędzia niż sam Willy.

Kiedy Willy już wreszcie wiedział, co powinien zrobić,

zaczął się ogromnie niecierpliwić, aby jak najszybciej wcielić swoje zamysły w czyn. Zamiast po nocy spędzonej na czuwaniu iść jak najprędzej spać, pospieszył na dół na tylne podwórko w poszukiwaniu narzędzi stolarskich, Joe stał właśnie przy kuchni, ubrany już w swój wyplamiony brązowy kombinezon, i w pośpiechu łykał herbatę. Spojrzał na Willy'ego, jak zwykle z mieszaniną trwogi i nienawiści.

- Willy - powiedział krótko - jeżeli dziś nie pobielisz podwórka, ja to zrobię sam, ale ty mi posłużysz za pędzel.

- Dobrze, Joe.

- Ostatni raz cię ostrzegam. Wszyscy już mamy dosyć twojego nieróbstwa; palcem o palec nie trącisz, aby w jakiś sposób zarobić na swoje utrzymanie.

- Dobrze, Joe.

- Wylegujesz się w łóżku całą noc i pół dnia. - Tak, Joe.

Willy spojrzał w szczerą, otwartą twarz brata i ogarnęła go wielka pokusa, żeby wyjawić Joemu, Adzie, Emily i wszystkim innym, jak wielkie mają szczęście, że on, Willy, nie wyleguje się całą noc. Dzięki jego czuwaniu bowiem zyskali trochę czasu. Ale zdecydował, że nie należy im tego mówić zbyt wcześnie, i wyszedł na podwórko.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażał, a pierwszą przeszkodą był brak odpowiedniego materiału. Stracił sporo czasu na grzebaniu w stercie nadgniętego, poczerńiałego drewna w samym rogu podwórka, kalecząc sobie przy tym palce o oślizłe deski i plamiąc ubranie na zielono omszałym nalotem i na pomarańczowo jakimś grzybem. Na koniec stwierdził, że w tej stercie nie znajdzie nic przydatnego, i poszedł do szopy, której Ada i Emily używały jako składziku.

Koło drzwi stało duże pudło z tektury, pełne toreb i kawałków brunatnego papieru do pakowania warzyw. Zaczął ostrożnie wyjmować zawartość pudła, ale pliki papieru okazały się nadspodziewanie ciężkie i trudne do utrzymania w niezdatnych palcach. Wypadały mu z rąk i rozsypywały się po podłodze. Willy znosił tę złośliwość przedmiotów martwych tak długo, jak tylko mógł, po czym wywrócił pudło dnem do góry, powodując bezładną lawinę, która runęła na zabłocony beton podwórka.

Teraz to nie ma znaczenia, pomyślał.

Ale nawet kiedy rozerwał już pudło, robota jakoś mu nie szła. Cienka tektura rozdzielała mu się na warstwy, kiedy usiłował ją kroić, a łebki gwoździ przechodziły na wylot. Pracował jednak z całym zapamiętaniem, nie odrywając się nawet po to, żeby coś zjeść czy choćby otrzeć pot z czoła, aż późnym popołudniem osiągnął coś niesłychanie chwiejnego, co w przybliżeniu odpowiadało jego wymaganiom.

Skręcał się dosłownie z głodu, ale postanowił wykorzystać dogodny moment polegający na tym, że żadna z okularnic - ani Ada, ani Emily - nie wsadzała tam nosa, i kończyć swoje dzieło. Znalazł puszkę z czerwoną farbą i pędzel, zabrał się więc do nich dziarsko, pojękując cicho od czasu do czasu z wyrazem pełnego skupienia.

Kiedy skończył, było już po piątej, ale ponieważ i tak farba musiała jeszcze wyschnąć, zdecydował doprowadzić się trochę do porządku i coś zjeść. Pognął wielkimi susami po ciemnych schodach na górę, umył twarz i gorączkowo przebrał się w odświeżone ubranie, które wydało mu się odpowiednie na tę okazję. Szczęśliwy, że jest jeszcze dość

widno, zbiegł na dół dysząc z podniecenia.

W ciasnym przejściu za sklepem zderzył się ze zwałistą postacią Joego, który właśnie wrócił z pracy.

- No? - Głos brata był napięty z hamowanej złości.
-Zrobiłeś, co do ciebie należało?

Willy spojrzął na niego ostupiały. Zupełnie zapomniał o bieleniu.

- Ach... nie miałem czasu. Byłem zajęty.

- Tak też myślałem. - Joe złapał Willy'ego za kłapy i wepchnął do domu używając całej swojej siły dorosłego mężczyzny. - Zrobisz to teraz albo cię zabiję! Zabiję cię!

Joe wyrzucił Willy'ego na podwórko i zatrzaskał za nim drzwi. Chłopak rozglądał się przez chwilę bezradnie dokoła oczami pełnymi łez, a następnie pobiegł do szopy i wziął stamtąd wiadro wapna i wielki, szeroki pędzel. Rzucił się zajadle do pracy rozchlapując bulgocącą mazią po nierównej powierzchni muru długimi, półkolistymi zamachami i nie zwracając najmniejszej uwagi na ubranie. W godzinę później wszystkie ściany były pobielone i Willy, obolały, z rękami w pęcherzach, odstawił wiadro. W tym właśnie bezcennym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Joe.

- Przepraszam cię, że byłem dla ciebie taki surowy - ton Joego świadczył o zmęczeniu. - Chodź lepiej do domu i zjedz coś.

- Nie mam ochoty - odparł Willy.

- No, ale przecież powiedziałem, że przepraszam... - głos Joego zawisł w próżni na widok grubej warstwy podeptanego papieru przed drzwiami komórki. Następnie brat dojrzał przedmiot, na którego budowaniu Willy strawił cały

dzień, i szczęka mu opadła. - Co do diabła?

- Nie zbliżaj się!

Kiedy do Willy'ego dotarło, co dzieje się z Joem, ogarnęła go panika - wiedział, że czekają go ciężkie chwile. Odsunął brata na bok i podbiegł do swego dzieła. Joe złapał go, ale chłopak ogarnięty świętym oburzeniem odepchnął Joego jedną ręką. Kątem oka zobaczył, jak Joe pada na stertę drzewa, i poczuł przyptyw triumfu. Podniósł z ziemi kruchą konstrukcję, postawił ją sobie na ramieniu i tak energicznie wkroczył do domu. Klientki narobiły wrzasku, kiedy udając się na ulicę przemaszerował ze swoim bagażem przez sklep. Willy ledwie słyszał te krzyki; nie widział też śmiertelnie bladych, przerażonych twarzy sióstr za ladą. Po raz pierwszy w życiu znalazł sobie prawdziwe miejsce w świecie, miał przed sobą ważny cel - i wiedział, że nic go z obranej drogi nie zawróci.

Dlatego też, ruszając przez jezdnię, nie zdawał sobie sprawy z pisku opon bezskutecznie hamującego samochodu, z piruetu, jaki ten samochód wykonał, i z miażdżącego uderzenia. A w kilka sekund później nie zdawał już sobie sprawy z niczego.

Gapie tłoczący się, żeby zobaczyć wypadek, bezmyślnie deptali tak pracowicie wykonaną przez Willy'ego konstrukcję. Nikt jednak nie przeczytał wypisanych koślawym drukiem słów:

KONIEC JEST BLISKI - PRZYGOTUJ SIĘ NA SPOTKANIE SWEGO PRZEZNACZENIA.

- ...ale - mówił właśnie generał Abram - jeśli to wszystko jest prawdą, to oznacza...

Doktor Rasch skinął głową w zadumie.

- Tak jest, panie generale, to oznacza koniec świata.

XII

Breton był zdecydowany: zamknął dom i pośpieszył do samochodu.

Nie miał pojęcia, jak długo Kate zamierzała być u Palfreyów, ale musiał koniecznie wrócić przed nią, jeśli miała uwierzyć, że John sobie poszedł. Letni domek był położony około czterdziestu mil na północ, co nie przedstawiało problemu dla ogromnego Turbo-Lincolna, ale tam, na miejscu, należało poczynić jeszcze pewne przygotowania, a poza tym nie mógł jechać zbyt szybko, żeby nie zwrócić na siebie uwagi patrolu drogowego. Gdyby miał pecha, mógłby się natknąć na zmotoryzowany odpowiednik porucznika Convery'ego.

Samochód zadrżał lekko, kiedy Breton wcisnął włącznik obrotów, po czym popadł w stan czujnego spokoju. Tylko pozycja wskazówek na zegarach świadczyła o tym, że maszyna jest w ruchu. Breton wyprowadził samochód na jezdnię, skierował go na północ i położył nogę na pedale gazu. Przyspieszenie było tak wielkie, że głowa odskoczyła mu do tyłu, więc odpuścił nieco pedału, zdając sobie nagle sprawę z siły, nad jaką panuje.

Jechał uważnie, kierując się na północny zachód, aż dotarł do głównej autostrady na Silverstream, gdzie za pomocą leciutkiego ruchu prawej stopy zwiększył szybkość do sześćdziesięciu mil bez wyczuwalnej zmiany w odgłosie pracy silnika. Dobra maszyna, pomyślał z uznaniem, i zaraz potem gdzieś w podświadomości zrodziła się myśl, że samochód należy już do niego, ale zdławił ją w zarodku.

Znalazłszy się na przedmieściu Breton zabawił się

wyszukając widoczne różnice pomiędzy Czasem B i tą samą okolicą z Czasu A, którą zachował w pamięci. Ale wszystko wydawało się takie samo - te same mroczne składy drzewa, parkingi używanych samochodów, małe samotne filie banków, oddalone od firm macierzystych, skupiska jasno oświetlonych sklepów, bary i zupełnie przypadkowe grupki domów od Sasa do Łasa. Ten sam niechlujny, chaotyczny krajobraz, którego tak nie cierpiał, powtórzył się dokładnie. Stwierdził, że zmiana życia kilku ludzi w niczym nie zmieniła miasta.

Kiedy już z niego wyjechał, przecinając prerię Montany, i dodał gazu, na przedniej szybie zaczęły się rozpryskiwać drobne owady. Po lewej stronie zachodziło miedziane słońce gasząc niebo koloru pawiego. Daleko na wschodzie coś zamigotało nad horyzontem i Breton instynktownie przykrył ręką prawe oko, spodziewając się zaburzeń wzroku poprzedzających zwykle atak migreny. Ale tym razem nie były to tęczne zygzaki i kiedy odjął rękę, zorientował się, że migotanie na niebie musiało być meteorem. Aha, więc deszcz meteorów nie ustał, pomyślał. Ciekawe, jakie jeszcze inne zjawiska mu towarzyszą.

Niektórzy ludzie nabierają właściwości telepatycznych, satelity zbaczą z orbit, promieniowanie słoneczne powoduje zakłócenia w odbiorze radiowym, maniacy religijni przepowiadają koniec świata...

Coś się nagle poruszyło z tyłu samochodu. Breton, który właśnie sięgnął do radia, żeby nastawić wiadomości, zastygł nastuchując pilnie, ale słaby odgłos już się nie powtórzył. John Breton musiał się poruszyć we śnie, uznał. Zapalił radio.

„...Komunikat NASA głosił, że wszystkie linie lotnicze eksploatujące samoloty ponaddzwiękowe, powinny ograniczyć pułap do pięćdziesięciu tysięcy stóp aż do odwołania. To ograniczenie zostało podyktowane gwałtownym wzrostem promieniowania kosmicznego, które uczeni uważają za niebezpieczne dla pasażerów na dalekich trasach i na dużych wysokościach. W Waszyngtonie dziś rano...”

Breton szybko wyłączył radio czując, że jego przyszłość z Kate jest w jakiś sposób zagrożona. Pragnienie Kate odżyło w nim, a dziś wieczór będą przecież sarni w domu. Wspomnienie tego pierwszego prawdziwego pocałunku, jej piersi, nagle żywych, wolnych, wyswobodzonych z nylonowych pęt, ud kremowych, jak gdyby wyciosanych z kości słoniowej - ten zmysłowy montaż wypełnił wyobraźnię Bretona bez reszty, nie pozwalając mu myśleć o niczym innym, jak tylko o jedynie liczącym się fakcie istnienia Kate.

Zmusił się do skupienia na najważniejszych sprawach bieżącej chwili, pilnując, aby mieć białą linię słupków przydrożnych dokładnie pod lewym błotnikiem, od czasu do czasu ścierając z szyby rozprysnięte na niej owady. Ale cały czas miał przed oczami Kate i wiedział, że nigdy z niej nie zrezygnuje.

Kiedy dojechał nad jezioro Pasca i zбочzył z autostrady wjeżdżając w wąską drogę przecinającą kępę sosen, słońce schowało się już pod linią horyzontu. Zapadł zmierzch kryjąc samochód wśród drzew. Na rozstaju Breton zastanawiał się przez chwilę, którą z dróg wybrać, uświadamiając sobie nagle jasno, że po raz ostatni był tu przynajmniej dwanaście lat temu. Na południowym brzegu jeziora stała obrosnięta bluszczem chatka rybacka, którą się

zawsze zachwycił, ale o której kupnie w tamtych czasach nie mógł nawet marzyć. Pomyślał, że właśnie tę chatkę kupiłby John Breton po dorobieniu się, ale to był właśnie ten czynnik zmienny w Czasie B. Johnowi mogły zmienić się upodobania.

Przeklinając siebie w duchu za to, że nie ustalił dokładnie położenia domku, skierował samochód na starą, prawie zupełnie nie używaną drogę i wyjechał na pustą przestrzeń nad wodą. Zakręcił na żwirze i zaparkował samochód pomiędzy parterowym domkiem a pomalowaną na zielono szopą na łódź. Kiedy tylko wysiadł z samochodu, przeniknął mu pod ubranie ciągnący od jeziora wilgotny chłód. Dygocąc z lekka Breton wyjął z kieszeni klucze i podszedł do nie oświetlonego domku.

Trzecim z kolei kluczem udało mu się wreszcie otworzyć zamek. Pchnął drzwi, wrócił do samochodu i otworzył bagażnik. John leżał skulony na boku. Robił wrażenie człowieka chorego; wokół niego unosił się duszący biskoptowy odór moczu. Jack wzdrygnął się ogarnięty poczuciem winy. Jego drugie wcielenie odarto ze wszystkiego, nawet z godności osobistej, i Jack sam poczuł się upokorzony. Wyciągnął nieprzytomnego z metalowej czeluści bagażnika i trzymając go pod ramiona zawlókł do domku. Kiedy taszczył go po stopniach wiodących do drzwi, John coś wymamrotał i zaczął się lekko szamotać.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał Jack bezmyślnie
- tylko spokojnie.

W głównym pokoju były głębokie, kryte tweedem fotele. Stół i drewniane krzesła w stylu pseudoludowym stały stłoczone pod oknem wychodzącym na jezioro. W po-

mieszczeniu znajdowały się cztery pary drzwi. Jack wybrał te, które według niego powinny prowadzić do piwnicy, i nie pomylił się. Pozostawił Johna leżącego na podłodze, nacisnął włącznik światła znajdujący się przy wejściu na drewniane schody, ale na dole było nadal ciemno. Szybko przeszedł pokój i znalazł główny włącznik ukryty w szafie. Przetoczył dźwignię i z drzwi wiodących do piwnicy buchnęło żółte światło. Wleczony na dół John znów zaczął się szarpać. Jack usiłował go jakoś uspokoić, jednocześnie utrzymując równowagę, ale stwierdził, że lada moment grozi mu upadek. Puścił więc Johna, pozwalając mu po prostu bezwładnie spaść z kilku ostatnich stopni. John runął na betonową podłogę z głośnym łomotem i leżał bez ruchu. Jednego buta brakowało mu w dalszym ciągu. Jack dał duży krok ponad nim i podszedł do warsztatu, na którym stały jakieś części silnika. Otworzył długą szufladę i znalazł w niej to, czego szukał - szpulę żyłki na ryby. Etykieta potwierdzała jego domysły: był to najnowszy typ żyłki oparty na zasadzie specjalnej struktury cząsteczkowej. Z wyglądu przypominała najcieńsze nici do szycia przy wytrzymałości rzędu kilku tysięcy funtów obciążenia. Uciął dwa kawałki specjalną gilotynką, w którą wyposażona była szpula, i krótszym związał Johnowi ręce z tyłu. Dłuższy przerzucił przez belkę sufitu, zasuptał mocno, a drugi jego koniec uwiązał wokół ramienia Johna, nad łokciem. Szpulę schował do kieszeni w obawie, że John odzyskawszy przytomność znajdzie ją i zechce się uwolnić.

- Co ty ze mną robisz? - John mówił zmęczonym, bełkotliwym głosem, ale w jego słowach była logika; odezwał się w momencie, kiedy Jack zawiązywał ostatni supeł.

- Wiążę cię, żeby nie mieć z tobą kłopotu.
- Tak przypuszczam. Ale po co mnie tu przywiozłeś? Dlaczego ja jeszcze żyję? - Zamroczony, półprzytomny John robił wrażenie, jakby go to umiarkowanie interesowało.
- Convery był dziś dwa razy. Zaczyna mnie to niepokoić.
- Nie dziwię ci się. - John usiłował się roześmiać. - Zwłaszcza że, jak mówisz, był dwukrotnie. Nigdy się to dawniej nie zdarzało, nawet kiedy usiłował mnie zrobić w zabójstwo Spiedela. Czyta w twoich myślach. Bo Convery umie czytać w myślach... - Johnowi przerwał atak torsji; odwrócił twarz do zakurzonej podłogi, a Jacka ogarnęło nagłe przerażenie. W jego głowie zrodził się pewien pomysł. Poszedł na górę do samochodu i przyniósł walizki z rzeczami Johna. John w dalszym ciągu leżał na boku, przytomny i patrzył no niego czujnym wzrokiem.
- Po co te walizki?
- Po prostu zerwałeś swoje małżeństwo i odszedłeś.
- I ty uważasz, że ona w to uwierzy?
- Uwierzy, jeśli nie wrócisz.
- Aha. - John zamilkł na chwilę. - Masz zamiar mnie tu trzymać, aż się upewnisz, że Convery się od ciebie odczepił, a potem...
- Właśnie. - Jack postawił walizki. - A potem...
- Wspaniale - rzekł John z goryczą. - Wspaniale. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś stuknięty, co?
- Już ci przecież wszystko wyjaśniłem. Podarowałem ci dziewięć lat życia.
- Nic mi nie podarowałeś. To był po prostu... skutek uboczny twoich machinacji...

- To nie zmienia faktu.

- Czy uważasz, że to wystarczy, żebym się pogodził z perspektywą, że mnie zamordujesz... to najlepszy dowód, że jesteś stuknięty. - John zamknął na moment oczy. - Jesteś chory, Jack. i niepotrzebnie tracisz czas.

- W jakim sensie?

- Jedyne, czego możesz się ucześcić, to fakt, że rzeczywiście dojrzelismy z Kate do pojawienia się kogoś takiego jak ty. Ale przecież Kate lada moment przejrzy cię na wylot i ucieknie. Ucieknie jak dwa a dwa cztery, Jack.

Jack patrzył w dół na swoje drugie wcielenie.

- Nic tym gadaniem nie zwojujesz, John. Na nic się ono nie zda. To nie jest żaden z twoich dawnych filmów.

- Wiem. Wiem, że to rzeczywistość. Pamiętasz, jak wyglądał dziadek Breton tego ranka, kiedy go znalazłem... znaleźliśmy w łóżku?

Jack skinął głową. Wytrzeszcz gałki ocznej - tak to nazwali. Jack miał wtedy osiem lat i ten żargon medyczny wcale nie złagodził szoku.

- Pamiętam.

- Tego ranka zdecydowałem, że nigdy nie umrę.

- Wiem. Myślisz, że nie wiem? - Jack głęboko zaczerpnął tchu. - Dlaczego się nie wyłączysz?

- Jak mam to rozumieć?

- Jeżeli cię, powiedzmy, puszcę, to czy możesz mi obiecać, że się wyniesiesz? Że znikniesz i zostawisz nas z Kate w spokoju? - Wypowiedziawszy te słowa Jack poczuł gwałtowny przyptyw życzliwości w stosunku do swojego drugiego wcielenia. Tak, tak właśnie należało postąpić: John z pewnością będzie wołał życie gdzieś z dala niż śmierć

tu w tej piwnicy. Pilnie śledził jego reakcje.

- Oczywiście, że zniknę. - Wzrok Johna się ożywił. - Wyniosę się gdziekolwiek, przecież nie jestem głupi.

- Zgoda.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i Jack Breton poczuł, że w jego głowie dzieje się coś bardzo dziwnego. Jego umysł i umysł Johna zetknęły się. Ten kontakt był ulotny, delikatny jak puch, a jednocześnie przerażający. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się coś tak odległe przypominającego kontakt telepatyczny, ale zrozumiał to z całą pewnością. Zrozumiał też, że John kłamał mówiąc, że zniknie.

- Wydaje mi się, że zdradzamy naturalne predyspozycje w kierunku zjawiska telepatii, która występuje teraz w tak szerokim zakresie - powiedział John spokojnie. - Mimo wszystko nasze umysły muszą być identyczne.

- Przepraszam cię bardzo.

- A ja cię wcale nie przepraszam. Mówiąc szczerze, jestem ci niemal wdzięczny. Nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, jak wiele znaczy dla mnie Kate, ale teraz już wiem i nie wyobrażam sobie, żebym mógł tak po prostu sobie odejść i zostawić ją komuś takiemu jak ty.

- Nawet jeśli alternatywą byłaby śmierć?

- Nawet jeśli alternatywą byłoby śmierć. - John Breton zdołał się przy tych słowach uśmiechnąć.

- Niech i tak będzie - rzekł bezbarwnie Jack. - Niech i tak będzie.

- Ale ty byś mi przecież i tak nie darował.

- Ja...

Telepatia działa w obydwie strony, Jack. Przed chwilą dowiedziałem się o tobie tyle, ile ty o mnie. Uważasz, że nie

możesz sobie pozwolić na ryzyko pozostawienia mnie przy życiu, ale jest jedna rzecz.

- Mianowicie? - Jack Breton poczuł się nieswojo; wyraźnie tracił inicjatywę w dyskusji, w której powinien mieć zdecydowaną przewagę.

- W głębi duszy ty chcesz mnie zabić. Bo ja uosabiam twoją winę. Jesteś w zupełnie unikalnej sytuacji polegającej na tym, że możesz ponieść najwyższą karę, zabijając mnie, a jednocześnie samemu pozostać przy życiu.

- Pustostowie, pozwolę sobie powiedzieć.

- Nic podobnego. Nie wiem, co się z tobą działo po śmierci Kate w twoim strumieniu czasu, ale wiem jedno: że cię to okaleczyło psychicznie, Jack. Kiedy stajesz wobec jakiegoś problemu, zamykasz oczy na wszystkie możliwe rozwiązania poza jednym: tym, które zaspokaja twoją potrzebę zabijania.

- Nonsens. - Jack Breton upewnił się, czy małe okienka piwnicy są dobrze zastłonięte.

- Już tego sam dowiodłeś - głos Johna brzmiał sennie.

- Mów dalej.

- Kiedy odbyłeś tę swoją wielką podróż w czasie, wcale nie musiałeś brać sztucera i zabijać Spiedela. Mogłeś osiągnąć to samo albo i więcej wracając do momentu tej mojej głupiej kłótni z Kate, kiedy mi samochód nawalił. Wystarczyło mi po prostu ostrzec.

- Wydawało mi się, że ci już wyjaśniłem dokładnie ograniczenia fizyki chronomobilnej - odparł Jack. - Nie możesz świadomie wybierać celu podróży, wracasz po prostu do wydarzenia kluczowego, do momentu zwrotnego.

- Właśnie dokładnie o tym mówię! I ja cierpię na *he-*

micrania sine dofore. W ciągu tych ostatnich dziewięciu lat widziałem kolorowe zygzaki i odbywałem podróże w czasie niezliczoną ilość razy - zawsze od sceny tamtej kłótni, ponieważ wiedziałem, że od tego się wszystko zaczęło. Stamtąd się wzięło moje poczucie winy, ale ty nie chciałeś spojrzeć prawdzie w oczy, Jack.

Pogodziłeś się z tym na krótko, a potem - wyznałeś nam to tego wieczora, kiedy do nas przyszedłeś - zacząłeś się koncentrować na scenie zabijania. Zacząłeś widzieć prześwitujące przez ruch uliczny tamte drzewa z parku. A to wszystko dlatego, że ta scena zabójstwa szczególnie do ciebie przemawiała. Był w niej Spiedel - wygodny kozioł ofiarny, na którego mogłeś przerzucić własną winę: w chwili zagrożenia Kate nie było czasu zastanawiać się nad tym, co dobre, a co złe, był tylko czas na zabijanie...

- Mylisz się - wyszeptał Jack.

- Spójrz prawdzie w oczy, to twoja jedyna szansa. Ty i ja byliśmy wtedy jednym człowiekiem, więc wiem, co tkwiło w twojej podświadomości. Ty chciałeś, żeby Kate zginęła. Kiedy Convery zastukał do twoich drzwi po raz pierwszy, usłyszałeś ten sam głos wewnętrzny co i ja, który ci mówił, że teraz jesteś wolny. Ale w tym nie ma nic strasznego. - Powieki Johna opadły, a głos zaczął zamierać. - Nie można kochać kobiety tak, żeby chwilami nie chcieć jej zabić... Przecież ona nie zawsze jest taka, jaką pragnąłbyś ją widzieć... czasem chce być sobą... wszystko polega na tym, żeby umieć się dostosować... trzeba się dostosowywać... - John Breton zasnął z przytuloną do podłogi posiniaczoną twarzą.

- Ty głupcze - powiedział Jack. - Ty biedny głupcze.

Poszedł na górę i zatrzymał się na chwilę z ręką na wyłączniku, zastanawiając się, czy nie zaniedbał niczego; jeśli chodzi o skuteczne uwięzienie Johna. Kiedy odzyska świadomość, będzie się wprawdzie mógł poruszać po centralnej części piwnicy, ale nie znajdzie żadnych narzędzi, za których pomocą mógłby się uwolnić. Pomęczy się trochę, pomyślał Jack ponuro, ale to nie potrwa długo. Zgasił światło i wyszedł zamykając za sobą starannie drzwi.

Podczas kiedy przebywał wewnątrz domku, zdążyło się ściemnić, ale niebo dostownie rozbłysło feerią światła. Ponad północnym horyzontem rozpościerały się tajemnicze świetliste zastony czerwieni i zieleni, migocąc i drgając w powiewach niesamowitych słonecznych wiatrów. Jutrzenka była tak kolorowa, że przestoniła gwiazdy polarne. W pozostałej części nieba świeciły znane konstelacje, ale i one były przyćmione w porównaniu z rozległym obszarem cichej meteorowej pirotechniki. Gigantyczne ulewy meteorów bombardowały ogniem nocne niebo, tu i tam drążąc atmosferę tysiącem ścieżek w nieregularnym rytmie i od czasu do czasu przebijając się jaskrawym, porażającym łukiem w różnych miejscach widnokrzęgu.

Cała ta fantastyczna sceneria odbijała się w wodach jeziora, zamieniając jego powierzchnię w spienione zwierciadło. Breton patrzył na to przez chwilę niewidzącym wzrokiem, po czym wsiadł do samochodu. Jego dłoń otarła się o gładki czarny przedmiot leżący na przednim siedzeniu. Był to but Johna - ten sam, który zwrócił wtedy uwagę porucznika Convery'ego. Otworzył okno i wyrzucił pantofel, który jednak upadł za blisko, i Jack słyszał, jak obija się o nadbrzeżne kamienie. Wzruszył ramionami, włączył silnik i

zatoczył półkole podnosząc fontanny żwiru.

Jadąc w kierunku południowym autostradą na Silverstream, cały czas spoglądał w lusterko: miał uczucie, że go ktoś goni, mimo że poza pulsującym światłem jutrzenki nie było za nim kompletnie nic.

XIII

Zajechawszy na miejsce z ulgą stwierdził, że w oknach jest ciemno.

Wstawił samochód do garażu i wszedł do domu tylnymi drzwiami. Spojrzał na zegarek! stwierdził, że nie było go niecałe trzy godziny - choć wydawało mu się, że znacznie dłużej. Idąc przez hol zauważył fiolkę tabletek nasennych leżącą tam, gdzie ją rzucił, zaniósł ją więc z powrotem do łazienki.

Widok własnej twarzy w lustrze podzielał na niego szokująco. Był mizerny, zarośnięty, a poza tym miał na sobie pomięte i zakurzone ubranie. Rozejrzał się po łazience i stwierdził z zadowoleniem, że jest w niej nie tylko brodzik, ale i głęboka wanna. Puścił wodę, a następnie przeszukał szafy, z których wyjął czystą bieliznę, miękką, ciemnozieloną koszulę i spodnie należące do Johna Bretona. Zabrał to wszystko do łazienki, zamknął drzwi i zrobił sobie najgorętszą kąpiel, jaką w życiu pamiętał. W pół godziny później był czysty, odprężony, świeżo ogolony i miał doskonałe samopoczucie.

Zszedł na dół do swojskiej, obszernej, stonowanej jadalni i na chwilę zawahał się przed barkiem koktajlowym. Od lat unikał alkoholu prawie zupełnie - picie przeszkadzało mu w pracy. Ale ten okres życia miał już za sobą, osiągnął niemal wszystko, co miał osiągnąć, i mógł sobie pofolgować. Spojrzał na whisky, stwierdził, że jest to Johnny Walker z czarną etykietą, i skinął głową z zadowoleniem. W niejednym w ciągu tych dziewięciu lat różnili się z Johnem, ale w sprawach alkoholu jego drugie wcielenie w dalszym ciągu

pozostało koneserem. Nalał sobie szcudrze, usiadł w najgłębszym fotelu i zaczął popijać. Podniecający aromat, ciepło destylowanego światła słonecznego, -rozchodzące się po całym organizmie, wzmogły uczucie odprężenia. Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę...

Obudził się z uczuciem paniki, nie wiedząc, gdzie jest. Zorientowanie się w sytuacji zajęło mu kilka sekund. Zmartwił się: spojrzął na zegar ścienny i stwierdził, że jest po drugiej w nocy, a Kate najwyraźniej jeszcze nie wróciła do domu. Wstał, dygocąc po długiej drzemce, i usłyszał ciche skrzypienie drzwi garażu. Kate wróciła mimo wszystko, a odgłos wysokokompresyjnego silnika jej samochodu zbliżającego się podjazdem musiał go widocznie obudzić.

Speszony, nerwowo poszedł w głąb domu i otworzył drzwi do kuchni. Stanęła w kręgu światła: pasek tweedowego kostiumu wisiał rozwiązany, a rozchyłony żakiet ukazywał poprzecznie naciągnięty sweter mandarynkowego koloru. Breton nie widział, żeby Kate kiedykolwiek wyglądała tak bardzo jak Kate.

- John - powiedziała niepewnie, przystaniając oczy.
-Och... Jack.

- Wejź, Kate - rzekł łagodnie - John sobie poszedł.

- Poszedł?

- Uprzedzałem cię przecież. Mówiłem ci, w jakim dziś był nastroju.

- Owszem, uprzedzałeś, ale... ja się nie spodziewałam... Jesteś pewny, że sobie poszedł? Samochód stoi w garażu.

- Wziął taksówkę. Chyba na lotnisko. Nie był specjalnie

rozmowny.

Kate zdjęła rękawiczki i upuściła je na stół. Breton machinalnie zamknął drzwi od kuchni, jak normalny mąż zamykający na noc swoją małą fortecę, po czym zorientował się, że Kate patrzy na niego ponuro w sposób, który tej normalnej czynności nadał jakieś szczególne znaczenie. Z ostentacyjną nonszalancją rzucił na stół klucz, który wylądował pomiędzy palcami jej rękawiczek. Co za początek, pomyślał. Zderzenie symboli.

- Nie rozumiem - powiedziała Kate. - To znaczy, że tak sobie po prostu poszedł, na dobre?

- Przed tym cię właśnie przestrzegałem, Kate. John odczuł potrzebę dość gruntownego przystosowania się do nowej sytuacji emocjonalnej. Prawdopodobnie wytłumaczył sobie twoją dzisiejszą nieobecność jako brak zainteresowania. - Breton nadał swojemu głosowi pełne skruchy brzmienie. - Możesz sobie wyobrazić, jak ja się czuję.

Kate przeszła do jadalni i stanęła przy kamiennym kominku patrząc w nie rozpalony ogień. Breton ruszył za nią i z drugiego końca pokoju pilnie obserwował jej reakcje. Zbytni pośpiech z jego strony mógł wyzwolić wrogość, którą zauważył u niej wcześniej tego dnia. Kate miała wrażliwe sumienie.

- Masz na sobie ubranie Johna - powiedziała niemal w przestrzeń.

- Wziął wszystko, co chciał, a resztę zostawił mnie. - Breton ze zdumieniem zauważył, że jest w defensywie. - Wyniósł dwie walizki.

- A co z firmą? Czy ty...?

- John sobie życzył, żebym ja przejął firmę.

- Zdaje się, że nie miałeś nic przeciwko temu. - Oczywiście Kate były nieodgadnione.

Breton uznał, że czas przypuścić atak.

- Nie chciałbym, żebyś sądziła, że John jest z tego powodu taki bardzo nieszczęśliwy. Od lat czuł się pomiędzy młotem a kowadłem, między interesami a małżeństwem. A teraz jest wolny. Oszczędzając sobie wysiłku, poczucia winy, a nawet kosztów rozwodowych, wyszedł z sytuacji, która stawiała się dla niego nie do przyjęcia.

- Rzeczywiście, kosztowało go to jedynie milion dolarów, bo tyle warta jest firma.

- Kiedy rzecz polega na tym, że wcale nie musiał z niej zrezygnować. Przecież ja tu nie przyszedłem dla pieniędzy, Kate. Przeciwnie, wydałem wszystko, do ostatniego centa, żeby cię odzyskać.

Kate odwróciła się do niego twarzą i jej głos złagodniał.

- Wiem. Przykro mi, że to powiedziałam. Ale tak wiele się wydarzyło ostatnio.

Breton podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach.

- Kate, kochanie, ja...

- Nie rób tego - powiedziała spokojnie.

- Ja jestem twoim mężem.

- Ale są chwile, kiedy nie chcę, żeby mnie dotykał nawet mój mąż.

- Oczywiście.

Ręce Bretona opadły. Miał uczucie, że bierze udział w jakiejś nie wypowiedzianej bitwie i że Kate ją wygrała po prostu dzięki lepszej strategii.

Tej nocy leżąc godzinami samotnie w pokoju gościnnym musiał spojrzeć kłopotliwej prawdzie w oczy. Dziewięć lat życia bez niego w Czasie B wycisnęło piętno na Kate, czyniąc z niej zupełnie inną osobę niż dziewczyna, którą utracił i dla której odzyskania zwyciężył sam Czas.

I nic, ale to absolutnie nic nie mógł na to poradzić.

XIV

Breton zupełnie zapomniał o tym, że istnieją dni tygodnia.

Ze zdumieniem więc otwartwszy oczy w kremowym świetle poranka poznał od razu, że jest sobota. Leżał pomiędzy świadomością a snem rozważając implikacje faktu - że wiedział o tym a priori. Z czterech elementarnych miar czasu, jak dzień, tydzień, miesiąc i rok - jedynie tydzień jest przypadkowy. Wszystkie inne są oparte na powtarzających się zjawiskach astronomicznych; tylko tydzień jest miarą umowną, ustanowioną przez człowieka - odstępem czasu pomiędzy dniami targowymi. Czujne zwierzę budzące się ze snu może poznać pozycję słońca, fazę księżyca, porę roku - ale wiedzieć, że jest sobota? Chyba że ma w podświadomości coś w rodzaju siedmiodniowego zegara albo pochwycił zmiany w rytmie ruchu ulicznego, którego odgłosy dobiegały przez uchylone okno...

W miarę jak Breton się budził, przestawiała się jego świadomość. Przemknęło mu przez głowę, jak też John spędził noc, natychmiast jednak odsunął od siebie tę myśl. Wieczorem został zmuszony przez Kate do odegrania roli łagodnego, rozsądnego przyjaciela rodziny, ale uznał, że popełnił błąd nie egzekwując z miejsca swoich nowych „praw małżeńskich”. Kate miała za dużo czasu na snucie własnych myśli i wyciąganie wniosków na zimno. Słowa takie, jak związek i kongres miały w tym kontekście specjalne znaczenie, ponieważ po osiągnięciu zespolenia seksualnego sumienie Kate - teraz niezależne - musiałoby zaakceptować nowy stan rzeczy. Pewne ścieżki, którymi błędziły jej myśli,

byłyby zamknięte, a Breton życzył sobie, żeby zostały jak najszybciej zablokowane.

Wstał i otworzył okno sypialni. Z góry dobiegało nieregularne wycie odkurzacza świadczące o tym, że Kate nie tylko wstała, ale już się krząta. Umył się, ogolił, ubrał, jak mógł najszybciej, i zszedł na dół. Odgłos odkurzacza ucichł, ale w kuchni był jakiś ruch. Zwlekał chwilę z wejściem, żeby jasno zdać sobie sprawę z taktyki, jaką należało przyjąć, aż wreszcie pchnął drzwi.

- O, pan Breton - powiedziała mała, błękitnowłosa kobieta z ożywieniem. - Dzień dobry panu.

Breton gapił się na nią zdumiony. Jakaś obca kobieta, około sześćdziesiątki, siedziała z Kate przy stole i piła kawę. Była umalowana jaskrawą szminką i miała pęknięte prawe szkło w okularach.

- Pani Fitz wpadła, żeby zobaczyć, jak sobie bez niej radzimy - wyjaśniła Kate. - I jak zobaczyła ten bałagan, postanowiła od razu posprzątać. Dostałam burę za to, że o ciebie nie dbam.

- To bardzo ładnie z pani strony - wymamrotał Breton. Racja, gospościa! Zupełnie zapomniał o cholernej gospoście. Pani Fitz obserwowała go z nie ukrywanym zainteresowaniem, kiedy szedł w stronę krzesła. Postąpił jej błady uśmiech.

- Pan Breton bardzo schudł - mówiła pani Fitz do Kate, zupełnie jakby go nie było. Bardzo zeszczupłał. Dość tego dobrego, nie biorę już więcej wolnych dni.

- Rzeczywiście było nam bez pani trochę niewygodnie - powiedziała Kate. - John nie przepada za moją kuchnią.

- Bzdury. - Breton patrzył na nią bezradnie, starając się ukryć złość. - Wiesz doskonale, że mi smakuje wszystko,

co ugotujesz. Nie uważam, żebyśmy musieli pozbawiać panią Fitz wolnego weekendu.

- Jeszcze czego! - Pani Fitz roześmiała się, ukazując niewiarygodnie białe sztuczne zęby. - A co ja mam lepszego do roboty?

- Jak się miewa pani siostrzenica? - zapytała Kate ciepło. - Urodziła już?

- Jeszcze nie.

Pani Fitz wstała i zaczęła Bretonowi podawać kawę, naleśniki i syrop - cały czas mówiąc. Jadł w milczeniu i podziwiał, jak jedno czy dwa słowa rzucone przez Kate w odpowiednim momencie działały niby katalizatory, dobywając ze starej kobiety coraz dłuższe potoki słów. Breton nie mogąc się zorientować, czy Kate robi to specjalnie, czy nie, znosił tę rozmowę, dopóki mógł, po czym wyszedł do jadalni udając, że czyta pisma.

Kiedy zostało pozmywane po śniadaniu, znów odezwał się elektroluks i pani Fitz przystąpiła do sprzątnięcia całego domu, ku wściekłości Bretona niektóre pokoje odkurzając po kilka razy. Kate prawie cały czas z nią rozmawiała, a do jadalni weszła tylko raz - z wazonem kwiatów.

- Przegoń tę babę, na miłość boską - powiedział. - Muszę z tobą pogadać.

- Próbuję, ale z nią zawsze tak jest.

Wyglądało na to, że Kate mówi szczerze, więc Breton się uspokoił. Ranek minął powoli, ale ku jego przerażeniu pani Fitz została i zaczęła szykować lunch. Kiedy zjedli, powtórzył się długi rytuał zmywania, po czym - nie do wiary! - znów ożył odkurzacz. Breton odrzucił pismo i wściekły pobiegł na górę kierując się jego wyciem. Kate stała w

drzwiach sypialni i paliła papierosa, a pani Fitz wewnątrz - odkurzała.

- Co ona znów robi? - zapytał. - Przecież podłogi nie mogły się zakurzyć od rana.

Kate wyrzuciła papierosa do popielniczki z rżniętego szkła, którą ze sobą przyniosła.

- Zastony. Pani Fitz zawsze w soboty odkurza zastony. Breton miał się już odwrócić, kiedy zorientował się, że Kate - dojrzała i doświadczona intrygantka, jaką się stała z upływem lat - spokojnie, po cichutku, robi z nim, co chce, stosując rodzaj superjudo, które jego siłę zamieniało w słabość. A on potulnie się poddawał, mimo że jej jedyną bronią było to, co sam jej powiedział. Tyle, że to, ca jej powiedział, nie miało dla niej żadnego zastosowania. Nie mogła przecież iść do pani Fitz czy do kogokolwiek innego i powiedzieć, że mężczyzna, z którym żyje, nie jest w rzeczywistości jej mężem, tylko jego duplikatem, który się wyłonił z innego strumienia czasu. Chyba że chce, żeby ją poczytano za nienormalną.

- Pani Fitz - Breton minął Kate i wszedł do sypialni - niech pani już idzie do domu.

- O mój Boże, a co ja tam będę robiła?!

Posłała mu promienny uśmiech, który mówił, że jest wdową, z trudem dźwigającą brzemie życia. Breton wyciągnął wtyczkę odkurzacza z gniazdka i wręczył jej.

- Bardzo panią o to proszę - z uśmiechem odprowadził ją do drzwi. - Zależy mi na tym, żeby pani sobie wypoczęła w czasie weekendu i zgłosiła się do pracy w dobrej formie w poniedziałek rano. A tu, proszę, dziesięć dolarów premii za sumienność, zgoda?

Breton wręczył jej jeden z banknotów, które wziął od Johna, następnie sprowadził ją ze schodów, podał jej płaszcz i otworzył drzwi. Pani Fitz, której krwawoczerwone wargi poruszały się w wyrazie łagodnego zdziwienia, odwracała się jeszcze przez ramię do Kate, ale wreszcie -posyłając im przez okno kuchenne ostatni uśmiech - rada nierada poszła. Breton pomachał jej ręką.

- Wiesz, zachowałeś się okropnie - powiedziała Kate schodząc za nim na dół.

- Następnym razem będę dla niej podwójnie miły - odparł zbliżając się do Kate. Objął ją w talii i przycisnął do siebie. Nie stawiała oporu, więc ją pocałował. Dotyk jej warg był lekki, ale wystarczył, by wrócić mu pewność siebie, by rozwiać pajęczynę niepewności, która już zaczęła oplatać jego myśli od wczoraj. Zamknął oczy napawając się jak mocnym winem... rozgrzeszeniem.

- Martwię się o Johna - powiedziała Kate.

- Nie rozumiem dlaczego. - Breton miał cały czas zamknięte oczy. - Z prawdziwą przyjemnością się wynosił. Nie widzę powodu do jakiegokolwiek niepokoju.

- Bo to zupełnie nie w jego stylu, ot, tak sobie zniknąć. On się nie zachował normalnie.

Breton niechętnie otworzył oczy.

- Był już zmęczony małżeństwem, więc sobie poszedł. Wiele osób uznałoby to za najnormalniejsze w świecie zachowanie.

Oczy Kate spotkały się z jego wzrokiem.

- To była reakcja zupełnie niezrównoważona.

- Po czym to poznajesz?

- John by nigdy tak po prostu nie uciekł rzucając nagle

wszystko - a przynajmniej nie w normalnych warunkach.

- A jednak to zrobił.

- No i właśnie dlatego mówię, że jego reakcja była zupełnie niezrównoważona.

Powtórzenie przez Kate tego sformułowania ukłuło Bretona jak igła, dając mu odczuć, że z nim jest coś nie w porządku.

- Nie powtarzaj tego w kółko, Kate. To niczego nie dowodzi.

Wyrwała się z jego ramion.

- A co z pieniędzmi?

- Z pieniędzmi? Masz na myśli Johna? Wydaje mi się, że wziął, ile mu było potrzeba.

- Jak? W każdym razie nie z naszego prywatnego konta, nie podpisywałam mu żadnych czeków. A przecież nie miał tyle czasu, żeby zorganizować podjęcie większej sumy z konta firmy.

- Nigdy nie byłaś taka wycwaniona w sprawach finansowych. - Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się opryskliwie jak smarkacz, ale nie był w stanie się powstrzymać.

- Nie dam już sobie więcej w kaszę dmuchać - Kate mówiła z wystudowanym okrucieństwem, które napętniło go przerażeniem. Dziewięć lat, uświadomił sobie nagle, to szmat czasu.

- John może wziąć tyle pieniędzy, ile będzie chciał. Wystarczy, że pójdzie do pierwszego lepszego banku. Prawdopodobnie za kilka dni dostaniemy od niego list.

- Żebrzący?

Breton nie był właściwie pewien, kiedy ten koszmar

się zaczął, ale czuł, jak go ogarnia ze wszystkich stron. Kate - błagał w duchu - dlaczego nie możesz być taka, jaką chciałbym cię mieć?

A tymczasem Kate miotła się niespokojnie po pokojach, biorąc do ręki różne drobne przedmioty, a następnie ciskając je hłaśliwie. Breton chodził za nią w nadziei, że jednak nastrój tamtego jedyne popołudnia w weneckim kolorycie zostanie im w jakiś cudowny sposób przywrócony. Ale Kate odmawiała rozmowy na jakikolwiek inny temat poza motywami tak nagłego ulotnienia się Johna, jego obecnym miejscem pobytu i planami na przyszłość. Breton był bezradny. Czuł, że powinien pójść na całego i nie pacyczkując się zdobyć ją po prostu siłą swojej miłości, tak jak wtedy, zaraz po przyjściu - tyle że najprawdopodobniej swój ówczesny sukces zawdzięczał temu, że samotną, znużoną i nie zaspokojoną uczuciowo Kate wziął przez zaskoczenie.

Wyszedł do ogrodu. Ze zdumieniem stwierdził, że słońce dotyka horyzontu - każda minuta ciągnęła się nieznośnie długo, za to godziny płynęły bardzo szybko. Zrobiło się chłodno i wolno rozpościerające się barwy nocy przelatywały przez niebo na wschodzie, gdzie meteory pomykały i znikwały jak lemingi. Ich widok wywołał w nim znów niejasne uczucie lęku. Spędzenie jeszcze jednej samotnej nocy pod tym chorym niebem przekraczało jego możliwości. Wrócił spieszenie do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Kate stała w niemal zupełnie ciemnej jadalni, w wykuszu okna, i patrzyła na drzewa w październikowych barwach. Nie odwróciła się nawet, kiedy wszedł. Zbliżył się do niej, chwycił ją mocno za ramiona i ukrył twarz w jej włosach.

- Kate - powiedział z rozpaczą - za dużo mówimy. - Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni, a nie robimy nic, tylko mówimy.

Kate zeszywniała.

- Proszę cię, zostaw mnie w spokoju.

- Ale, Kate... - Odwrócił ją do siebie.

- Chcę, żebyś mnie wreszcie zostawił w spokoju.

- Ale mów o nas! Pamiętasz to nasze pierwsze popołudnie?

- To było zupełnie co innego. - Wyrwała mu się.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlatego, że John już nie może nas zaskoczyć? Czy to ci odebrało cały smoczek?

Kate uderzyła go w twarz i niemal w tym samym momencie Jack jej oddał czując, jak jej zęby ranią mu knykcie. Ten podwójny cios odbił się głośnym echem w ciszy pokoju, ale zagłuszyła go burza, jaka wybuchła w jego głowie.

- Dość tego dobrego - powiedziała Kate. - Wynoś mi się z tego domu.

- Ty nic nie rozumiesz - wymamrotał, a jego umysł dosłownie zamarł. - To jest mój dom i ty jesteś moją żoną.

- Rozumiem.

Kate odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Breton stał nieruchomo, patrząc z niedowierzaniem na swoją rękę, dopóki nie usłyszał dochodzącego z góry znanego odgłosu zasuwanych szuflad. Skoczył do sypialni i zastał tam Kate wrzucającą ubranie do walizki.

- Co ty robisz?

- Wynoszę się z twojego domu.

- Nie ma najmniejszej potrzeby.

- Tak uważasz? - Twarz Kate była zacięta.
- Oczywiście, oboje jesteśmy zdenerwowani. Ja nie...
- Wyjeżdżam. - Kate zatrzasnęła walizkę. - i nie próbuj mnie zatrzymać.
- Nie mam zamiaru. - Umysł Bretona zaczął się budzić z odrętwienia i analizować własne błędy. Główny błąd polegał na tym, że potraktował Kate jak przedmiot, po który wystarczy tylko sięgnąć. - Nie wiem, jak mam cię przeproszać... za...
- Za to, żeś mnie uderzył? Nie przejmuj się. Ostatecznie to ja cię uderzyłam pierwsza.
- Nie opuszczaj mnie, Kate. To już się nigdy nie powtórzy.
- Rzeczywiście! - Kate stała się wyzywająco czupurna. Kiedy się do niego obróciło, była niemal uśmiechnięta. - Możesz mi coś obiecać?
- Co tylko chcesz.
- Gdyby się. John odezwał, powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać. Będę nad jeziorem Pasco.
- Breton poczuł, że ma sucho w ustach.
- Gdzie? W tym domku?
- Tak.
- Nie możesz tam jechać.
- A to niby dlaczego?
- Bo ja... Bo tam jest zupełnie pusto o tej porze roku.
- Są chwile, kiedy wolę być z dala od ludzi, i to jest właśnie jedna z nich.
- Ale... - Breton stwierdził, że jąka się bezradnie. - Mogłabyś zatrzymać się w mieście, w hotelu.
- Kiedy lubię jezioro. Proszę cię bardzo, daj mi spokój.

- Podniosła walizkę.

- Kate!

Breton uniósł ręce, zagradzając jej w ten sposób drogę, a jednocześnie gorączkowo szukając w myśli jakiegoś przekonującego argumentu. Kate zbliżyła się tak, że prawie dotknęła tych rąk, po czym zbladła jak ściana. Obserwował z niemałą fascynacją moment, kiedy nagle intuicja podszeptała jej rozwiązanie.

- Domek! - powiedziała bez tchu. - John jest w domku nad jeziorem.

- To śmieszne.

- Co z nim zrobisz? Dlaczego nie chcesz, żebym tam jechała?

- Wierz mi, Kate, to bzdury.

Spokojnie skinęła głową, upuściła walizkę u jego stóp i przemknęła koło niego. Breton złapał ją za łokieć i pociągnął na łóżko. Padając wierzgała i drapała. Kiedy ją wreszcie zdołał ujarzmić, przyszło mu do głowy jedyne kłamstwo, które mogło uratować sytuację.

- W porządku, Kate, będzie, jak chcesz. - Cały czas starał się obezwładnić wijące się pod nim ciało. - Będzie, jak chcesz, przecież powiedziałem.

- Co zrobisz z Johnem?

- Nic. Po prostu dałem mu mój chronomobil. Pojechał do domku nad jezioro nauczyć się z nim obchodzić, żeby mógł zająć moje miejsce w Czasie A. To był jego własny pomysł. W ten sposób postanowił się wyplątać z tej całej sytuacji.

- Jadę tam. - Kate zaczęła wrywać się jeszcze energiczniej i o mało go przy tym nie zrzuciła na ziemię.

- Przepraszam cię bardzo, ale najpierw ja tam muszę pojechać, żeby się przekonać, czy John już odbył podróż.

Nawet w momencie takiego podniecenia uderzyła go naiwność tej całej historii; tyle że stanowiła ona deskę ratunku, której tak bardzo potrzebował. Kiedy ciało Johna Bretona zostanie spulweryzowane, nikt nie uwierzy Kate, gdyby nawet kiedykolwiek chciała go oskarżyć o morderstwo. A jednocześnie on odeprze wszelkie jej podejrzenia. Wiara we własne przeznaczenie, żywiona przez dziewięć koszmarnych lat, wypełniła go od nowa, odsuwając wszelkie wątpliwości ostatnich kilku dni. Stworzył wszechświat Czasu B, stworzył Kate i teraz jedno i drugie trzyma w garści. Po prostu musi to potrwać trochę dłużej, niż sobie wyobrażał...

Cały czas walcząc z Kate uniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Drzwi od garderoby, z której wyjmowała swoje rzeczy wybierając się do domku nad jeziorem, były nadal otwarte. Ściągnął Kate z łóżka i wepchnął ją do garderoby. Po chwili zastanowienia wyjął z kieszeni szpulę żyłki na ryby i związał nią gałki obu skrzydeł drzwi, zamieniając garderobę w małe więzienie.

Dysząc ciężko i wycierając chustką do nosa zadrapania na twarzy, zbiegł ze schodów i pognął do samochodu. Miał tego dnia jeszcze jedną rzecz do załatwienia, stosunkowo prostą: wysłać Johna Bretona zamiast w Czas A - na tamten świat.

XV

Blaize Convery przyniósł wąską plastikową szklaniczkę kawy i ostrożnie postawił ją na biurku z prawej strony.

Usiadł na skrzypiącym fotelu obrotowym i otworzył płaską środkową szufladę, z której wyjął fajkę, kapciuch z tytoniem, zapalniczkę, ubijacz i wiązkę białych, puszystych wyciorów. Wszystko to ułożył w porządnym kwadracie, jak rzemieślnik przygotowujący narzędzia pracy. Następnie otworzył głęboką szufladę, wyjął z niej grubego segregatora w kolorze owsianki i umieścił go w środku tak pracowicie zbudowanego czworokąta. Popętniwszy tych wstępnych czynności westchnął głęboko, z zadowoleniem, i zabrał się do przeglądania segregatora.

Był to nudny dzień, który upłynął pod znakiem zwykłej rutyny. Sprawę właściwie rozwiązano już miesiąc temu, ale zostało jeszcze do pozatatwienia masę formalności. Żeby zebrać trzy głupie podpisy, wsiadał i wysiadał z samochodu z pięćdziesiąt razy. Bolały go więc plecy i czuł, że ma opuchnięte nogi. Ale teraz był już wolny; często po skończeniu służby siedział jeszcze godzinę, pozwalając bujać wyobraźni, a myślom krążyć po ich tajemniczych ścieżkach.

Popijając kawę napętnił i zapalił fajkę: czekał, by wspólnymi siłami wprawiły go w stan skupienia, zawiodły do krainy, w której pożółkłe kartki i zatarte kopie zaczynały ożywać, wszeptując mu do ucha najtajniejsze myśli ludzi, których nazwiska przechowały. W ciągu kilku minut Convery wyruszył w swoją specyficzną podróż w czasie i w miarę jak zagłębiał się w przeszłość, rozdzielając ją precyzyjnie na

poszczególne warstwy, wielkie, zatłoczone pomieszczenie biurowe zdawało się oddychać i zamazywać.

- Hej, Blaize - usłyszał nagle nad uchem. - Otrząśnij no się, stary.

Convery spojrzął, usiłując przywrócić ciału nieobecny umysł, i zobaczył przed sobą jasne brwi i wyszczerzone w uśmiechu zęby Boyda Leylanda, porucznika z Wydziału Zabójstw.

- Się masz, Boyd - Convery usiłował ukryć zniecierpliwienie; Leyland był dobrym przyjacielem i zdolnym policjantem. - Nie wiedziałem, że masz dzisiaj służbę.

- Bo ja wcale nie mam! - Ton Leylanda zawsze brzmiał tryumfalnie. - W tym miesiącu mam soboty wolne, ale przecież nie opuszczę drużyny, stary. O, nie, co to, to nie.

Convery gapił się na niego przez chwilę nieprzytomnie, po czym przypomniał sobie: aha, jest październik i w soboty po południu wznowili zwyczaj grywania w kręgle.

- Racja, gramy dziś w kręgle - nie wypadło to specjalnie entuzjastycznie.

- Oczywiście, że gramy. Chodź, stary.

- Wiesz co, ja dzisiaj chyba nie dam rady. Leyland natychmiast wyraził mu współczucie.

- Zdaje się, że i w ciebie orzą jak w tysią kobyłę. W zeszłym tygodniu kazali mi zrobić trzy... - urwał w momencie, kiedy jego wzrok spoczął na otwartym segregatorze. Szczęka mu opadła i zaczął energicznie wymachiwać w stronę grupki stojących w pobliżu kolegów.

- Hej, słuchajcie, on znów się w tym bobrze! Wiecie, jak profesor Convery ma zamiar spędzić sobotni wieczór? Na rozwiązywaniu tajemnicy zabójstwa Spiedelal Leyland z

niedowierzania mówił niemal falsetem. - Znów zaczął się grzebać w tej cholerniej sprawie!

- Jestem dziś za bardzo wykończony na kręgle - usiłował się bronić Convery. - Wolę sobie tu po prostu posiedzieć.

- A gównu! - Leyland wyciągnął swoje wielkie, czerwone łapska, zamknął mu przed nosem segregator i wywłócił go z miejsca. - W tym roku potrzebujemy wszystkich stałych facetów. A poza tym przyda ci się trochę ruchu.

- Dobra, dobra.

Convery stwierdził, że się nie wybroni. Zły, uprzątnął biurko i poszedł za innymi w kierunku windy. Hataśliwe podniecenie, jakie ogarnęło jego kolegów wobec perspektywy spędzenia wieczoru przy kręglach i piwie, nie udzieliło mu się jednak. Wczoraj rozmawiał przecież z człowiekiem, na którym ciąży wina.

Convery był teraz absolutnie, na chłódno, przekonany zarówno o winie Bretona, jak i o tym, że nigdy nie zdoła postawić go przed sądem - ale to mu specjalnie nie przeszkadzało. Sen z oczu spędzał mu fakt, że nie potrafił dociec natury tej zbrodni.

Dziewięć lat temu stało się w domu Bretonów coś bardzo dziwnego, coś, czego skutki dawały się odczuć do dzisiejszego dnia, powracając w swoim własnym ponurym rytmie jak symptomy nieuleczalnej choroby. Ale co to było? Convery stępił na tym problemie ostrze swego konceptu i pozostało mu tylko niejasne pragnienie przeniknięcia do tego domu, życia w nim, aby móc badać, odsiewać i analizować fakty, aż pozna tych dwoje ludzi lepiej, niż oni sami siebie.

- Chodź, Blaize. - Leyland otworzył drzwi swojego samochodu. - Podwiozę cię.

Conyery rozejrzał się po parkingu policyjnym i nagle poczuł w żołądku znany zimny skurcz.

- Nie, dziękuję. Pojadę swoim, może będę musiał wyjść wcześniej.

- Wsiadaj - zakomenderował Leyland. - Nie ma mowy o żadnym wcześniejszym wychodzeniu, stary. Conyery potrząsnął głową.

- No to później. Jedź, ja do was dołączę.

Leyland wzruszył ramionami i złożony się wpół, wsiadł do samochodu. Conyery odszukał swojego Plymoutha w gwałtownie zapadającym zmroku i usiadł za kierownicą, cały czas mając w uszach syreni śpiew. Na pierwszym skrzyżowaniu wystrzelił zza samochodu Leylanda i pomknął przez miasto, jakby się bał, że go koledzy będą gonili. Oczywiście nie zrobiliby tego, ale będą urażeni i chłodni - zupełnie jak Gina, kiedy wyszedł z domu mimo przyjęcia urodzinowego dzieci. Ale zły duch go nie opuszczał, a on nigdy nie mógł się oprzeć jego podszeptom.

Wjechał w aleję, przy której mieszkali Bretonowie, Conyery zwolnił i przemknął między dwiema ścianami drzew z całkowicie niemal wyciszonym silnikiem. Wielki dom był pogrążony w kompletnej ciemności. Conyery rozczarowany zatrzymał samochód. Spojrzał na zegarek zastanawiając się, czy może się tłumaczyć kolegom braniem benzyny. Byłoby to rozsądne, ale...

- Do diabła! - wykrzyknął z niesmakiem, stwierdziwszy, że wysiada jednak z samochodu i idzie w kierunku domu. Ponad nim ciemniejące niebo roiło się od meteorów,

ale Corwery ich nie widział. Żwir podjazdu chrupał mu pod nogami, kiedy szedł cienistym tunelem z żywopłotu, a następnie obchodził dom i werandę.

Z patio przyjrzał się budynkowi od tyłu. I tu - zgodnie z jego przewidywaniami - wszystkie światła były pogaszone. Otwarte drzwi garażu ujawniły brak Turbo-Lincolna Johna Bretona i obecność sportowego samochodu pani Breton. Najwyraźniej gdzieś razem pojechali. Convery pstrykał paznokciem o zęby. Wiedział, że ostatnio prawie nie bywali razem, ale w końcu kto im zabroni, jeśli mają ochotę. W każdym razie nie prawo, które nie pozwala natomiast na chodzenie cudzych domów.

Convery zakotłosał się na obcasach, nie bardzo wiedząc, co robić, i właśnie miał odejść, kiedy drzwi od kuchni skrzypnęły cicho.

Podszedł bliżej i stwierdził, że są uchylone i że kołyszają się lekko w podmuchach wieczornego wiatru. Kiedy popchnął je ostrożnie czubkiem buta, otworzyły się szeroko i ze środka buchnęło ciepłe powietrze. Znalazłszy wreszcie jakiś cień uzasadnienia dla swojej obecności, Convery wszedł do ciemnej kuchni i zapalił światło.

- Czy jest tu kto? - zawołał czując się nieswojo.

W tym samym momencie gdzieś na górze rozległo się nieprzytomne walenie i Convery'emu wydało się, że słyszy kobiece krzyki. Zapalając po drodze światła wbiegł na górę za głosem, który doprowadził go do pierwszej sypialni. Walenie dochodziło z garderoby. Próbując ją otworzyć, stwierdził, że gałki drzwi są mocno omotane odporną na zrywanie żyłką. Usiłując porozwiązywać mocne jak stal węzły połamał sobie tylko paznokcie. Zrobił więc krok do

tylu i kopnął w drzwi z taką siłą, że jedna z gałek po prostu odleciała.

W chwilę później trzymał w ramionach Kate Breton, czując, jak ogarnia go lodowata euforia. - A jednak jego zły duch okazał się mimo wszystko łaskawy.

- Pani Breton - zapytał z naleganiem w głosie. - Co tu się dzieje? Kto panią zamknął w tym schowku?

- Jack Breton - odparła. Jej oczy były puste, uszło z nich wszystko.

- To znaczy pani mąż?

- Nie... nie mój mąż. To był... - urwała, spazmatycznie wciągnęła powietrze i Convery dostrzegł, że powraca jej świadomość, subtelnie zmieniając rysy twarzy. Dzielące ich niewidzialne bariery zaskoczyły na miejsce.

- Niech mi pani powie, co się stało, pani Breton.

- Musi mi pan pomóc, poruczniku. - Była w dalszym ciągu przestraszona, ale moment ślepej paniki minął. - Boję się, że mój mąż został porwany. Jest nad jeziorem Pasco. Czy może mnie pan tam zawieźć? Zawiezie mnie pan nad jezioro?

- Ale...

- Niech pan się nade mną zlituje, poruczniku, błagam pana w imieniu mojego męża!

- Jedźmy - powiedział Convery ponuro. Okazja wprawdzie minęła, ale czuł, że właśnie nad jeziorem Pasco jego ręce wreszcie przemówią.

XVI

W pierwszej części swojej drogi nad jezioro Breton kilka razy o mało się nie zabił biorąc zakręty z szybkością przekraczającą możliwości techniczne maszyny.

Był już dobrze za miastem, zanim odzyskał panowanie nad swoją prawą stopą na tyle, że mógł ją zdjąć z pedału gazu. Ogromny samochód zwolnił w swoim koszmarnym pędzie przez ciemność. Zginać teraz w wypadku samochodowym byłoby może patetycznie, pomyślał, ale miałyby to jeszcze inne interesujące konsekwencje. W momencie kiedy ustałoby działanie jego centralnego systemu nerwowego, chronomobil zaszyty pod skórą przegubu lewej ręki straciłby źródło energii i ciało Bretona powróciłoby do Czasu A.

A sytuacja mogłaby okazać się jeszcze bardziej interesująca, gdyby śmierć nie była natychmiastowa, a nastąpiła na przykład w karetce pogotowia wiozącej go do szpitala. Ciekawe, w jaki sposób, zastanawiał się, załoga karetki wyjaśniłaby zniknięcie normalnego pełnowymiarowego człowieka.

Ta umysłowa szarada uspokoiła Bretona na tyle, że mógł już zacząć konstruktywnie myśleć o tym, co należy zrobić w przeciągu najbliższej godziny. W głównych zarysach plan przedstawiał się prosto: zabić Johna Bretona, przetransportować jego ciało na miejsce, gdzie prowadzono wiercenia szerokodymensyjne, i pozbyć się go. Ale w praktyce mogły się pojawić trudności. Na przykład mogło się okazać, że wiercenia również odbywają się po godzinach i że brygady pracują przez całą dobę.

Stwierdziwszy z ulgą, że znów stał się stworzeniem

myślącym, Breton zaczął wypatrywać bocznej drogi, na której wcześniej zauważył tabliczkę firmy budowlanej. Okolica jednak wydawała mu się coraz mniej znajoma. Zwolnił znów i zaczął obserwować wschodnią stronę drogi, zastanawiając się nad każdym jej krętym odgałęzieniem, aż wreszcie dostrzegł majaczącą z daleka szarobiałą tablicę. Reflektory samochodu wychwyciły nazwisko „Breton” na jednej z tabliczek należących do subkontrahentów i w tym miejscu Jack skręcił z autostrady. Samochód tańczył delikatnie, posuwając się wzdłuż głębokich kolein wyżłobionych przez ciężkie wozy budowlane i wzbijając po obu stronach kłęby kurzu.

Niecałe pięć minut od autostrady boczna droga przechodziła w płaski, zryty teren, na którym pracowały koparki. Breton prowadził samochód zygzakami, oświetlając zwalę materiały budowlanych, aż wreszcie dostrzegł znany widok: przypominające kształtem wieżyczkę świdry. Nie było nikogo ani w ich pobliżu, ani nigdzie na całym poranym maszynami terenie budowy. Zakręcił i wrócił na autostradę, zadowolony, że zajęło mu to zaledwie kilka minut.

W miarę jak jechał na północ, robił się coraz bardziej pewny siebie. Przez jakiś czas wydawało mu się, że coś jest nie w porządku, że Czas B sprzeniewierzył się swemu twórcy, ale to była jego własna wina. Po prostu te dni, spędzone z Johnem i Kate, odebrały mu dawną siłę i ufność...

Nagle niebo przed samochodem rozbłysło pulsującą jasnością.

Miniaturowe słońce wystrzeliło lukiem, a gdy zniknęło za porośniętym drzewami pasmem wzgórz w odległości

niecałej mili, pojawiły się ogromne, falujące welony ognia. Sylwetki drzew ukazały się wyraźnie w rozproszonym świetle eksplozji, a następnie straszliwy łomot wstrząsnął całym samochodem porażając Bretona pierwotnym strachem. Po głównym wybuchu odezwała się cała seria pomniejszych grzmotów, zamierających stopniowo w olimpijskich pomrukach i echach.

Breton, zlany potem, gnał przez noc w nienaturalnej ciszy. Minęło kilka sekund, nim jego umysł powrócił z epoki jaskiniowej, w jakiej się znalazł, do dwudziestego wieku i uświadomił mu, że jest świadkiem spadania meteorów. Breton soczyście zaklął pod nosem i mocniej uchwycił kierownicę.

Niebo, pomyślał nagle zaskoczony, jest moim wrogiem. - Znalazłszy się na grzbiecie wzgórza, hen daleko na lewo dostrzegł topazowe strzępy ognia pełgające po trawiastych zboczach.

Za kilka minut zaroi się tu od ciekawskich. Breton znał dobrze mentalność przeciętnego mieszczucha z Montany -nawet zwykły pożar prerii wystarczy, żeby się wysypali ze swoich beznadziejnych domów uszczęśliwieni, że mogą się gdzieś wybrać w swoich nowiusieńkich samochodach, które - chociaż duże i szybkie - nie sprawdzają się jednak jako latające dywany na tych olbrzymich przestrzeniach.

Takie wydarzenie, jak deszcz meteorów, przyciągnie ich z odległości choćby i stu mil, a nawet większej, kiedy tylko lokalne radia dorwą się do wiadomości. A to oznaczało, że wracając tą samą drogą, ze zwłokami w bagażniku, będzie się musiał przedzierać przez gąszcz pojazdów. Niewykluczone nawet, że policja ustawi patrole drogowe.

Breton widział już, jak ludzie w granatowych mundurach, o surowych twarzach, uderzają w klapę jego bagażnika, kiedy będzie się usiłował przemknąć - dokładnie tak samo, jak to robił poprzedniego dnia porucznik Convery.

Ta perspektywa wprowadziła go w przerażenie, ale jednocześnie musiał przyznać, że spadające meteory miały swoją dobrą stronę: kto w takiej sytuacji zapamięta jeden określony samochód? Nieznacznie zwiększył szybkość, żeby się jak najprędzej wydostać z tego miejsca, zanim się zacznie ruch.

Domek byłby pograżony w kompletnych ciemnościach, gdyby nie zmienne światło jutrzeńki na północy i oszalała kanonada meteorów rozłupująca niebo na kawałki w kształcie diamentów. Breton wysiadł z samochodu i pospieszył do domku, przyciskając ręką kieszeń, żeby mu się pistolet nie obijał o udo.

W zmiennym, nienaturalnym świetle kontury domku rybackiego wydawały się kurczyć i drgać, i rozciągać w jakiejś plazmatycznej wesołości. Znowu Breton poczuł się zmarznięty i potwornie zmęczony. Otworzył drzwi frontowe i zanurzył się w gęstą, niemal namacalną ciemność, instynktownie wyjmując broń z kieszeni. Na schodach wiodących do piwnicy zawahał się, zanim zapalił światło.

Światłówka najpierw mrugała chwilę, a kiedy się uspokoiła, wyłoniła z mroku postać Johna leżącego na boku na środku podłogi. Poplamione i zakurzone ubranie upodabniało go do trupa, ale jego oczy były bystre, czujne.

- Usiłowałem uciec - powiedział niemal od niechcienia, kiedy Jack zbliżał się po schodach. - Mało nie poprzecinałem sobie rąk.

Poruszył się, jakby chciał mu pokazać przeguby, i w tym momencie dostrzegł pistolet w dłoni Jacka.

- Już? - Jego głos był raczej smutny niż przestraszony. Jack stwierdził, że chowa broń za siebie. Niechętnie wysunął ją do przodu.

- Wstaniesz?

- Po co? - John czuł, że ma jakąś niejasną przewagę psychiczną. - Co ci z tego przyjdzie?

- W porządku. - Jack odbezpieczył pistolet i wycelował. W każdym razie nic mu nie przyjdzie z tego, jeśli będzie zwlekał. Nic a nic.

- Nie - głos Johna zaczął się załamywać. - Ty rzeczywiście masz zamiar to zrobić?

- Muszę. Bardzo mi przykro.

- Mnie też jest przykro, ze względu na nas wszystkich.

- Żałuj tylko siebie.

Jack zacisnął mocniej palec na spuście, który nagle wydał się sztywny jak tłok prasy hydraulicznej, a tymczasem cenne sekundy płynęły. John przez chwilę leżał spokojnie, ale potem, jak gdyby nerwy odmówiły mu posłuszeństwa, zaczął się wić rozpaczliwie, usiłując odsunąć się możliwie jak najdalej od lufy pistoletu. Zapierał się nogami o beton próbując się cofać, gdy tymczasem Jack, podpierając rękę z pistoletem drugą ręką, zbliżał się do niego nieubłaganie. Wreszcie spust powoli, zdradziecko - bliski już eksplozji - zaczął ustępować.

Nagle Jack Breton poczuł obok siebie strumień zimnego powietrza.

Obrócił się i o mało nie wystrzelił w panice. W odległości kilku stóp od niego wisiał w powietrzu widmowy,

przezroczysty przedmiot. Twarz Bretona wykrzywił skurcz: zobaczył tak dobrze znany, straszliwy, składający się z dwóch półkul kształt.

Ludzki mózg!

Kiedy tak patrzył, pod niematerialnym mózgiem ukazała się pionowa prążkowana kolumna, od której odchodziła mglista sieć cieniutkich odgałęzień. W ciągu sekundy powstało coś, co przypominało trójwymiarowy plastikowy model ludzkiego systemu nerwowego.

Jack poczuł jeszcze silniejszy prąd zimnego powietrza i zdrętwiały z przerażenia stwierdził, że patrzy w twarz drugiego człowieka.

I ja też tak musiałem wyglądać, pomyślał w pierwszej koszmarnej chwili. Musiałem tak wyglądać w czasie tego spotkania koło trzech drzew - obnażony mózg, który się nagle pojawił tam w ciemności, pulsujący, ohydny. Z rozprzestrzeniającą się siatką nerwów, która niby żarłoczny grzyb rozrosła się aż do ziemi i dopiero wtedy okryła się moim własnym ciałem. Był to aspekt zjawisk chronomobilnych, którego nigdy nie brał pod uwagę - moment przybycia i jego...

Ten drobiazgowy obraz został jednak natychmiast wymazany z jego myśli przez nagłą szokującą świadomość jego znaczenia.

- Odlóż broń, Jack.

Nieznamy mówił monotonnie i beznamiętnie, ale w jego słowach było nieodparte naleganie. Podszedł do Jacka Bretona, a przytwierdzona u sufitu świetlówka oblała jego

twarz zimnym blaskiem. W pierwszej chwili wydało mu się, że natura kształtując tę twarz popełniła fatalny błąd - dała jej tylko jedno oko, a za to dwoje ust!

Kiedy przyjrzał się uważniej, stwierdził, że w twarzy jest rzeczywiście tylko jedno oko. Drugiego brakowało, a miejsce, w którym powinno się znajdować, zapadło się do środka: nie podjęto żadnych prób zatuszowania tego ubytku. Górna i dolna powieka stykały się idealnie, jak gdyby w sardonicznym uśmiešku, zdumiewająco podobnym do uśmiechu, który wykrzywiał wargi przybysza.

Breton zauważył też siwiejące włosy, które tylko częściowo pokrywały uszkodzoną czaszkę, głębokie zmarszczki, niechlujne i dziwne ubranie - ale całą jego uwagę pochłaniały te upiorne drugie usta.

- Kim...? - wykrztusił z trudem - kim pan jest?

Ale odpowiedź nadeszła nie od nieznanego, tylko z podłogi.

- Nie poznajesz go, Jack? - John Breton mówił z pełnym dystansu wyrzutem. - To przecież ty sam.

- Nie! - Jack Breton cofnął się instynktownie, unosząc broń do góry. - To nieprawda.

- Owszem, - prawda. - W tonie Johna brzmiała nuta zemsty. - Jest to ten aspekt podróży w czasie, w którym ja mam większe doświadczenie niż ty. Nie doceniłeś tego, że tak szybko poznałem cię i zaakceptowałem tamtego wieczora.

- Przestańcie się kłócić ! - Nieznajomy przerwał im głosem zmęczonym, ale władczym, jak umierający cesarz. - Nie przypuszczałem, że będziecie się zachowywali jak dzieci, a czasu jest mało.

John Breton zdołał się podnieść.

- Rozwiążesz mnie?

- Nie zdążę - odparł nieznajomy potrząsając głową.

- Nie będę używał przemocy ani niczego, co mogłoby przemoc wywołać. Mogę się posługiwać tylko... słowami.

- Pytałem, kim jesteś - powiedział Breton.

- Wiesz, kim jestem. - Głos nieznajomego był teraz jeszcze bardziej zmęczony, jakby go opuszczały siły. - Kiedy zamierzałeś wkroczyć w ten strumień czasu, nazwałeś siebie Bretonem A, a Johna Bretonem B. Nie lubię tych bezdusznych etykiet, przyjmę więc imię Bretona Seniora, jest znacznie odpowiedniejsze.

- Mógłbym cię zastrzelić - powiedział Breton niemal bez związku, usiłując stłumić w sobie narastające przerażenie.

- Nie wysilaj się. Sam przecież odbyłeś podróż w czasie, to wiesz najlepiej, jak ona wpływa na system nerwowy. Orientujesz się chyba, że mogę wytrzymać to napięcie bardzo krótko, a potem zostanę wessany z powrotem, żeby wypełnić próżnię, jaka powstała w moim strumieniu czasu.

Breton skinął głową. Pamiętał, jak po zabiciu Spiedela leżał w trawie, zwalony z nóg. A przecież ten skok w przeszłość trwał zaledwie kilka sekund. Usiłował uprzytomnić sobie, co czeka Bretona Seniora w drodze powrotnej, ale jego umysł był jednym wielkim kłębowiskiem na pół sformułowanych pytań...

- Ty mogłeś dokonać swojej podróży w czasie, ponieważ oprócz przemożnej potrzeby cofnięcia się w celu naprawienia popełnionego błędu odznaczasz się niezwykłą budową mózgu. Ale twoja obsesja doprowadziła do tego, że

popętnieś jeszcze poważniejszy błąd, błąd, który posiada dwa zupełnie różne aspekty: jeden osobisty, drugi ogólny. - Głos starszego mężczyzny załamał się nieznacznie. Breton Senior przeszedł parę kroków i oparł się o zawalony rupieciami warsztat. Sztywność jego ruchów przypomniła Jackowi, jak trudno mu było chodzić z siecią przewodów poprzylepianą do skóry.

- Aspekt osobisty tego błędu - ciągnął Breton Senior - polega na tym, że nigdy nie pogodziłeś się ze śmiercią Kate, bo pogodzenie się z jej śmiercią oznaczałoby wzięcie na siebie, przynajmniej częściowo, odpowiedzialności za to, co się stało. Tragedie zdarzają się ludziom, ale miarą ich wartości dla człowieka jest jego umiejętność otrząśnięcia się i znalezienia nowego sensu w życiu. Czy to brzmi dla ciebie jak artykuł z „Reader's Digest”?

Jack Breton skinął głową.

- Tak myślałem, ale nawet ty, chociaż nie chcesz tego przyznać, zacząłeś dostrzegać prawdę w tym, co mówię.

Gdzież jest to szczęście, które spodziewałeś się znaleźć w Czasie B? Czy wszystko ułożyło się tak, jak sobie wyobrażałeś?

Breton spoglądając na Johna zawahał się. ale tylko na moment.

- Owszem, układa się. Mam pewne problemy z Kate, ale to są sprawy osobiste...

- Nieprawda! - Jedyne oko Bretona Seniora błysnęło jak reflektor. - Jest jeszcze inny powód, dla którego musisz wrócić do swojego czasu. Jeśli tego nie zrobisz, zniszczysz dwa wszechświaty!

Słowa te zabrzmiały Jackowi Bretonowi dziwnie zna-

jomo, jak gdyby słyszał je już dawno w jakimś zapomnianym śnie. W pierwszej chwili chciał instynktownie zaprzeczyć, ale częścią świadomości wiedział już od dawna, że niebiosa są mu wrogie. Poczuł, jak kolana się pod nim uginają.

- Mów dalej - rzekł słabo.

- Na jakim poziomie mam mówić?

- Zupełnie podstawowym.

- W porządku. Jak zapewne pamiętasz ze swoich intensywnych studiów nad zjawiskami elektrycznymi, uznałeś, że zasadniczą trudnością w zbudowaniu chronobilu jest konieczność podważenia praw Kirchoffa. Zająłeś się szczególnie drugim prawem i faktem, że suma algebraiczna sił elektromobilnych w jakimkolwiek obwodzie zamkniętym czy sieci jest równa sumie algebraicznej produktów oporu każdej porcji...

- Musisz to podać przystępniej - przerwał mu Jack Breton. - Mam trudności z myśleniem.

- Zgoda, mój czas i tak już się kończy. Przejdźmy do prawa zachowania energii i masy. Wszechświat jest systemem absolutnie zamkniętym i musi być podporządkowany zasadzie, że suma jego masy i energii pozostaje zawsze stała. Dopóki przebywałeś w Czasie A, wszechświat zawierał całą masę i energię, jaką kiedykolwiek posiadał czy mógłby posiadać. - Breton Senior zaczął mówić szybciej. - A ty, Jack, jesteś stworzeniem składającym się z masy i energii, opuszczając więc wszechświat Czasu A, wytworzyłeś pustkę tam, gdzie tej pustki być nie powinno, zaś wkraczając w Czas B spowodowałeś nadwyżkę, przeciążenie w fakturze czasoprzestrzeni. Takie zachwiania równowagi mogą być tolerowane tylko przez bardzo krótki okres...

- Ach więc to tak - powiedział cicho John Breton, po raz pierwszy włączając się do rozmowy. - To tym były spowodowane te wszystkie zjawiska: malenie stałej grawitacyjnej, meteory i tak dalej. - Patrzył na Jacka ze zdumieniem i zastanowieniem. - To się rzeczywiście zaczęło tego wieczora, kiedyś ty przyszedł. Teraz sobie przypominam. Widziałem nawet dwa meteory, kiedy Gordon i Miriam odjeżdżali, i to wtedy Carl zadzwonił i powiedział...

- Mój czas już się prawie skończył - przerwał mu Breton Senior. Osunął się bokiem na blat warsztatu, a jego głos przeszedł w pełen wysiłku szept. - Jack, im dłużej będziesz pozostawał poza swoim własnym wszechświatem, w tym większym stopniu spowodujesz zachwianie równowagi, które doprowadzi z kolei do zniszczenia obu strumieni czasu. Musisz wracać - natychmiast!

- Ja tego w dalszym ciągu nie rozumiem. - Jack Breton głęboko zaczerpnął tchu, usiłując zmusić swój umysł do pracy. Twierdzisz, że pozostając tutaj zniszczę wszechświat, a przecież ty sam musiałeś cofnąć się do obecnego momentu w czasie z przyszłości, która według ciebie nie powinna już istnieć.

- A jak ty myślisz, jak dużego skoku wstecz dokonałem, co?

- Nie wiem. - Breton czuł, że ogarnia go lęk.

- Dwadzieścia, trzydzieści lat? - nalegał Breton Senior.

- Coś w tym rodzaju.

- Cofnąłem się niewiele ponad cztery lata.

- Ale... - Jacka zatkało, jednocześnie zauważył wstrząs malujący się na twarzy Johna.

- Jestem starszy od ciebie o cztery lata. - Breton Se-

nior zrobił widoczny wysiłek, żeby zebrać siły. - Widzę, że w dalszym ciągu nie zdajesz sobie w pełni sprawy z sytuacji. To moja wina, że nie potrafiłem ci tego lepiej wyjaśnić, ale liczyłem na to, że zrozumiesz...

Jeszcze nie widzisz, Jack? Jestem tym, czym ty się stanesz za cztery lata, jeśli zamordujesz swoje wcielenie z Czasu B i będziesz żył z Kate w Czasie A. Ja właśnie zrobiłem dokładnie to, co ty zamierzałeś zrobić, kiedy tu przyszedłem, i mnie się udało.

- Udało mi się - Breton Senior zaśmiał się śmiechem, jakiego Jack nigdy nie słyszał, i mówił dalej, nie zwracając się jednak do żadnego z dwóch mężczyzn; jego urywane zdania szkicowały tylko apokaliptyczną wizję-walki dobra ze złem.

W miarę jak więzy siły grawitacyjnej się rozluźniały, planety odrywały się od swego macierzystego słońca, poszukując nowych orbit stosownych do zmienionego układu sił przyciągania i odpychania. Ale nie krążyły dostatecznie szybko - Słońce ścigało je jak szalona matka, trawiona pragnieniem mordowania własnych dzieci. Wzdęte, wezbrane ropą nuklearną własnego rozkładu, raziło swoje potomstwo śmiertelnym promieniowaniem o niestłuchanej wprost sile.

Breton Senior przez cztery lata istniał w świecie, który stał się widownią dwóch rodzajów śmierci; rywalizowały one ze sobą o jak największe żniwo. Starożytne plagi głodu i zarazy szły o lepsze z nowymi - powszechnym rakiem i mnożącymi się przypadkami niezdolnych do życia mutantów.

Kiedy Kate zmarła na nie znaną chorobę, odkrył w sobie coś, czego nie było w nim od jego pierwszej podróży w czasie - zdolności chronomobilne, u innych objawiające się jako wyrzuty sumienia. Przystąpił więc do budowy nowego chronomobilu i mimo że przeszkadzał mu w tym brak oka, zniszczonego przez chorobę, ukończył go w przeciągu kilku tygodni. Jego celem było przekonanie Bretona A, by wrócił do swego własnego strumienia czasu, przywracając ogólną równowagę, zanim będzie za późno.

Gdyby mu się powiodło, strumień Czasu B, prowadzący do zagłady wszechświata, nie zatrzymałby się wprawdzie w swojej drodze do zguby - na to nie byłoby już rady - ale wyprodukowałby odgałęzienie, boczny strumień czasu. Byłby to zmodyfikowany Czas B, w którym Kate i John Brefonowie dożyliby swoich dni w pokoju.

Korzyści płynące z tego dla Bretona Seniora miałyby charakter filozoficzny raczej niż praktyczny, zgodnie bowiem z surowymi prawami fizyki chronomobilnej sama jego obecność w tym czasie - gdyby zdecydował się w nim zostać - spowodowałaby jego zniszczenie. Ale zobaczywszy to, co zobaczył, gotów był zadowolić się świadomością, że gdzieś kiedyś istniał ten drugi wszechświat.

Początkowo, przygotowując swoją podróż, zamierzał wziąć ze sobą broń - żeby mieć pewność, że wyprawi Jacka Bretona w jego świat, tak samo jak w tamtym odległym życiu, znacznie wcześniej, załatwił sprawę ze Spiedelem.

Ale to byłoby pójście na łatwiznę, a ponadto Breton postanowił skończyć z zabijaniem.

Gdyby nie udało mu się jednak przekonać Jacka samą perswazją, umarłby ze strasliwym brzemieniem świado-

mości, że pociąga za sobą wszystkie żywe istoty z całego świata...

Stuchając tych słów Jack Breton czuł, jak na barki zwała mu się ciężar przekraczający jego siły - ciężar dwóch wszechświatów. Opowieści jego groteskowego starszego wcielenia o potwornościach i grozie czekającej w przyszłości ten strumień czasu wstrząsnęły głęboko zarówno jego duszą, jak i ciałem; ogarnęły go obezwładniające mdłości, oblał się zimnym potem. Jego własny, prywatny, wszechświat walił się w gruzy, a on miał ochotę temu zaprzeczyć, krzyknąć „Nie!”, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Ale Breton Senior stał przed nim wyczekująco - Dorian Grey jego przeszłości i przyszłości.

Drżąc na całym ciele Jack odrzucił pistolet i podbiegł do Bretona Seniora łapiąc go za rękę.

- Dobrze, już dobrze, wróć - wyszeptał. - Tylko przestań. Obiecuję.

Breton Senior zawahał się, rozważając, co robić, aż wreszcie doszedłszy widać do wniosku, że nie ma już czasu, powiedział:

- Dziękuję.

Zanim to słowo przebrzmiało, zniknął. Jack Breton stwierdził, że między nim a warsztatem, na który się gapi, nie ma już nikogo. Odwrócił się bezradnie i spojrzał na Johna Bretona, którego twarz po doznanym szoku była biała jak papier. Przeżyli moment pełnego zrozumienia, nie mającego nic wspólnego z telepatią.

- Ja... - Jack nie mógł znaleźć słów. - Ja cię zaraz rozwiążę.

- Będę ci wdzięczny, co nie zmienia faktu, że mnie oburza twoja bezczelność.

- Nie dziwię się specjalnie.

Breton otworzył szufladę warsztatu i wyjął stamtąd drugą szpulę żyłki. Podszedł do Johna i gilotynką rozciął jego więzy - żyłka odskoczyła z metalicznym brzękiem, uwalniając ręce Johna. Jack zamierzał właśnie przeciąć linkę łączącą ramię Johna z belką sufitu, kiedy usłyszał zatrzymujący się przed domem samochód. Zaraz potem rozległy się jedno po drugim dwa trzaśnięcia drzwiami.

Jack Breton wetknął Johnowi szpulę w zakrwawioną dłoń i podbiegł do warsztatu. Wskoczył na niego i rozsunął zastony. W jaskrawym świetle lejącym się z nieba zobaczył sylwetkę Plymoutha Convery'ego. Kate biegła już w stronę domku, a kontury jej ciała były jak gdyby obrysowane srebrzystym szronem. Breton po raz ostatni sycił oczy jej widokiem. Pociągnęła twarz, długie uda, piersi unoszące się w biegu - wszystko to nappełniło go dojmującym bólem.

Puścił zastony i zeskoczył z blatu. W szufladzie znalazł mały śrubokręt. Popchnął zegarek wyżej na rękę, ustawił ostrze śrubokręta dokładnie nad płaską wypukłością chronobilu i spojrzawszy w stronę Johna zawahał się na moment.

- Chcesz się pożegnać? - Żegnaj.

- Dziękuję.

Jack Breton dźgnął energicznie sterczącą na przegubie ręki wypukłość wąskim ostrzem śrubokręta. Świat Czasu B zakotysał się ciężko i zniknął.

XVII

Convery wysiadł z samochodu wolniej niż Kate Breton.

Teraz już nie było sensu się spieszyć. Odpowiedzi, których poszukiwał od dziewięciu lat, znajdowały się o parę kroków od niego i nie bał się, że mu uciekną. Świadomie poruszał się wolno, otwierając szeroko wszystkie szufladki swego umysłu i chłonąc, ile się da, z tego momentu spełnienia.

Zmienne światło rozbłyskujące na niebie było na tyle jasne, że widział w nim każdy najmniejszy kamyk. Zauważył Turbo-Lincolna zaparkowanego tuż przy szopie na łódź, ale kiedy miał już skręcić ku domkowi, zobaczył leżący na brzegu jeziora pantofel. Był to czarny but, który widział poprzedniego dnia w ręce Bretona. Ale skąd się wziął tutaj? Convery wzruszył ramionami. Jeszcze jeden element układanki, który należało dopasować przed podaniem ostatecznego rozwiązania.

Trzymając but pobiegł truchcikiem za Kate. Zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy ktoś rozsunął zastony okienka piwnicy, puszczając na ziemię strumień białego, flouoryzującego światła. Jednocześnie w okienku ukazała się męska twarz. Przypuszczał, że to John Breton, ale nie miał pewności. Za mężczyzną w oknie mógł przecież ktoś stać, w tym samym momencie jednak trysnęła szczególnie oślepiająca fontanna meteorów, a jej odbicie w szybie zamieniło okienko w płytę z kutego srebra. Zaraz potem zastony opadły.

Convery widział, jak Kate Breton wchodzi do domku. Wbiegł na stopnie i wpadł do środkowego pokoju. Było

ciemno, więc musiał namacać najpierw włącznik światła. Kiedy się zapaliło, rzucił się do drzwi wiodących do piwnicy, pociągnął za nie, ale nagle zatrzymał się na małym drewnianym podeście schodów jak wryty.

Pośrodku piwnicy stali w uścisku John i Kate i poza nimi nie było nikogo. Convery'ego ogarnęło złe przeczucie; poznał pierwsze symptomy paniki.

- Co to ma znaczyć? - warknął. - Gdzie on jest?

- Niby kto? - John Breton patrzył na niego w zdumieniu.

- Ten facet, który cię tu przywiózł. Porywacz. - Porywacz?

- Tylko bez głupich kawałów. - Convery szedł na dół. - Czy jest jeszcze jakieś inne wyjście z tego domu?

- Nie.

- To wobec tego gdzie jest człowiek, który zamknął twoją żonę w garderobie, a ciebie przywiózł tutaj?

- Przepraszam bardzo, panie poruczniku - powiedziała Kate Breton odrywając głowę od piersi męża. - To jakieś nieporozumienie. Sprawa natury osobistej...

- To nie jest żadna odpowiedź - Convery z trudem panował nad sobą.

- Ale jaka może być inna?

- Właśnie chciałbym się tego dowiedzieć. Czy przeglądałeś się może w lustrze, John? Cały jesteś wyszargany, co to ma znaczyć?

Breton wzruszył ramionami.

- W weekendy zachowuję się jak ostatni flejtuch. Zwłaszcza tu nad jeziorem.

- Masz owiazaną wokół ramienia żyłkę na ryby, skąd się

tu wzięła?

- To przypadek. Odmierzałem ją sobie i tak się jakoś zasuptała.

Convery przyjrzał się Bretonowi dokładnie. John miał twarz pokrytą siniakami z poprzedniego dnia, ale była w niej jakaś siła, której nigdy dotychczas nie dostrzegł, i to, jak Bretonowie stali razem - stanowili po prostu jedno. Z racji swojego zawodu Convery nieczęsto bywał świadkiem przejawów miłości ludzkiej, ale kiedy ich zobaczył, nie miał wątpliwości, że to nie może być nic innego. i ta zmiana była związana z wypadkami ostatnich dni. Jeszcze jeden element tajemnicy.

- Niepotrzebnie zawracałam panu głowę - odezwała się Kate Breton. - Może pan zostanie na drinka?

Convery potrząsnął głową w poczuciu porażki.

- Widzę, że raczej wolelibyście zostać sami. - Zdając sobie sprawę, że cała ironia tej uwagi jest chybiona, odwrócił się już, żeby odejść, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o pantoflu.

- Twój but, John. Znalazłem go nad samą wodą. Zauważyłeś chyba, że masz na sobie tylko jeden?

- Tak. - John Breton uśmiechał się rozbrajająco. - Jak już być flejtuchem, to być.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Dobranoc. Conyery zmęczonym krokiem włókł się po drewnianych schodach. Wyszedł w chłodną noc, z marsem na czole, usiłując ogarnąć całą lawinę nowych faktów, jaka się na niego zvaliła. Ponad nim ogniste łuki meteorów w dalszym ciągu kreśliły kopułę nieba, ale wszystko to ledwie do niego docierało.

W kartotece jego umysłu te zjawiska zostały sklasyfikowane jako „nie mające związku ze sprawą”.

Kiedy Convery szedł wolno do samochodu, jego prawa dłoń zaczęła się nagle zginać, skręcać i rozginać - w oczekiwaniu magicznego głosu, którego nigdy nie miała wydać.

XVIII

Jackowi Bretonowi wydało się po prostu, że ktoś zgasił światło w piwnicy.

Znalazł się nagle w ciemności, ledwie mogąc wytrzymać przejmujący ból w przegubie ręki i nasłuchując pilnie odgłosów na górze. Po chwili odprężył się. W Czasie A domek był zimny i pusty i nie należał do Bretona. A jeśli - przeleciało mu przez głowę - w ogóle nie ma właściciela i drzwi od piwnicy są zaryglowane od zewnątrz?

Zrobił krok do przodu i w momencie naruszenia równowagi poczuł, że nogi się pod nim uginają. Upadł bezradnie, uderzając się o jakąś dużą skrzynkę, i rozłożył się jak długi na pokrytej kurzem podłodze. Kiedy próbował się pozbierać, stwierdził, że ręce i nogi drżą mu gwałtownie, nie wytrzymując jego ciężaru, i że pada na twarz.

Za drugim razem był już ostrożniejszy; uchwycił się skrzynki obiema rękami, podciągając się cal po calu do góry. Kiedy wreszcie zdołał stanąć na nogi, oparł się o szorstkie drewno, ciężko dysząc.

Kate!

Rozglądał się dokoła niewidzącymi oczyma, mając koszmarłą świadomość, że Kate jest najprawdopodobniej gdzieś tu w piwnicy, oddzielona od niego jedynie nieuchwytnymi barierami prawdopodobieństwa. Pewnie jest tu i John i stoją objęci.

Jack Breton cały był napięty w oczekiwaniu kolejnego ataku bólu, ale - o dziwo - ból nie nadszedł. Zamiast tego poczuł czysty, prawdziwy smak zadośćuczynienia. Popętnił kiedyś błąd, ale go naprawił. W końcu wszystko załatwił, jak

należy.

Po omacku ruszył do schodów i człapiąc jak starzec wszedł na górę. Drzwi ustąpiły, kiedy wziął za klamkę. Środkowy pokój zalewało jaskrawe, niespokojne światło wpadające przez okna. Świat Czasu A też nawiedził deszcz meteorów, ale teraz, kiedy Jack wyrównał bilans kosmiczny, wszystko wróci do równowagi.

Zanim zamknął za sobą drzwi, obrócił się jeszcze i spojrzał w milczącą ciemność pustej piwnicy.

- Przepraszam was bardzo - powiedział. Czuł, że brzmi to głupio, nie mógł się jednak powstrzymać. - Widzę, że wolelibyście zostać sami.

I żywił zupełnie irracjonalne przekonanie, że oni go słyszą.